

ŁAD W RUINIE
Projekt rządu
rozbija prawicę

11 WRZEŚNIA
Dwie dekady
krucjaty Zachodu

WYSZYŃSKI
Święty nie z tego
tysiąclecia

SPORT TO ŻYCIE
Trening Roberta
Korzeniowskiego

DZIEŃ ŁOSIA
Indywidualista
znad Biebrzy

Kraków 12 września 2021 nr 37 (3766)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Jak uciekliśmy z Kabulu

Nasi współpracownicy
Masooma i Alisher
są już w Krakowie



**W NUMERZE
DODATKI**
PRZEMOC W RODZINIE
MAŁOPOLSKIE
DNI DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

WYSTAWA CZASOWA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
polin.pl

WILHELM SASNAL TAKI PEJZAŻ

KURATOR: ADAM SZYMCZYK

.....
17.06.2021–10.01.2022

Mecenas:

Jankilevitch Foundation

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE
HISTORIA ŻYDÓW
W POLSCE

Partner:

Fundacja Galerii Foksal

Partner publikacji:

SIGNUM

Partnerzy medialni:

Wprost

sens

Wprost

Wprost

VOGUE

Wprost

Wprost

ams

Wprost

Newsweek

HISTORIA

VIVA!

SZU

M

onet

KS. ADAM

Boniecki: Autoportret Wyszyńskiego

MATKA ELŻBIETA CZACKA I KARDYNAŁ STEFAN Wyszyński – którzy 12 września zostaną wpisani na listę błogosławionych Kościoła katolickiego – i tak już dawno weszli do historii. Długo oczekiwanej, przekładanej z powodu pandemii beatyfikacji towarzyszy wysyp książek i artykułów. Zwłaszcza o Prymasie Tysiąclecia.

Spśród pochwalnych i krytycznych publikacji, edukacyjnych sesji wykładowych czy nowenn polecam publikację wyjątkową: „Pro memoria”, całościowe wydanie zapisków prymasa z lat 1948-81. Wydawcy przewidują dwadzieścia siedem tomów (wyszło dziewięć). Niemal każdy z nich dotyczy kolejnego roku. Prymas miał zwyczaj zapisywania prawie każdego dnia – gdzie był, z kim rozmawiał, czym się zajmował. Mamy, zwłaszcza we wcześniejszych latach, obszernie zapisy jego przemyśleń. Jednak w „Pro memoria” przeważają zwięzłe zapiski przetykane zwięzłymi, docięciwymi, czasem miażdżącymi komentarzami.

Oto przykład wybrany z piątego tomu. 14 sierpnia 1958 r. (wizytacja parafii Włochy) opis kończy się tak: „Bardzo staranne sprawozdanie duszpasterskie z budowy kościoła materialnego i duchowego. Po procesji bierzmowanie około 150 dzieci. Pracę skończyliśmy stosunkowo wcześniej, ale wiele czasu zajęła długa wieczerza, strata czasu dla wizytatora. Wróciliśmy do W[arszawy] na noc”.

„15 sierpnia, Włochy. Piątek. Dzień Wniebowzięcia N[ajświętszej] Maryi P[anny]. Pracujemy bardzo ciężko. Wygląszam kolejno naukę do dzieci, do kobiet, na sumie i do mężczyzn. Nabożeństwa stanowe idą o wiele lepiej. Katechizacja dzieci dała b[ardzo] dodatnie wrażenie, gdyż dzieci odpowiadały trzeźwo i przytomnie. Po obiedzie pobłogosławiłem działość, której przyniesiono b[ardzo] dużo; ks[ia]dz prałat był w kłopotcie, gdyż bał się nieślubnych matek. Ks[ia]dz Wypych obdarzył mnie bandoletami, a parafia szablą z 1920 r. Oso-



bliwie wyposażenie wizytatora. Może dlatego, że i dziś radio ujadło na prymasa”. (Bandolety to staropolskie potoczne określenie lekkiej broni palnej wyposażonej w uchwyt do zawieszania na haku skórzanego pasa).

19 sierpnia 1958 r. Wyszyński przyjął Jerzego Turowicza, przywożącego przeprosiny Stanisława Stommy za list, który według prymasa był „gorący i nie na poziomie”. Czytamy: „Daję p. T[urówiczowi] cały materiał, dotyczący listu Episkopatu z 5 VII [1958], odpowiedzi p. Cyrankiewicza i mojego drugiego listu w sprawie stanowiska p. C[yrankiewicza]; otrzymuje materiał dotyczący Jasnej Góry, religii w szkole, powieści, tysiąclecia chrześcijaństwa itp. Pan J[erzy] T[urówicz] na miejscu wszystko sobie przeczytał, gdyż nie chcę wydawać nic poza dom. Będzie pracował przez całą noc. Wyraża zgodę, gdyż chce próbować przygotować artykuł do „Tygodnika P[owszechnego]”. Następnego dnia prymas zapisuje: „8.30 Rozmowa z J. Turowiczem na temat materiałów, z którymi zapoznał się w ciągu nocy”. W zapiskach z wizytacji w Wołominie (17 sierpnia tegoż roku) Wyszyński notuje z uznaniem: „Widać, że ks. proboszcz trzyma tu w ręku wszystko. Mówią o nim, że umie wydobyć pieniądze od parafian, ale dobrze je używa”.

W tych robionych na gorąco zapiskach uderza w oczy dyscyplina w wykorzystaniu czasu, zdumiewa zakres spraw – od finansów, przez politykę, po delikatne problemy życia duchowego – w których decyzje należą do prymasa. Zdumiewa też liczba osób, z którymi prymas rozmawia, i zakres problemów, których te rozmowy dotyczą. Nic dziwnego, że to wszystko notuje *pro memoria* (dla pamięci), choć nie sądzę, by przed każdym spotkaniem zaglądał do zapisków.

„Pro memoria” to zaszyfrowany autoportret Błogosławionego. Imponujący i chwilami aż przerażający. Na pewno nie ze świętego obrazka.

© P



xABO KSIĄDZ
BONIECKI

xABO



HER DOCS
FILM FESTIVAL

Film „xABO: Ksiądz Boniecki”

będzie można zobaczyć podczas drugiej edycji HER Docs Film Festival. W tym roku festiwal odbywa się w formacie hybrydowym – w dniach 22-28 października w Warszawie (w Kinotece, Muranowie i Elektroniku) oraz w dniach 22-31 października w trybie online. Więcej informacji na www.herdocs.pl.

Serdecznie zapraszamy!

Z ODDECHEM

36 Sport to życie

MARCIN ŻYŁA

Pozwala zachować zdrowie.
Uczy solidarności i braterstwa,
ale też koncentracji i świadomości
własnego ciała. Najwyższa pora
wrócić na boisko, bieżnię, halę
czy stok.

40 I o to chodzi

ROZMOWA Z ROBERTEM
KORZENIOWSKIM,
MISTRZEM
OLIMPIJSKIM
W CHODZIE:

Sport to integralna
część życia
i narzędzie
jego nauki.
Wyparliśmy to.



26 Cudownej broni nie będzie

KAROLINA LEWICKA

PiS próbuje z mozołem uchwalić zmiany obiecał w Polskim
Ładzie. Na razie program, którego pierwsza
prezentacja miała się odbyć już w marcu,
tylko przyczynił się do rozpadu
Zjednoczonej Prawicy.



48 Siła Lasek

IGNACY DUDKIEWICZ

Dziś potrzebujemy
nowych pytań, nowych
odpowiedzi, odwagi do
wyjścia poza ramy. Taką
odwagę miała Matka
Czacka.



44 Święty minionej epoki

SEBASTIAN DUDA

Trudno
kwestionować
zasługi kard.
Wyszyńskiego
dla katolicyzmu
w czasach
PRL-u. Ale czy
jego ówczesny
pomysł na
Kościół jest
nadal aktualny?



88 Kogo śmieszy wirus

ŁUKASZ JACH

W pierwszym okresie
pandemii COVID-19
nie mieliśmy ani leków,
ani szczepionek, które
mogłyby ją zatrzymać.
Ale, na szczęście, wielu
z nas nie zabrakło
poczucia humoru.



106 Dzień łosia

ADAM ROBIŃSKI

To nie jest normalne,
że o tej porze roku
mamy tu tyle
wody – słyszę, gdy
obuci w wodery
chlupoczemy na
bagienne spotkanie
z tutejszym.



TEMAT TYGODNIKA

14 Pax Americana: koniec pięknego snu

KRZYSZTOF STRACHOTA

Afganistan dalece nie wyczerpuje totalnego charakteru zmian, które wywołały zamachy z 11 września 2001 r. Co stało się z naszym światem?

19 Tego nie chcę zapomnieć

MARTA ZDZIEBORSKA

Choć minęło już 20 lat, oni wciąż zmagają się z traumą. Nic nie jest już takie, jak dawniej. Wysłuchaliśmy historii trojga Amerykanów.

■ DODATKI SPECJALNE ■

55 Przemoc w rodzinie

83 XXIII Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego

■ FELIETONY ■

35 DOROTA MASŁOWSKA 53 ZUZANNA RADZIK

82 ANDRZEJ STASIUK 105 PAWEŁ BRAVO

110 STANISŁAW MANCEWICZ

110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

MASOOMA SULTANI I ALISHER SHAHIR

FOTOGRAFIA: JACEK TARAN

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

72 Ostatni bastion

WOJCIECH JAGIELSKI o podkabskiej dolinie, która opiera się rządowi talibów

75 Wyższa matematyka wiórów i opiłków

ANNA ŁABUSZEWSKA o rosyjskim matematyku Azacie Miftachowie, skazanym i zesłanym do łagru IK-17 w obwodzie kirowskim

■ HISTORIA

78 Reduta pod Wysoką

KRZYSZTOF PIĘCIAK: Mogłoby się wydawać, że o kampanii 1939 roku wiemy wszystko. Ta historia pokazuje, jak wiele jest jeszcze do ustalenia

■ NAUKA

88 Kogo śmiesz wirus

ŁUKASZ JACH

■ KULTURA

92 Władcy chaosu

MARCIN NAPIÓRKOWSKI: Odpowiedź na zamachy z 11 września nie była i nie mogła być racjonalna. Na tym właśnie polegał diaboliczny geniusz terrorystów

96 Żywoty milenialsów

ROZMOWA Z ANNĄ CIEPLAK, PISARKĄ: Gdy wiercimy we własnej przeszłości, docieramy w końcu do miejsca, gdzie panuje wieczny czas teraźniejszy

99 Strategia przetrwania

DOROTA KOZIŃSKA: Gdyby porównać kondycję śpiewu człowieka ze śpiewem humbaków i słowików, można zaryzykować wniosek, że ludzkość jest skazana na zagładę

102 Wyjście z tunelu

ANITA PIOTROWSKA o filmie „Aida”

104 W kapsule czasu

LEKTOR o książce Piotra Oczki „Miniatury świata. Historia domków dla lalek”

■ WAKACJE

106 Dzień łosia

ADAM ROBIŃSKI

6 W pustce i ciszy

MARCIN ŻYŁA

7-13 Obraz tygodnia

24-25 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ

MAŁGORZATA KORDOWICZ

O. WACŁAW OSZAJCA

PIOTR SIKORA

■ KRAJ

26 Cudownej broni nie będzie

KAROLINA LEWICKA

30 Piłka i kula

MONIKA OCHĘDOWSKA:

Ampfutboliści zmagają się z wieloma barierami, ale największe są te w naszych głowach

32 Nie tak obcy w moim domu

KAROL WILCZYŃSKI o ludziach, którzy przyjęli uchodźców pod swój dach

■ Z ODDECHEM

36 Sport to życie

MARCIN ŻYŁA

40 I o to chodzi

ROZMOWA Z ROBERTEM

KORZENIOWSKIM

■ WIARA

44 Święty minionej epoki

SEBASTIAN DUDA

48 Siła Lasek

IGNACY DUDKIEWICZ

50 Temu księdzu dziękujemy

NORBERT FRĄTCZAK: Protesty, blokowanie kościołów, odebranie kluczy do świątyni – parafianie z Mielęcina i okolic nie chcą już swojego proboszcza

■ ŚWIAT

66 Z Kabulu do Krakowa

ROZMOWA Z MASOOMĄ SULTANI

I ALISHEREM SHAHIEM:

Dwie noce spędziłyśmy przy kabulskim lotnisku wśród wystrzałów. Na rękach mieliśmy pięciomiesięcznego syna

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

U niektórych uchodźcy budzą potrzebę niesienia pomocy. Inni widzą w nich zagrożenie. Ale są i tacy, którzy w tułaczach dostrzegają po prostu dobry interes – o uciekających Afgańczykach pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Nagle na dwie sarny wypadły dwa psy, zaczęły je gonić. Strzeliłem do jednego z psów i go ciężko zraniłem. Ten pies później umarł. To wydarzenie, które mnie zmieniło – opowiada **ZENON KRUCZYŃSKI**, pisarz i były myśliwy powszech.net/podkast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ
TYGODNIA



W pustce i ciszy

MARCIN ŻYŁA



POLSKIE WŁADZE NIE PRZEDSTAWIŁY jak dotąd ani jednego sensownego argumentu przeczącego tezie, że wprowadzony 2 września w pasie przygranicznym z Białorusią stan wyjątkowy ma inny cel niż pozbycie się świadków tego, jak służby państwowe traktują osoby usiłujące nielegalnie dostać się do naszego kraju. To oczywiście zła wiadomość dla ludzi na granicy. Ale w dłuższej perspektywie także dla Polski. Igranie argumentami o niebezpieczeństwie skończy się fatalnie, gdy w przyszłości takie zagrożenie faktycznie nadejdzie.

Od kilku dni nie wiemy, co dokładnie dzieje się na białoruskim pograniczu. Po trzech tygodniach oglądania kadrów z grupą 32 Afgańczyków uwięzionych między polskimi i białoruskimi kordonami w mediach zapanowała cisza. Jedno z arbitralnie nałożonych przez władzę ograniczeń stanu wyjątkowego to zakaz obecności na granicy osób postronnych, w tym dziennikarzy. Ten akurat zakaz – inaczej niż masowo i niemal bez konsekwencji kontestowane zasady bezpieczeństwa podczas epidemii – władza egzekwuje nadzwyczaj sprawnie.

Spływające przed 2 września relacje świadków o zatrzymywaniu obcokrajowców przez Straż Graniczną (a następnie o wywożeniu ich w „nieznane miejsca”, o furgonetkach rozjeżdżających się w kilku kierunkach dla zmylenia dziennikarzy, nielegalnym cofaniu ludzi do granicy) dają powód do obaw, że za zasłoną stanu wyjątkowego ludziom na granicy – wcześniej wykorzystanym przez Białoruś – dzieje się krzywda. Prasa i organizacje pozarządowe bywają dla służb uciążliwe.

Zdarza się nawet, że w konkretnych sytuacjach ich obecność prowadzi do niepotrzebnych napięć. To jednak za mało, aby odmawiać im dostępu do ludzi na granicy, wokół których w ostatnich tygodniach ogniskowały się nasze emocje i uwaga.

Premier Mateusz Morawiecki coraz częściej akcentuje fakt, że 10 września

w pobliżu granic z Polską i państwami bałtyckimi rozpoczynają się rosyjsko-białoruskie manewry wojskowe „Zapad 2021”. Kreml może zaryzykować incydent [patrz: komentarz Wojciecha Konończuka, s. 9 – red.]. Tym bardziej że według propagandy Łukaszenki to Polska „podsyla” Białorusi migrantów.

Kontekst manewrów jednak nie pojawia się w uzasadnieniu rozporządzenia o wprowadzeniu stanu wyjątkowego (rząd nie utajnił również całego lub części rozporządzenia, co mogłoby sugerować posiadanie danych wywiadowczych o grożącym niebezpieczeństwie).

W dokumencie – jedynym formalnym wyjaśnieniu, dlaczego ów stan wprowadzono – mowa jest o innym zagrożeniu: obecności w pasie przygranicznym osób mogących przeszkadzać w działaniach służb. Sam stan wyjątkowy, dodajmy, nie ułatwia alokacji sił zbrojnych czy obrony terytorialnej.

Przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego nic nie wskazywało na to, aby wojsko i Straż Graniczna „nie radziły” sobie z kilkudziesięcioma lub nawet kilkuset migrantami, a także dziennikarzami i aktywistami – chyba że za swoją porażkę uznają jedną próbę przecięcia nowo powstałych zasieków z drutu kolczastego czy też usiłowanie dostarczenia jedzenia i pomocy lekarskiej grupie Afgańczyków spod Usnarza Górnego. Gdyby stan wyjątkowy miał faktycznie służyć głównie bezpieczeństwu Polski, rząd Zjednoczonej Prawicy – której politycy, przypomnijmy, od lat akcentują zagrożenie masową migracją z państw muzułmańskich – w tym przypadku zdecydowałby się na otwartą politykę informacyjną.

Stało się jednak inaczej. Taki sposób wprowadzenia stanu wyjątkowego (odmienny od tego, w jaki uchwalano go w Litwie czy Łotwie) musi skutkować spadkiem wiary w siłę i moc sprawczą rządu. Kolejny raz w ciągu ostatnich lat z pozoru okazując siłę, nasze państwo odkryło przed nami – oraz, co gorsza, przed tymi za granicą, którzy życzą Polsce źle – wyłącznie słabość.

© P

MICHAŁ KOŚC / FORUM

Granica polsko-białoruska na rzece Świsłocz. Chomontowce, woj. podlaskie 29 sierpnia 2021 r.

Bruksela z nogą na hamulcu

PRZECIĄGANIE NEGOCJACJI co do Krajowego Planu Odbudowy ma związek z podważaniem nadrzędności prawa UE w Polsce. Tę brukselską tajemnicę poliszynela wreszcie wyjawili przedstawiciele Komisji Europejskiej. Pozostaje pytanie, na jak skrojony kompromis pójdzie teraz Warszawa z instytucjami unijnymi, by zacząć dostawać nowe fundusze.

Projekt KPO, który ma być podstawą do wydania 23,9 mld euro dotacji oraz 12,1 mld euro tanich pożyczek (Polska ma jeszcze prawo do kolejnych 22 mld pożyczek), był zasadniczo wynegocjowany już w połowie lipca. Ale Komisja ostro nacisnęła na hamulec, gdy wybuchł spór o niewykonanie decyzji Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczących sądownictwa. Choć długo unikała publicznego i bezpośredniego wiązania obu spraw, to w ostatnich dniach – najpierw ustami jednego z komisarzy, potem swego wiceszefa Valdisa Dombrowskisa – potwierdziła, że w rokowaniach idzie właśnie m.in. o ten teraz najgorętszy kłopot praworządnościowy.

Mało prawdopodobne nadal wydaje się przeciągnięcie się sprawy KPO poza późną jesień czy na 2022 r. Niewykluczone, że Brukseli na teraz wystarczyłoby rychłe wdrożenie lipcowych decyzji TSUE w sprawie sądownictwa, co oznaczałoby, że orzeczenia polskiego Trybunału Konstytucyjnego o wyrokach TSUE „naruszających konstytucję” nie przełożyłyby się na konkretne fakty w wymiarze sprawiedliwości w Polsce. A skoro pieniądze z KPO mają być wydzielane do 2026 r., to wymagana co pół roku zgoda Brukseli na kolejne transze może stać się nowym narzędziem nacisku w kwestiach dotyczących praworządności.

© TOMASZ BIELECKI

KRAJ W SKRÓCIE

ROZMOWA

Ratownicy medyczni domagają się podwyżek – w ramach ich protestu w Warszawie do potrzebujących nie wyjechało 38 z 80 karet. „Apeluję do pracowników służby zdrowia, żeby nie odchodzili od pacjentów, i o to, żebyśmy usiedli do stołu i porozmawiali” – powiedziała min. Bogna Janke, odpowiadająca w Kancelarii Prezydenta za dialog społeczny.

MILCZENIE

Rozmawianie nie jest chyba mocną stroną obecnej władzy. Uczestniczka emitowanego przez TVN programu „TOP Model” Marianna Schreiber, prywatnie żona posła PiS i ministra w Kancelarii Premiera, o akcesie do telewizyjnego show nie rozmawiała z mężem.

MONOLOG

A nadawca show wciąż jest źle widziany w kręgach rządowych. „Jak patrzę na to, jak gigantyczny hejt wywołuje stacja TVN, np. wobec Pawła Kukiza, to wydaje mi się, że to nie są wolne media, to są wolne żarty” – powiedział premier Mateusz Morawiecki w radiu RMF, pytany o losy tzw. lex TVN.

ŚPIEW

Wokalistka zespołu Bajm została zatrzymana przez policję za jazdę samochodem pod wpływem alkoholu (miała w organizmie 2 promile). Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś grzmi o „braku celebryckiego immunitetu” – Beacie K. grozi kara do 2 lat pozbawienia wolności.



ŁUKASZ JACH opowie Grzegorzowi Chłacie o tym, po co nam poczucie humoru (tekst na s. 88). Słuchaj w środę 8 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM Ostrów Maz. 87,6 FM Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

Kogo porwie Jaśmina

WYSOKO ZAWIESZONĄ POPRZECZKĘ łatwiej zrzucić niż przeskoczyć: to *casus* kongresu Polski 2050. Zaprezentowana nań „pierwsza polska aplikacja polityczna” Jaśmina może być użytecznym narzędziem angażowania ludzi w prace formacji i poznawania ich opinii, ale mało prawdopodobne, by stała się, jak przekonywał Szymon Hołownia, „białym koniem, na którym każdy może wjechać do polityki i odmieniać jej oblicze”.

Hołownia mówił nie tylko Janem Pawłem II. Był też Joseph Conrad i „jądro ciemności” (rządy PiS-u), a w słowach o „wkurzonych marzycielach” pobrzmiwał pastor King. Za ornamentyką retoryczną krył się programowy groch z kapustą. Hołownia obiecał, że 16-latkowie otrzymają prawo wyborcze, a Trybunał Konstytucyjny zostanie zlikwidowany (w obu przypadkach trzeba zmienić ustawę zasadniczą). Znikną kolejki do lekarza (cudowne rozmnożenie medyków?), państwo zaś zapłaci za zwłokę w rozpatrywaniu spraw obywateli (jak ma to usprawnić np. system sądownictwa?). „Kim jesteśmy? Zielonymi demokratami – deklarował Hołownia. – I najpierw zatrzymamy gamoni u władzy, a potem uzdrowimy Polskę”. Tuż po kongresie napisał na TT: „Otworzyliśmy polityczny sezon, który prostą drogą poprowadzi nas do przejścia odpowiedzialności za Polskę”.

Tyle że na razie droga jawi się jako wyboista. Hołownia, który po powrocie Tuska do krajowej polityki notuje sondażowe spadki, próbuje się pozycjonować jako „trzecia siła” i wejść kłosem między PO i PiS. Nie on pierwszy, a te wcześniejsze próby (ostatnio Robert Biedroń) nie były skuteczne. Polska 2050 straciła koszulkę lidera opozycji i walczy o trzecie miejsce z Lewicą i Konfederacją. Hołownia duże nadzieje wiąże z wyborcami zdemobilizowanymi, chce ich przyciągnąć do urn, liczy też na rozczarowanych wyborców PiS-u. Ma pewne szanse, bo – jak pokazują badania – Polska 2050 budzi ich lekkie zainteresowanie.

© KAROLINA LEWICKA

Najwyższa niepewność

W TEJ SPRAWIE trudno już o zaskoczenie, bo kolejne odroczenia rozprawy Sądu Najwyższego, która miała przynieść odpowiedź na pytanie, czy banki mogą żądać opłaty za korzystanie z kapitału od skonfliktowanych z nimi frankowiczów, przestały irytować nawet zainteresowane strony. Linia orzecnicza w sprawach frankowych (przeszło 30 tysięcy wyroków, w miazdzącej większości na niekorzyść banków) okrzepła zresztą już na tyle, by nie pozostawiać wątpliwości, że rację w tym sporze mają klienci. Składy niższych instancji opierają się tutaj na prawie unijnym, które broni interesów słabszej strony umowy, czyli klienta indywidualnego. Opłata za korzystanie z kapitału – co podkreślał m.in. polski Rzecznik Finansowy – także w naszym ekosystemie prawnym byłaby rodzajem nowotworu.

Sędziowie SN, usiłujący za wszelką cenę nie mieć zdania w tej sprawie, mają prawo do wątpliwości. Roztropność powinna być ich cnotą, lecz w granicach wyznaczonych literą prawa. Bankowa narracja o opłacie za korzystanie z kapitału jest tymczasem próbą przeflancowania sporu przegranego na gruncie prawnym na płaszczyznę ekonomiczną i powinna zostać rozpatrzona wyłącznie w kategoriach kodeksowych.

© MAREK RABIJ

Głupio się bawicie

W WARSZAWSKIM Centrum Sztuki Współczesnej trwa wystawa „Sztuka polityczna”, która uwagę przyciąga głównie z powodu obecności dwóch skandynawskich performerów, eksplloatujących albo nazistowską symbolikę (Dan Park) albo stereotypy antyislamskie (Uwe Max Jensen). W reakcji na dające się przewidzieć protesty, dyrektor CSW mówi o „niezrozumieniu języka sztuki współczesnej” i że prace nie należy odczytywać dosłownie. Tym samym próbuje odwołać się do szczególnego statusu sztuki krytycznej, tyle że z ostrzem skierowanym tym razem w stronę „lewicowych utopii i politycznej poprawności”. Sęk w tym, że to jest odwołanie do strategii od dawna nieskutecznych, których nie uprawia już nikt poważny po „lewej” stronie.

Przy rozmyciu i decentralizacji wszelkich hierarchii i braku hegemonów rozdających szacunek lub środowiskowe przywileje, takie „obrazoburcze” wypowiedzi przypominają spóźnione o 30 lat mazanie brzydkich słów na płócie przez przerosniętych chłopców. Z tą różnicą, że sprawiają nieironiczny ból tym, którzy np. swastykę pamiętają jeszcze całkiem dosłownie.

© P PAWEŁ BRAVO

Przyszłość w zawieszeniu

2 LATA I 2 MIESIĄCE – o tyle mogłaby zwiększyć się globalnie średnia długość życia, gdyby stężenie pyłów zawieszonych PM_{2.5} w powietrzu nie przekraczało standardów WHO – wynika z corocznego raportu Air Quality Life Index przygotowanego przez badaczy z uniwersytetu w Chicago. Złe powietrze skraca życie bardziej niż palenie papierosów.

Smog w Polsce zabiera statystycznie 11 miesięcy życia – i to najgorszy wynik w Europie. W środkowych i północnych Indiach aż 480 milionów mieszkańców boryka się z „najbardziej ekstremalnym problemem zanieczyszczenia powietrza na świecie”. Mieszkańcy New Delhi żyliby średnio nawet o 10 lat dłużej, gdyby oddychali zdrowym powietrzem.

© P KS



JENNY EVANS / GETTY IMAGES

Niepokojąca różnica

AUSTRALIA ZMAGA SIĘ z wariantem Delta, który podważył obronę dotąd przez rząd strategię eliminacji wirusa. Na przełomie sierpnia i września zaczęto odnotowywać po ponad tysiąc zakażeń dziennie, większość w stanie Nowa Południowa Walia. W głównych miastach przedłużono lockdown, a władze starają się przyspieszyć akcję szczepień. Australijczycy zaczęli szczepić się później niż Europa i USA, mieli też problemy z dostawami. Do tej pory dwie dawki otrzymało 38 proc. mieszkańców powyżej 16. roku życia. Po zaszczepieniu 70 proc. dorosłych władze zniosą część obostrzeń.

Niepokój wzbudza znacznie niższy poziom wyszczerpienia wśród rdzennych mieszkańców Australii – w skali kraju to średnio aż 20-procentowa różnica. Tymczasem są oni grupą szczególnie zagrożoną ze względu na gorszy dostęp do opieki zdrowotnej, często występujące obciążenia zdrowotne i złe warunki mieszkaniowe uniemożliwiające izolację. Pod koniec sierpnia odnotowano wśród nich pierwszy przypadek zgonu na covid: zmarły 50-latek nie był zaszczepiony.

Na zdjęciu: w Wilcannia (Nowa Południowa Walia), gdzie żyje wielu rdzennych mieszkańców, wiejska straż pożarna ustawiła „miasteczko izolacyjne” z kamperów.

© P PATRYCJA BUKALSKA

„Zapad 2021”: Kreml straszy i prowokuje



WOJCIECH KONOŃCZUK

ROSYJSKO-BIAŁORUSKIE ĆWICZENIA WOJSKOWE „Zapad 2021” będą – w kulminacyjnej fazie, w dniach 10-16 września – największymi tego typu manewrami w Europie od początku lat 80. XX w. Na poligonach w Rosji i na Białorusi zaangażowanych będzie ok. 200 tys. żołnierzy, co wywołuje zaniepokojenie państw NATO i stawia pytania o rosyjskie intencje.

Oficjalny scenariusz „Zapadu 2021” zakłada jego obronny charakter. Siły Rosji i Białorusi mają przeciwdziałać próbom zewnętrznego zdestabilizowania sytuacji politycznej, których celem jest zmiana władzy, a po zapobieżeniu tym próbom – będą ćwiczyć odparcie agresji zewnętrznej. Wrogami (nienazwanymi wprost) są Polska i państwa bałtyckie oraz inne kraje NATO. W istocie „Zapad 2021” ma charakter ofensywny: to scenariusz konfliktu z zachodnimi sąsiadami na wielką skalę.

„Zapad 2021” to jednak nie tylko ćwiczenia wojskowe, ale też operacja psychologiczna skierowana przeciw społeczeństwu UE. Celem jest ich zastraszenie i ugruntowanie przekonania, że groźba wybuchu wojny jest realna, co ma z kolei służyć lansowaniu tezy o konieczności porozumienia się z Rosją na warunkach Kremla. Ważnym kontekstem ćwiczeń jest kryzys migracyjny na granicy białorusko-unijnej, wywołany sztucznie przez reżim Aleksandra Łukaszenki. Nie ma wątpliwości, że działania Mińska, w których wykorzystuje się migrantów usiłujących nielegalnie dostać się do Unii, odbywają się co najmniej za wiedzą i przyzwoleniem Rosji, a zapewne przy jej współpracy. Niesie to niebezpieczeństwo, że oba państwa mogą doprowadzić do prowokacji na granicy z Unią, gdzie sytuacja i tak jest już napięta.

©

Bitwa o Pandższir

WOJCIECH JAGIELSKI



MIASTO BAZARAK, STOLICA DOLINY Pandższiru – ostatniego skrawka Afganistanu, który nie uznawał panowania talibów – zostało przez nich zdobyte w niedzielę 5 września, po ciężkich i trwających prawie tydzień walkach.

Talibowie twierdzą, że zajęli już całą dolinę – tę samą, do której w latach 90. XX w., gdy rządili po raz pierwszy, nie udało się im nawet wdrzeć. Wcześniej, w latach 80., Pandższir oparł się armii sowieckiej, która okupowała kraj przez dziesięć lat (1979-89). W tamtym czasie przywódcą Pandższiru był partyzancki komendant Ahmad Szah Massud. Dziś ruchowi oporu przewodzi jego syn, także Ahmad.

Partyzanci z Pandższiru przyznają, że wyposażeni w pozostawioną przez Amerykanów broń talibowie wdarli się do doliny i zmusili ich do odwrotu, ale zapewniają, że wciąż panują nad jej północną częścią i będą walczyć, jeśli talibowie nie przystaną na układy.

Fahim Daszti, dobiegający pięćdziesiątki niedawny dziennikarz, a ostatnio rzecznik partyzantów i szef sztabu Mas-suda – oraz jeden z bohaterów naszego artykułu o dolinie Pandższiru, który publikujemy w dziale Świat – jeszcze w niedzielę relacjonował mi w rozmowie telefonicznej, że na położonych na wysokości 3-4 tys. metrów przełęczach Chawak i Andżoman ponad półtora tysiąca talibów zginęło lub się poddało. Tej samej niedzieli Fahim zginął w walce, w okolicach Bazaraku.

W piątek, gdy w Kabulu rozeszły się przedwczesne, jak się okazało, pogłoski o zdobyciu Pandższiru, talibowie powitali je radosną palbą w powietrze. Wojenny karnawał zakończył się śmiercią prawie 20 przypadkowych mieszkańców stolicy. Prawie drugie tyle zginęło podczas kanonady na wiwat w położonym na Przełęczy Chajberskiej Dżalalabadzie. „Zamiast strzelać, módlcie się i dziękujcie Bogu za zwycięstwo – nakazał talibom ich rzecznik Zabihullah Mudżahid. – Pociski mogą zabijać i ranić. Nie strzelajcie więc bez potrzeby.”

©P

Izrael: święta z Delta

ZAPROSZENIE Z KASY CHORYCH na szczepienie trzecią dawką przyszło pod koniec sierpnia mailem i esemesem. Pielęgniark, szykując igłę, z większą niż wcześniej wagą tłumaczył mi, że nie wiadomo, jak organizm zareaguje, i trzeba się bacznie obserwować. Wątpliwości bijące z jego słów dobrze oddają atmosferę wokół tej tzw. dawki przypominającej w Izraelu: obaw co do jej skuteczności, a zarazem nadziei na spokojne przeżycie zaczynającego się okresu świąt – Rosz Haszana, Jom Kippur i Sukkot. A przede wszystkim: na uniknięcie zakażenia mutacją Delta.

Władze twierdzą, że dzięki trzeciej dawce, podawanej wszystkim powyżej 12. roku życia, udało się odsunąć wizję kolejnego lockdownu. Ale intensywna kampania szczepień i testowania to wciąż wyścig z czasem. W minionym tygodniu liczba nowych zakażeń sięgała ponad 11 tys. dziennie, potem zaczęła spadać.

Prawie 700 osób jest poważnie chorych, z czego większość to niezaszczepieni. Eksperci ministerstwa zdrowia podkreślają, że liczby świadczą o skuteczności szczepionek, boją się jednak, że rozpoczęcie roku szkolnego i okres świąt, mimo zarządzonych obostrzeń, mogą prowadzić do wzmożonych infekcji.

Koniec wakacji źródłem nowych infekcji?

W WIELKIEJ BRYTANII znów rośnie krzywa dziennych zakażeń COVID-19: w pierwszych dniach września zbliżała się lub przekraczała 40 tys. przypadków (a codziennie umierało nieco ponad sto osób). Tyle zakażeń to dużo, ale takich, a nawet większych liczb spodziewano się po zniesieniu niemal wszystkich restrykcji. W Anglii zrobiono to w połowie lipca, w pozostałych częściach Zjednoczonego Królestwa trochę później – uznając, że lato, gdy zamknięte są szkoły, a ludzie dużo przebywają na zewnątrz, jest na to najlepszą porą.

Teraz wakacje dobiegły końca, wraca więc pytanie, na ile to powrót dzieci do szkół skutkuje wzrostem zakażeń. Niepokój budzi sytuacja w Szkocji, gdzie liczba wykrywanych infekcji rośnie szybciej niż w reszcie kraju i osiąga naj-



MENACHEM KAHANA / AFP / EAST NEWS

Ze szkół i przedszkoli płyną niepokojące wieści. Zaledwie cztery dni po rozpoczęciu zajęć odnotowano aż 43 tys. pozytywnych testów wykonanych u uczniów i nauczycieli, 33 tys. uczniów wyładowało na kwarantannę, a 2 tys. przedszkoli i klas w szkołach zawiesiło zajęcia z jej powodu (na zdjęciu: rozpoczęcie roku szkolnego, Jerozolima, 1 września).

Dziewięć milionów Izrael jako pierwszy na świecie wprowadził szczepienia trzecią dawką, przypominającą. Pierwszą otrzymało dotąd ponad 6 mln mieszkańców, dwie 5,5 mln, a trzecią ponad 2,5 mln. Izraelscy eksperci mówią, że trzeba liczyć się z koniecznością podania czwartej dawki.

©P KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

wyższy poziom od początku pandemii. A wakacje skończyły się tam już trzy tygodnie temu.

Jednocześnie w Wielkiej Brytanii trwa dyskusja, czy powinny być szczepione dzieci w przedziale wiekowym 12-15 lat. Na początku września doradczą rządowi Wspólna Komisja Szczepień i Immunizacji (JCVI) przedstawiła swoje stanowisko, nie zalecając powszechnego szczepienia nastolatków. Według komisji ryzyko zachorowania jest dla nich małe, więc i korzyści ze szczepienia byłyby niewielkie; szczepione powinny być natomiast te nastolatki, które ze względu na inne schorzenia są narażone na ciężki przebieg covidu. Inni eksperci jednak wskazują, że zaszczepienie uczniów umożliwi sprawne funkcjonowanie szkół, a to jest ważne dla ich szans edukacyjnych. Nadal też nie wiadomo wszystkiego o długofalowych skutkach covidu u dzieci. Niewykluczone, że decyzja rządu w sprawie szczepień nastolatków będzie inna niż rekomendacja komisji.

©P PATRYCJA BUKALSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

TERAPIA

„Warunkiem tego, by być dobrym wychowawcą, jest troska o własny rozwój wewnętrzny” – napisali biskupi w liście na XI Tydzień Wychowania. Zachętili do korzystania z kierownictwa duchowego, a także z psychoterapii: „U wielu z nas pokutuje wciąż obawa przed korzystaniem z takiej profesjonalnej pomocy, tymczasem nie jest ona niczym nadzwyczajnym i może stanowić skuteczną pomoc w drodze do dojrzałości”.

ZASTRZYK

Nadzieję na to, by skończyło się głoszenie pseudonaukowych poglądów o szczepionkach, wyraził patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I. W wywiadzie telewizyjnym podkreślił, że Kościół szanuje wskazania nauki i że „każdy bez zastrzeżeń powinien się zaszczepić”.



STEPHAN TURNOWSKY / FB

WSPINACZKA

Biskup pomocniczy Wiednia Stephan Turnowski wspólnie z proboszczem i jednym z parafian (wszyscy są alpinistami), wspiął się na 30-metrową wieżę kościoła św. Jakuba w Niederkreuzstetten. Wspinacze wnieśli „kapsułę czasu” z pamiątkowymi dokumentami do zamontowania w odrestaurowanym krzyżu.

KAMIEŃ

Archeolodzy odkryli w Jerozolimie kamieniołom sprzed 2 tys. lat, który mógł być źródłem budulca Drugiej Świątyni. Badacze planują teraz odtworzyć starożytne metody oddzielania bloków, m.in. te opisane w źródłach biblijnych.

Błogosławieństwo dla zaangażowanych katolików

ARTUR SPORNIAK



KONGRES KATOLICZEK I KATOLIKÓW, CZYLI grupa ludzi zainteresowanych poważną dyskusją o reformie Kościoła, poprosiła o spotkanie abp. Stanisława Gądeckiego. Przedstawiciele kongresu chcieli przede wszystkim sprostować krążące w mediach sugestie, że nie interesuje ich dyskusja z biskupami.

Spotkanie odbyło się 2 września. Przebiegło w życzliwej atmosferze, co podkreślają jego uczestnicy. Przez prawie dwie godziny rozmawiano głównie o przygotowaniach do najbliższego synodu. Delegacja chciała się dowiedzieć, czy może się w nie włączyć. („Ksiądz arcybiskup odpowiedział krótko: »Do roboty!«” – podsumowała spotkanie s. Barbara Radziwińska, rzeczniczka prasowa Kongresu.) Grupie tej zależy przede wszystkim, by w ramach konsultacji przedsynodalnych dotrzeć do „peryferii Kościoła” i środowisk „zaniedbanych duszpastersko”. Jak wyjaśnił „Tygodnikowi Powszechnemu” członek kongresowej delegacji – ks. Arkadiusz Lechowski z Łodzi

– do tych pierwszych należą katolicy zniechęceni do Kościoła albo nieczujący się w nim najlepiej, jak osoby LGBT czy żyjące w związkach niesakramentalnych, a do drugich – np. single.

W spotkaniu obok przewodniczącego Konferencji Episkopatu uczestniczył przewodniczący Rady ds. Apostolstwa Świeckich bp Adrian Galbas oraz ks. Mirosław Tykfer, zajmujący się przygotowaniami do synodu w archidiecezji poznańskiej, a wśród członków delegacji znaleźli się m.in. dominikanin o. Paweł Guzyński i Marcin Dzierżanowski – współzałożyciel Fundacji Wiara i Tęcza, działającej na rzecz chrześcijan LGBT.

Jeszcze nie wiadomo, jak będą konkretnie przebiegać rozpoczynające się w październiku przygotowania do synodu (Watykan dokument przygotowawczy i *vademecum* synodalne przestawił już po zamknięciu tego numeru), ani jakie przyniosą w Polsce owoce. Ale błogosławieństwo najważniejszego biskupa dla działań Kongresu Katolicek i Katolików nastroja optymistyczne. ©P

Rozmowa jak pontyfikat

PONAD GODZINNEGO WYWIADU udzielił papież Franciszek hiszpańskiemu radiu Cope. Konwencja swobodnej „rozmowy o wszystkim” pozwoliła poruszyć ponad 20 tematów: samopoczucie po operacji, pogłoski o dymisji, globalne ocieplenie, migracja, aborcja, eutanazja, pedofilia, sytuacja Kościoła w Niemczech, polityka w Hiszpanii, wycofanie wojsk z Afganistanu, porozumienie z Chinami. Sprzyjała także niedomówieniom (jakim było np. wymienienie nazwisk dwóch hierarchów z czasów Jana Pawła II w kontekście afer finansowych czy podanie w wątpliwość spotkania z Viktorem Orbanem, przewidzianego w oficjalnym programie wizyty na Węgrzech) i pomyłkom (np. przypisanie Angeli Merkel słów Władimira Putina).

Papież dał do zrozumienia, że do swego pontyfikatu podchodzi zadaniowo: realizuje zlecenie, jakie dostał od kolegium kardynałów, i szuka odpowiedzi na pytania, jakie stawia przed nim czas. Bo to pontyfikat taki, jak ta rozmowa: spontaniczny, nietrzymający się planu, wystarczająco długi, by zacząć wiele tematów, a zbyt krótki, by je do końca zrealizować. ©P EDWARD AUGUSTYN

Szczegółowe omówienie rozmowy na: powszech.net/franciszek

Słóik św. Franciszka, czyli zero waste

SPRAWDŹ, JAKĄ ŚMIERCIĄ UMRZESZ – zachęca zespół Laudato Si' przy Caritas Polska. Zależnie od odpowiedzi udzielonych w quizie online okazuje się, że np. zginiesz w wojnie o wodę albo zabije cię epidemia.

Quiz jest jedną z akcji na rzecz zwiększenia świadomości ekologicznej. Wrzesień to „Czas dla stworzenia” – inicjatywa chrześcijan na całym świecie. Z tej okazji zespół Laudato Si' rozstał do polskich parafii 10 tys. „Eko paczek”, zawierających m.in. encyklikę Franciszka wydrukowaną na papierze z makulatury oraz list do proboszczów z pomysłami na projekty ekologiczne. Chodzi np. o założenie „jadłodzielni” i „podzielni” ze sprzętami domowymi, zasadzenie łąki kwietnej, stworzenie „zielonej enklawy” o wysokiej bioróżnorodności czy usunięcie betonu z placu między skrzydłami budynku szkolnego.

Jest też pomysł na „Słóik św. Franciszka”, czyli przeprowadzenie warsztatów gotowania z resztek z potraw. Do „Eko paczki” dołączono list bp. Wiesława Szlachetki, szefa Komisji Charytatywnej KEP, w którym czytamy: „Jeżeli przyjrzymy się światu z perspektywy nieustannej twórczej obecności ludzi dobrej woli, to widzimy, że jest w nim o wiele więcej dobra niż zła”.

©P MAM



SYLKE ROHLACH / DOMENA PUBLICZNA

Obrzucanie błotem

DNO ZATOKI JERVIS położonej u południowo-wschodniego wybrzeża Australii zamieszkuje wiele rzadkich gatunków zwierząt, ale największe zainteresowanie naukowców w ostatnich latach wywołują tamtejsze ośmiornice. Peter Godfrey-Smith z Uniwersytetu w Sydney i współpracownicy odkryli dwa miejsca, nazwane Octopolis i Octlantis, w których ośmiornice z gatunku *Octopus tetricus* (na zdjęciu) wchodzi ze sobą w różne interakcje i komunikują się poprzez zmianę kolorów ciała. Wcześniej wszystkie ośmiornice uznawano za zwierzęta żyjące w samotności.

Pod koniec sierpnia ten sam zespół badawczy w niezrecenzowanej jeszcze pracy ogłosił, że do repertuaru zachowań społecznych ośmiornic z zatoki Jervis należy dodać „rzucanie” mułem, glonami i muszlami w stronę irytujących osobników.

Naukowcy przeanalizowali kilkadziesiąt godzin podwodnych nagrań i doliczyli się przeszło stu przypadków, gdy ośmiornica zbierała materiał z dna, a następnie wykorzystywała syfon – organ, którym tę głowonogi „wysstręliwują” wodę pod dużym ciśnieniem, by się przemieszczać – do wyrzucenia przygotowanego ładunku na odległość nawet kilku metrów.

Nie wszystkie rzuty wykonywane były w takich samych okolicznościach, ale część wyraźnie była wycelowana w inne osobniki i następowała po wcześniejszych interakcjach. Miotacze używali wówczas głównie mułu, a bliższe połowa prób kończyła się trafieniem. Takie rzuty były też wykonywane z większą siłą niż pozostałe i towarzyszyła im zmiana ubarwienia na ciemne.

W rzucaniu mułem specjalizowały się zwłaszcza samice. Na cel brane były zarówno inne samice, jak i samce, które akurat próbowali zalotów. © PŁUKASZ KWIATEK

Awaria na ISS: początek końca stacji?

NAJSTARSZY MODUŁ Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS), rosyjska Zaria, zaczyna pękać.

Budowa ISS zaczęła się w 1998 r. właśnie od wyrzelenia Zarii. Stację odwiedziło 241 osób z 19 krajów. Ma na koncie ok. 3000 eksperymentów. Astronauci zajmowali się tu fizyką podstawową, medycyną, hodowlą kryształów i sałaty, doglądali pajaków i kałamarnic. To na ISS Chris Hadfield nagrał pierwszą płytę z muzyką wykonaną w kosmosie.

Pierwotnie stacja miała działać przez 15 lat. NASA chciała po 2024 r. przekazać jej stery w ręce prywatnych firm. Rosja twierdzi jednak, że przez zmęczenie materiału po 2030 r. nie będzie czego przekazywać, i rozważa budowę nowego obiektu.

Pęknięcia to najnowszy z serii problemów. W lipcu nowy moduł Nauka już po zaciemieniu odpalił silniki, obracając stację. W rosyjskim segmencie były też problemy z wyciekami powietrza i działaniem toalety.

Utrzymanie starzejącej się ISS kosztuje 3-4 mld dol. rocznie, a będzie tylko droższe. Tyle że dla nauki jest bezcenna, a Zachód jeszcze nie zaczął planować następcy.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nowy lek, nowa szczepionka

PANDEMIA PRZYSPIESZYŁA BADA-NIA nad nowymi technologiami medycznymi, co zaowocowało m.in. powstaniem wykorzystywanych od miesięcy szczepionek mRNA, a także szczepionek DNA, z których pierwsza w historii została właśnie warunkowo dopuszczona do użytku w Indiach.

Trójdawkowy preparat przeciwko SARS-CoV-2 o nazwie ZyCoV-D tak jak szczepionki mRNA korzysta z naturalnej drogi syntezy białek. Kolista cząstka DNA (plazmid) wprowadzona do organizmu dostaje się do jądra komórkowego, tam przepisywana jest na mRNA, na bazie którego powstaje niegroźne dla człowieka białko wirusa. Obca proteina wywołuje reakcję układu odpornościowego i nabywamy odporność. Ten dodatkowy krok zwiększa stabilność szczepionki DNA – nie wymaga tak niskich temperatur, jak np. produkt Pfizera. Do jej podania nie jest potrzebna igła, bo wprowadza się ją powierzchownie w skórę pod wysokim ciśnieniem. Deklarowana przez producenta skuteczność to 67 proc.

Nowością są też leki opracowywane przez sztuczną inteligencję. W lutym 2020 r. algorytm firmy Benevolent wytypował kilka znanych medycynie substancji jako potencjalne leki przeciwko COVID-19. Jedna z nich, baricytynib, okazała się skuteczna. Stosowany do tej pory w reumatologii lek działa zarówno przeciwwirusowo, jak i przeciwzapalnie, co ma kluczowe znaczenie w ciężkich przebiegach, gdy nadmierna reakcja immunologiczna zagraża życiu pacjenta. Choć nie wykazano, by baricytynib spowalniał progresję choroby, to w porównaniu z placebo redukuje śmiertelność o 5 punktów procentowych w 28-dniowej obserwacji. Na pozór to niewiele, ale jak dotąd żaden inny lek nie wykazał większej skuteczności.

© BARTOSZ KABAŁA

ABBA: jeszcze się zdziwicie

POWROTY GWIAZD po latach są zawsze ryzykowne, ale ten zespół wracał już kilkakrotnie – i zawsze z sukcesem (nieprzychylni dodadzą, że wyłącznie komercyjnym). Czterdzieści lat po wydaniu „The Visitors”, ostatniego premierowego albumu, ABBA przedstawia światu nowe piosenki. Premierę kolejnej płyty zapowiedziano na 5 listopada, jednak ciekawsze – bo wychodzące poza nostalgę – jest to, co wydarzy się w maju przyszłego roku.

Wtedy w Londynie, w przygotowanej na terenie Parku Olimpijskiego „strefie ABBA”, zaplanowano serię koncertów-widowisk szwedzkiego zespołu. Zapowiada się wydarzenie, na którego opis – dosłownie – brakuje słów. Ma to być „doświadczenie” z pogranicza światów i epok: zarejestrowane w technice wirtualnej rzeczywistości ruchy członków grupy zostaną naniesione na rzeczywistość z 1979 r., kiedy ABBA była w szczytowej formie, a następnie „rzucane” na scenę, na której – obok cyfrowych wersji czwórki ze Szwecji (poniżej) – pojawi się dziesięcioosobowy – już całkiem żywy – zespół akompaniujący. Bilety na widowiska są w sprzedaży od 7 września.



MATERIAŁY PRASOWE

850 ekspertów z założonej przez George’a Lucasa firmy Industrial Light & Magic, filmowej fabryki efektów specjalnych, pracuje nad projektem od kilku lat, łącząc doświadczenie z Hollywood z lekcjami z poprzednich wskrzeszeń zespołu ABBA (musicalu i dwóch filmów spod szyldu „Mamma Mia!” oraz multimedialnego „muzeum”, dziś jednej z większych atrakcji Sztokholmu). Publiczność londyńskich „koncertów” będzie wielopokoleniowa. Wydana w 1992 r. składanka największych hitów utrzymuje się bez przerwy na brytyjskiej liście przebojów od ponad tysiąca tygodni (w ostatnim była na miejscu 12.).

Zespół ABBA łatwo traktować z lekceważeniem. Jego pojawienie się na szwedzkim i brytyjskim rynku muzyki pop na przełomie lat 70. i 80. (w szczycie zimnej wojny, kryzysu naftowego i rewolucji thatcherizmu) i ostentacyjne niezwracanie uwagi na świat wokół, nad który zespół przedkładał śpiewanie o miłości – bywa powodem do krytyki. Czasem jednak ostentację myli się ze szczerością. Słuchając dziś jednego z członków grupy, Björna Ulvaeusa, który odpowiadając na pytanie o najlepsze doświadczenie związane z zespołem, odpowiada: „wolność i niemartwienie się pieniędzmi” – można mu przecież również zazdrościć. I tak już od prawie pół wieku.

© PATRYK STANIK

KULTURA W SKRÓCIE

REPORTAŻ DOMINUJE

Aż cztery z siedmiu książek-finalistek Nagrody Literackiej

Nike to reportaże: „Lajla znaczy noc” Aleksandry Lipczak, „Najlepsze miasto świata” Grzegorza Piątka, „Fuerte” Kasprowa Bajona i „Kajś” znanego czytelnikom „Tygodnika” Zbigniewa Rokity. Do tego grona dołączyły biograficzna książka Moniki Śliwińskiej „Panny z »Wesela«”, powieść Krzysztofa Fedorowicza „Zaświaty” oraz tom poetycki – „Podwójne wahadło” Jacka Podsiadły, którego felietony także mamy przyjemność publikować w „Tygodniku”.
Rozstrzygnięcie
3 października.

LEM NADLATUJE

10 września rozpocznie się w Krakowie festiwal Bomba Megabitowa, będący kulminacją Roku Stanisława Lema w stulecie urodzin pisarza. W czasie festiwalu Lema felietonistę „Tygodnika” wspominał będzie ks. Adam Boniecki, wśród gości będą też m.in. Ewa Lipska, Radosław Rak, Robert Więckiewicz, Piotr Paziński, Wojciech Orliński, Łukasz Lamża, Michał Okoński.

WENECJA WYCZEKUJE

Do 11 września potrwa Festiwal Filmowy w Wenecji, podczas którego o Złotego Lwa zawalczą film Jana P. Matuszyńskiego „Żeby nie było śladów”, powstały na podstawie napisanej przez Cezarego Łazarewicza książki o śmierci Grzegorza Przemyka. Scenariusz: Kaja Krawczyk-Wnuk.



Pierwsze
Radio
Informacyjne

ANNA ŁABUSZEWSKA

opowie o ustawionym procesie wybitnego rosyjskiego matematyka Azata Miftachowa (tekst na s. 75)
Pawłowi Sulikowi w Popołudniu Radia TOK FM w środę 8 września o godz. 15.40.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Messi, Ronaldo i wielkie pieniądze

PIŁKARSKIE LATO minęło pod znakiem pieniędzy. Mimo pandemii, która w świat futbolu uderzyła równie mocno jak w inne gałęzie przemysłu rozrywkowego, sumy, jakimi obracała większość klubów podczas zamkniętego dopiero co okienka transferowego, mogą szokować laików. Tylko zespoły angielskiej Premier League szósty rok z rzędu wydały miliard funtów na nowych graczy; kupując Jacka Grealish za 100 milionów Manchester City pobili brytyjski rekord.

Większość klubów, bo jednak nie wszystkie. Największą sensacją okienka było rozstanie fatalnie zarządzanej

PSG / MATERIAŁY PRASOWE



i zadłużonej Barcelony z Leo Messim (na zdjęciu; przeszedł do Paris Saint-Germain). Problemy klubu z Katalonii to

jednak wyjątek potwierdzający regułę, w której umacnia się potęga kilku superklubów. Drugi najbardziej znany piłkarz dekady, Cristiano Ronaldo, wrócił z Juventusu do Manchesteru United, a morał z tych transferów jest taki, że pojawienie się najlepszego piłkarza świata w jakimś mniejszym klubie (jak niegdyś Maradony w Napoli) dziś jest już niewyobrażalne. © PATRYK STANIK

I ani minuty dłużej

W KŁÓTNI Z DZIEĆMI o „jeszcze pięć minut” chińscy rodzice dostali właśnie silne wsparcie od władz. Trzy godziny tygodniowo, tylko w weekendy – tak brzmi wyrok na chińskich nastolatkach, zaostrzający obowiązujące od dwóch lat prawo, które ogranicza czas grania niepełnoletnich w gry online. Tamten zakaz dzieci obchodziły w prosty sposób – używając sprzętu i kont swoich rodziców. Dlatego największy producent gier Tencent od kilku miesięcy naciska na swoich klientów do instalowania – poza kamerą – także oprogramowania rozpoznającego twarz. Jeśli graczem okaże się dziecko, użytkownik zostanie po prostu zablokowany.

© PATRYK STANIK



PAX AMERICANA: KONIEC PIĘKNEGO SNU

Afganistan dalece nie wyczerpuje totalnego charakteru zmian,
które wywołały zamachy z 11 września 2001 r.
Co stało się z naszym światem?

KRZYSZTOF STRACHOTA

WE WTOREK 30 SIERPNIA 2021 ROKU przed północą ostatni żołnierz USA opuścił Afganistan, kraj wrócił pod panowanie talibów (przynajmniej nominalne). Symbolicznie zamknął się najważniejszy rozdział wieku XXI – ten, który zaczął się przed 20 laty, 11 września 2001 r. W ten sposób kończy się też okres, który moglibyśmy nazwać „rewolucją wrześniową”.

Belle Époque i strzały w Sarajewie

Niewiarygodnie piękny był świat na progu XXI w. Opadł kurz po zimnej wojnie. Polska i sąsiedzi byli już w NATO, finalizowaliśmy integrację z Unią. Kończono sprzątanie po wypadku przy pracy, jakim zdawały się wojny w byłej Jugosławii. Kontentowano się stabilnością obszaru postsowieckiego i prozachodnimi reformami młodego prezydenta Putina. Wypatrywano klasy średniej w Chinach, tego filaru przyszłej demokracji.



Nowy Jork nigdy nie zasypia. Montaż, 2020 r.

Świat bogacił się, bawił i śmiało patrzył w przyszłość, która miała być terazniejszością – jak mówił Francis Fukuyama, wieszczący „koniec historii”. Koniec, który nadszedł wraz z bezalternatywnym zwycięstwem demokracji liberalnej (tylko jego mniej optymistyczny oponent, Samuel Huntington, wieszczył konflikt tej „cywilizacji” z innymi).

Nad światem rozpostarty był parasol opieki USA, jedyne supermocarstwo. W listopadzie 2000 r. Amerykanie wybrali na prezydenta George’a W. Busha, który na tle odchodzących Demokratów (interwencje Clintona na Bałkanach i w Somalii) uosabiał izolacjonistyczne odcinanie gospodarczych kuponów od globalnego dobrostanu i wstrzemięźliwość w światowej polityce (odziedziczoną po ojcu-prezydencie, który okazał ją wobec rozpadającego się Związku Sowieckiego). Amerykańscy muzułmanie masowo poparli Busha – konkurencyjny duet Gore–Lieberman traktowali

jako (pro)żydowski i proizraelski, a zatem „naturalnie” antymuzułmański.

Trudno dziś odtworzyć niewyobrażalny szok, jakim były ataki z 11 września 2001 r. Na żywo, przed kamerami, dwa pasażerskie samoloty uderzyły w nowojorskie wieże WTC, a kolejny w waszyngtoński Pentagon (o czymś podobnym tylko śnić mogli Hitler, Tōjō, Stalin czy Mao). Czwarty, lecący pewnie na Białą Dom, spadł na polach Pensylwanii (po heroicznym ataku pasażerów na terrorystów, o czym dziś opowiada hollywoodzki film). Za zamachami stała Al-Kaida: marginalna organizacja, bazująca w zapomnianym przez świat Afganistanie. Zraniony olbrzym przebudził się i zaryczał, a świat struchlał.

Pierwszoplanową kwestią stało się ukaranie sprawców. Gdy talibowie odmówili wydania Osamy bin Ladena, lidera Al-Kaidy, 7 października zaczęła się inwazja USA na Afganistan. Już w listopadzie zajęto Kabul, w niespełna rok zli-

kwidowano resztki po Al-Kaidzie (choć Osama został zabity dopiero w 2011 r.). Zaczął się szereg misji kierowanych przez USA, a realizowanych także przez NATO (w tym Polskę) i przez innych sojuszników Ameryki (jak Japonia czy Gruzja). Misje te miały trwać niemal równe 20 lat.

Krucjata Zachodu

Historia afgańska dalece nie wyczerpuje totalnego charakteru zmian, wywołanych przez zamachy z 11 września. Stany Zjednoczone – wsparte solidarnie przez NATO (to jedyny raz, gdy użyto artykułu 5. traktatu powołującego NATO), innych sojuszników, a nawet struchlałych wrogów (od Rosji przez Iran po wspierający talibów Pakistan) – zabrały się za porządkowanie całego świata.

Operacja w Afganistanie była tylko elementem formalnie ogłoszonej globalnej „wojny z terrorem” – krucjaty, jak ją nimal otwarcie nazywano. Tylko w pierwszych jej latach prowadzono różne ➔

→ operacje wojskowe: od Filipin, przez Jemen, Saharę i Róg Afryki, aż po „miękkie” akcje w Bośni i Gruzji (wąwóz Pankisi). Bazy USA wyrastały w tak niewyobrażalnych miejscach jak Uzbekistan czy Kirgistan. Na tej fali zintensyfikowano metody inwigilacji, przechwytywania danych i wyciągania zeznań (również przy użyciu tortur), jak też rozbijania nielegalnych siatek finansowych.

Kolejnym poziomem stała się eliminacja wsparcia państwowego dla terroryzmu – na celowniku znalazł się m.in. Irak i Iran, ale też (nominalnie sojusznicze) Pakistan i Arabia Saudyjska. Jako kluczowy element strategii uznano walkę z rozwojem broni masowego rażenia – co było czytelne dla weteranów zimnej wojny, a wzmocnione obawami o użycie przez terrorystów tzw. brudnej bomby atomowej, broni biologicznej (na przełomie 2001/02 r. wybuchła histeria o rozsyłaniu w listach wąglik) czy chemicznej (używanej wcześniej m.in. przez Irak i Syrię). Już w styczniu 2002 r. Bush ogłosił „osią zła” Iran, Irak i Koreę Północną.

Kumulacją militarnych założeń nowych porządków stała się (z czasem coraz bardziej kontrowersyjna) operacja USA i sojuszników w Iraku w 2003 r. (obalenie tamtejszego reżimu) oraz podtrzymywana przez kolejne lata perspektywa ataku na Iran. USA stały się – bezprecedensowym w dziejach – żandarmem globalnymi i beزالternatywnym. Oczywiście, jak każdy żandarm, nie mogąc pochwalić się pełną skutecznością i aprobatą.

„Rewolucja wrześnieowa” i jej eksport

Militarny rozmach jednak nie wyczerpuje skali tego przełomu. Stany ruszyły do gruntownej przebudowy świata, zgodnie z przekonaniem o uniwersalności zachodniego porządku, wartości i rozwiązań szczegółowych. To faktycznie była krucjata – tego słowa używano.

O ile zimna wojna była defensywna (Zachód godził się z istnieniem bloku wschodniego i tylko go powstrzymywał), to 11 września miał uporządkować świat według wzorców zachodnich i w wykonaniu amerykańskim (totalność wizji zapewnili neokonserwatyści z otoczenia Busha, dawni trockiści). Demokracja, rządy prawa, gospodarka rynkowa i prawa człowieka miały być nie tylko rozwiązaniem przyczyn terrory-

zmu, lecz docelowym modelem szczęśliwego świata.

Dogmatem polityki USA stało się wsparcie dla ruchów prodemokratycznych, jak też likwidacja stref chaosu i odbudowa/reforma tzw. państw upadłych. Szczególnym przejawem tego były kolorowe rewolucje, wspierane przez USA, a po nich – wsparcie dla budowy sprawnego państwa. Sztandarowy przykład to rewolucja róż w Gruzji i jej gruntowna przebudowa po 2003 r., a także relatywny sukces reform w Kolumbii (tu bez rewolucji) czy obiecujące efekty budowy kurdyjskiego parapaństwa w Iraku.

Choć to USA były siłą dominującą w eksporcie zachodniego modelu (i choć budziło to często sprzeciw, zwłaszcza w Europie), jego duch zdominował też Unię Europejską i NATO. Miało to wpływ na rozszerzanie obu struktur o nowych członków i tworzenie platform promocji modelu zachodniego (Europejska Polityka Sąsiedztwa, Unia dla Śródziemnomorza, Partnerstwo Wschodnie), a także na zdynamizowanie organizacji finansowych (Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy) jako instrumentów tej polityki.

Miedzy Amerykanami a Europejczykami oczywiście iskrzyło – dominacja USA drażniła, trąciła imperialną arogancją i brutalnością. Głośne było określenie, że Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus. Ale były tu też działania komplementarne: za amerykańską siłą szły unijne instytucje (jak w Gruzji) i prowadzona z rozmachem pomoc rozwojowa (oraz interesy gospodarcze ochraniające przez USA, owa „jazda na gapę”, o co później upomni się Trump).

Szczególnym wyzwaniem dla „rewolucji wrześnieowej” był świat islamu: Al-Kaida była radykalnie islamska, islamskie były Irak i Iran, islamskie było ideowe podłoże 11 września i kolejnych zamachów (Madryt, Londyn, a później Bruksela czy Paryż). Szariat jawił się jako antyteza wartości zachodnich. Przez świat zachodni przetoczyła się burza dyskusji o islamie: od głosów radykalnie antyislamskich (Oriana Fallaci), przez głosy akcentujące socjalną i emancypacyjną naturę frustracji, jakie mają kryć się za religijną fasadą, aż po głosy afirmujące proces reformy islamu i jego „cywilizowania” na kształt laicyzacji Europy czy tureckich reform Atatürka. Przez kolejne

20 lat zachodni politycy, eksperci (oraz „eksperci”) i wojskowi mieli testować każde z tych podejść.

Czas frustracji

Tak jak ogromne były ambicje i nadzieje, tak ogromny stał się zawód realiami.

Stabilność i samowystarczalność Afganistanu okazała się wizją znikającą za horyzontem, niezależnie od kolejnych tam wyborów, zabicia Osamy, zakończenia misji ISAF (2014 r.). Jeszcze gorzej było w Iraku: kolejne etapy wojny ze wszystkimi siłami (prócz Kurdów) były coraz bardziej brutalne, zbudowana przez Amerykanów demokracja załamała się po ich wycofaniu (2010 r.), a Irak stanął na krawędzi zagłady wraz z ofensywą Państwa Islamskiego (2014 r.). Naciskany zewsząd reżim irański nie tylko przetrwał, nie tylko nie zawiesił programów nuklearnych i raketowych, lecz wyrósł na lokalnego hegemonia.

Łąbedzim śpiewem „rewolucji wrześnieowej” (choć w minimalnym stopniu efektem działań USA) była Arabska Wiosna w 2011 r., gdy oddolne i prodemokratyczne (i zarazem proislamskie) protesty przetoczyły się przez cały świat arabski i doprowadziły do obalenia dyktatorów w Tunezji, Egipcie, Jemenie i Libii (tu przy militarnym zaangażowaniu Francji, Wielkiej Brytanii i ostatecznie USA). Demokratyczne rządy utrzymały się jedynie w Tunezji, gdzie jednak w sierpniu tego roku wskutek protestów doszło do zawieszenia parlamentu.

Najbardziej trwałym skutkiem Arabskiej Wiosny okazały się wyniszczające i trwające do tej pory wojny w Syrii, Libii i Jemenie. Wojny będące też brutalnymi konfliktami wewnętrznymi (w Syrii z użyciem broni chemicznej), jak również polem interwencji zewnętrznych, w których udział biorą (w różnych konfiguracjach) Iran, Rosja, Turcja, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Egipt, jak też – w zakresie ograniczonym do zwalczania Państwa Islamskiego w Syrii i Iraku – USA i kraje NATO.

Europa najmocniej odczuła chaos w tym regionie świata za sprawą kryzysu migracyjnego, z kulminacją w 2015 r., gdy do Unii wjechało około miliona azylantów z samej tylko Syrii (kraj na stałe opuściła jedna trzecia ludności), Iraku i Afganistanu. Przez kraje Europy przetoczyła się fala potężnych niepokojów społecznych i politycznych.



Obrazy z Kabulu budzą historyzoficzne fantazje. Kiedyś Afganistan zdelegitymizował sowieckie imperium, które rozpadło się targane wewnętrznymi sprzecznościami. Dziś napięcia targają Stanami, ostro brzmia pytania o stan demokracji w Europie. Czy koniec 20-letniej krucjaty będzie impulsem do przebudowy Zachodu?

Na zdjęciu: zwolennicy Trumpa szturmują waszyngtoński Kapitol, 6 stycznia 2021 r.

Wszystkie te konflikty i migracje zapewne i tak miałyby miejsce – ich hasła jednak, charakter podziałów, przebieg i niedoszły finał są późnymi dziećmi 11 września 2001 r.

Skutki paradoksalne

Nieoczywiste efekty widoczne są w odniesieniu do wyjściowego celu działań wywołanych 11 września, tj. walki z terrorem.

Al-Kaida została szybko zmarginalizowana – ostatnie spektakularne ataki tej organizacji na Zachodzie to Madryt (2004 r.; doprowadziły do klęski wyborczej rządu i wycofania się Hiszpanów z Iraku) oraz Londyn (2005 r.). W Stanach zamachy miały bardzo ograniczony charakter. Al-Kaida stała się jednak wzorcem – jakby franczyzą – dla grup rozrzuconych po świecie, czy to zwalczających siły zachodnie w Iraku i Afganistanie, czy to zaangażowane w lokalne konflikty (np. sunnicko-szyicki), czy zwalczające lokalne rządy (Boko Haram w Afryce Subsaharyjskiej).

Al-Kaida stała się więc wehikułem przemian w konfliktach lokalnych. A hasło „islamizacji” stało się czymś wygodnym zarówno dla młodych Czeczenów (odchodzących od haseł etnocentrycz-

nych), jak też dla zwalczającej ich Rosji, jako że „uniwersalizowało” jej pacyfikację Czeczenii. W szerszym planie „islamizacja” pozwalała niwelować napięcia lokalne, plemienne czy etniczne – przez podporządkowanie ich uniwersalnej idei i nominalnie jednolitemu kierownictwu.

Szczytową formą ewolucyjną Al-Kaidy – wykutą w walkach z koalicjantami w Iraku, a później w wojnie syryjskiej – stał się samozwańczy kalifat: proklamowane w 2014 r. Państwo Islamskie. Był to poniekąd idealny produkt weteranów Al-Kaidy, sierot po Husajnie, amerykańskich więziennych „uniwersytetów” i dewastacji struktur polityczno-społecznych. Siłą Państwa Islamskiego nie były już jednak akcje terrorystyczne na Zachodzie (choć przyniosło falę ataków w Europie), lecz aspirowanie do tworzenia struktur państwowych, przy wykorzystaniu terrorystycznego *know how*. Ich zniszczenie wymagało kilku lat starań koalicji sił lokalnych, USA, NATO, ale też Iranu.

W efekcie Stany można uznać za względnie zabezpieczone przed terroryzmem islamskim (choć nie interesy USA w świecie), Unię za zdecydowanie bardziej niż przed rokiem 2001 narażoną na takie problemy, a cały obszar szeroko pojętego Bliskiego Wschodu – za poddany

potężnej i stale rosnącej presji coraz to „doskonalszych” form terroryzmu.

Zwijanie się

Świadomość, że koszty rosną niewspółmiernie do efektów, nowe wyzwania (Chiny), napięcia między sojusznikami – wszystko to pojawiło się już w końcu rządów Busha. Wtedy też przygotowywano plany stopniowego wycofywania się z Bliskiego Wschodu, które realizowali później Barack Obama (2010 r. Irak, 2014 r. Afganistan) i Donald Trump (konsekwentna redukcja obecności na Bliskim Wschodzie, porozumienie z talibami).

Ciężar konfliktów – i ambicje! – w coraz większym stopniu przechodziły na lokalnych graczy i rosnące mocarstwa lokalne (np. Iran i Turcję). Skala wyzwań stała się tak duża, że jakiegokolwiek już państwo – niekoniecznie demokratyczne – wydawało się lepsze niż chaos (w czym zdają się zgadzać politycy zachodni i ludność miejscowa). Paradoxem jest przy tym wymywanie ludzkiego wymiaru demokracji w regionie – to ci ludzie pierwsi musieli uciekać przed chaosem. Zostawiali pustkę – albo miejsce na islam, bo choć według badań religijność w regionie spada, islam pozostaje niezbędnym elementem tożsamości i legitymacji porządku politycznego (od laicyzującego się Iranu przez Turcję po talibów i Państwo Islamskie).

Waszyngton dawno już przyswoił lekcję godzenia się z realiami – oddając Irak w ręce proirańskich i autokratycznych polityków szyickich czy od 2020 r. torując talibom drogę do (jak się wtedy zdawało) współrządzenia Afganistanem. Tyle że w obu przypadkach potwierdziła się zasada, że praktyka ważniejsza jest niż teoria, że wojna rządzi się własną logiką i że o ile łatwo planuje się jej rozpoczęcie, to trudno zaplanować jej zakończenie. W ostatnim miesiącu rząd afgański rozpadł się w oczach, a talibowie po prostu wypełnili próżnię, zostawiając Waszyngton z opuszczonymi spodniami – na co patrzy cały świat.

Zachód w krzywym zwierciadle

Dyskusje o przyczynach fiaska polityki USA/Zachodu po 11 września będą trwać długo. Wracać będzie koncepcja kumulacji drobnych błędów (od złego doboru partnerów lokalnych po błędy militarne) czy zarzut lekceważenia lokalnych uwarunkowań. Nie zniknie też →



⇒ zarzut hipokryzji: chciwości (ropa Bliższego Wschodu) i pychy, nieudolnie maskowanych ideami. Wojskowi będą obwiniać polityków, a politycy ideologów i ekspertów.

Nie znikną też pytania o przekonanie na temat doskonałości i uniwersalności modelu zachodniego, tkwiące u korzeni „rewolucji wrześniowej” (zwłaszcza że dziś jest co najmniej jeden model konkurencyjny: chiński). Ostro wybrzmiewa pytanie o faktyczną jedność Zachodu dziś – kwestionowana jest nie tylko w wymiarze transatlantyckim, ale też unijnym (brexit). Kryzys ekonomiczny z 2008 r. ostro postawił pytania nie tylko o koszty zamorskich ekspedycji, ale też o podstawy liberalnego ładu gospodarczego – bynajmniej nie ucichły one ani za opłotkami metropolii amerykańskich wybrzeży, ani w żadnym z państw Europy.

Równie ostro wybrzmiewają pytania o stan demokracji na Zachodzie, o jej istotę – zarówno ze strony elit, zaniepokojonych tzw. populizmem, jak też ze strony owego populusu, żyjącego w przekonaniu o ukradzionej przez elity demokracji (patrz zarzuty fałszowania wyborów w USA czy szturm na Kapitol, aby pozostać na gruncie amerykańskim).

Uniwersalizm Zachodu (w wymiarze wartości i instytucji) podlega mocnej

samokrytyce, przy niemalym strachu przed masowym przyjazdem migrantów (islamskich w Europie, latynoskich w USA), a także przy niemalych napięciach w USA (ruch Black Lives Matter). Skutkiem jest niechęć do dalszego rozszerzenia zachodnich struktur na Bałkany i Wschód czy nawet kwestionowanie zasadności niegdysiejszego rozszerzenia Unii na Europę Środkową.

Słusznie czy nie, misyjny żar Zachodu z początku XXI w. wygasł, uwodzicielski czar roztańczony po świecie przywiędł, a parasol USA przecieka (pytanie, jak bardzo, stawiane jest zapewne nie tylko w Kijowie, Tbilisi i Tajpej). Choć równocześnie bogactwo Zachodu wciąż przyciąga mieszkańców „globalnego Południa”.

Koniec i początek

Stąd, za sprawą obrazów z Kabulu, krok dziś tylko do historiozoficznej fantazji: wszak to Afganistan zdelegitymizował sowieckie imperium, rządzone przez starców (z których każdy umierał młodszy, niż dziś są Biden czy Trump), które rozpadło się targane wewnętrznymi sprzecznościami. U progu wojny z terrorem taką wizję Ameryki snuł w Ośrodku Studiów Wschodnich śp. profesor Stanisław Zapaśnik, specjalizujący się w scenariuszach tyleż niewiarygodnych, co później po-

twierdzanych przez życie (a wśród nich powstanie i specyfika Al-Kaidy oraz wydarzenie ludzko podobne do 11 września).

Ale, pozostając przy obrazach z Kabulu i Sajgonu z 1975 r., można pokusić się też o inną analogię. Oto Stany z lat 70., przeorane kontrkulturową rewolucją, zamieszkami rasowymi, zabójstwami politycznymi (Martin Luther King), kompromitacją elit (Watergate), załamaniem gospodarczym... I wtem zenujący upadek Sajgonu, cztery lata później upadek szacha Iranu i zajęcie ambasady USA w Teheranie, a jeszcze miesiąc później Afganistan w rękach Sowietów. Wtedy był to impuls do przegrupowania się Ameryki i wejścia w finałową fazę zimnej wojny. Można i tak – zachodnia tradycja samokwestionowania się polegała wszak również na zwycięskich marszach od kryzysu do kryzysu.

Gdzie bylibyśmy dziś, gdyby nie 11 września 2001 r.? Czy dzień 30 sierpnia 2021 r. zamyka tylko stary rozdział, czy otwiera także nowy? Zobaczymy wkrótce.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Autor jest analitykiem w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpią, stale współpracuje z „TP”.



ALAMY / B&W

Panorama Manhattanu po ataku terrorystycznym na World Trade Center. Nowy Jork, 11 września 2001 r.

Tego nie chcę zapomnieć

MARTA ZDZIEBORSKA

Choć od zamachów z 11 września 2001 r. minęło 20 lat, oni wciąż zmagają się z traumą. Nic nie jest już takie, jak dawniej. Wysłuchaliśmy historii trojga Amerykanów.

TO MIAŁ BYĆ MIŁY I SPOKOJNY DZIEŃ. W chwili, gdy dziewiętnastu terrorystów Al-Kaidy szykowało się do porwania czterech samolotów pasażerskich – dwóch linii United Airlines oraz dwóch American Airlines; wszystkie miały lecieć na trasach krajowych – prezydent USA George W. Bush miał już za sobą jogging i poranną lekturę gazet. Internet dopiero się rozwijał, smartfony miały stać się powszechne za kilka lat i politycy zwykle zaczynali dzień od tradycyjnej papierowej prasówki.

Z punktu widzenia polityki międzynarodowej Bush zapewne nie znalazł w gazetach nic ciekawego. Większość dzienników rozpisywała się o spodziewanym powrocie gwiazdy koszykówki Michaela Jordana do gry w lidze NBA.

Tamten wtorkowy poranek spokojnie upływał też w gabinecie Condoleezy Rice. Doradczyni prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego prześledziła bieżące doniesienia amerykańskiego wywiadu i nie znalazła w nich „nic nadzwyczajnego”.

Kawa mocha przed atakiem

Dla niektórych poranek 11 września 2001 r. zaczął się jednak nieco nietypowo.

Jest godzina 4.30, gdy zaspana Terry Horniack odbiera telefon z pracy z poleceniem, aby w ciągu godziny stawiła się na lotnisku w Newark pod Nowym Jorkiem. Ma zastąpić koleżankę, która akurat się rozchorowała. Terry nie spodziewa się, że za dwie i pół godziny odprawi załogę lotu United Airlines numer 93

– samolotu, którym terroryści prawdopodobnie chcieli uderzyć w Kapitol lub Białą Dom.

O godzinie 7.30 Kayla Bergeron idzie do lokalu wyborczego i głosuje na Michaela Bloomberg, znanego miliardera startującego w wyścigu o fotel burmistrza Nowego Jorku. Gdy dochodzi ósma rano, Kayla dociera metrem na Fulton Street, kupuje ulubioną kawę mocha w Starbucksie i wjeżdża na 68. piętro jednej z dwóch bliźniaczych wież World Trade Center (WTC) – manhattańskiego kompleksu biurowego, dominującego nad nowojorskim krajobrazem.

Jest dokładnie godzina 9.59, gdy Joe McKay stoi w pobliżu mostu brooklyńskiego i patrzy, jak wali się południowa wieża WTC. Podobnie jak setki innych nowojorskich strażaków, Joe czuje się w tamtej chwili bezradny. Musi jak najszybciej dotrzeć w okolice World Trade Center, ale w mieście sparalizowanym przez chaos, który zapanował, przedostanie się na drugą stronę rzeki jest bardzo trudne.

Tuż przed dziesiątą rano Ameryka jest już w stanie najwyższej gotowości. Za ledwie osiem minut po ataku na Pentagon – samolot American Airlines, numer lotu 77, roztrzaskuje się na zachodniej fasadzie budynku o godzinie 9.37 – przestrzeń powietrzna nad Stanami Zjednoczonymi ➔

→ zostaje zamknięta. Ewakuowany jest personel Białego Domu, Pentagonu, Kapitolu i Departamentu Stanu.

Prezydent George W. Bush, przebywający przed południem z wizytą w szkole podstawowej w Sarasocie na Florydzie, o godzinie 9.55 dociera na lokalne lotnisko i wchodzi na pokład samolotu Air Force One. Wraz z grupą 65 współpracowników spędzi w podniebnej podróży następne osiem godzin. Za namową agentów Secret Service prezydent dochodzi do wniosku, że to właśnie tam – w przestrzeni powietrznej, całkowicie wolnej od lotów cywilnych – będzie najbardziej bezpieczny.

Tylko zamknę komputer

Gdy 69 minut wcześniej w jedną z wież World Trade Center wbija się pierwszy uprowadzony samolot, Kayla Bergeron podchodzi do całej sprawy bez większych emocji. Co prawda poczuła dziwne drżenie budynku, ale doszła do wniosku, że to zapewne pod wpływem małej cenny, która jakimś cudem zbczyła z toru lotu i otarła się o północną wieżę. Gdy na jej 68. piętrze ogłaszana jest ewakuacja, Kayla mówi spokojnie pracownikowi ochrony, że przecież najpierw musi zamknąć komputer.

Jako pracowniczka Port Authority – urzędu zarządzającego biurami WTC, a także m.in. nowojorskimi portami i lotniskami – Kayla ma za sobą serię szkoleń ewakuacyjnych. Dobrze wie, że wystarczy otworzyć drzwi od klatki schodowej i podążyć w dół za odblaśkową taśmą.

Strach pojawia się dużo niżej, na 36. piętrze, gdy ktoś przysyła jej esemesa z informacją, że doszło do ataku terrorystycznego na WTC. Kayla jest przerażona. Uznaje, że nie powinna dzielić się tą informacją z innymi, aby nie wywoływać paniki. Krzyczy tylko do współpracowników, którzy schodzą wraz z nią, aby pospieszyli się z ewakuacją.

W momencie, gdy grupa znajduje się na szóstym piętrze, zawala się sąsiednia, południowa wieża. Kayla czuje, jak pod wpływem fali uderzeniowej jej północna wieża drży w posadach. Na klatce schodowej gasną światła. Pękają rury, z których strumieniami wylewa się woda. Zejście ewakuacyjne zostaje odcięte.

Kayla myśli, że zaraz umrze. Na szczęście po dłuższej chwili słyszy głos mężczyzny, który każe całej grupie zawrócić w górę, na siódme piętro, a potem kieruje ich do innej klatki schodowej.

Gdy docierają na parter budynku, całe pomieszczenie spowite jest gęstym pyłem, co uniemożliwia znalezienie drzwi wyjściowych. Zdesperowani ludzie krzyczą. Na ratunek przychodzi im w końcu strażak, który światłem latarki wskazuje drogę na zewnątrz. Kayla słyszy jego ostrzeżenie: „Zaraz budynek się zawali, biegnijcie z całych sił!”.

Piętro sto siódme

Niedługo później Kayla Bergeron dociera do sztabu kryzysowego Port Authority, znajdującego się po drugiej stronie rzeki, w Jersey City. To wtedy dowiaduje się, że zginął jej szef i dyrektor Port Authority Neil D. Levin, który w momencie ataku na północną wieżę WTC pracował na jej 107. piętrze. To tylko osiem pięter nad miejscem, gdzie górna część samolotu wbiła się w szklany biurowiec.

Ale tuż po zamachach Kayla nie ma czasu na emocje, na smutek. Jako dyrektorka odpowiadająca za kontakty z mediami przygotowuje pierwsze komunikaty prasowe, odbiera telefony od dziennikarzy i informuje o bieżącej sytuacji w Strefie Zero (jak zostaje nazwane gruzowisko po WTC).

Przez następne tygodnie pracuje nawet po szesnaście godzin dziennie. Jak wspomina, najtrudniejsze dla niej było odpieranie zarzutów ze strony rodzin tych, którzy zginęli pod gruzami WTC. Rodziny oskarżały szefostwo Port Authority m.in. o zbyt późne rozpoczęcie ewakuacji południowej wieży, zaatakowanej przez terrorystów w drugiej kolejności.

W maju 2014 r. na zarzuty dotyczące wydarzeń z 11 września 2001 r. odpowiadał przedstawiciel Port Authority Alan Reiss.

Miesiąc wcześniej przed komisją śledczą, która na zlecenie Kongresu badała okoliczności zamachów, zeznawała również Condoleezza Rice. Doradczyni ds. bezpieczeństwa narodowego odpowiadała na pytania, dlaczego administracja prezydenta Busha nie podjęła żadnych działań, choć od dawna dostawała niepokojące sygnały od agencji wywiadowczych.

Na niecały miesiąc przed zamachami, 6 sierpnia 2001 r., prezydent otrzymał raport pod tytułem „Bin Laden zdecydowany do ataku na USA”, w którym ostrzegano, że terroryści mogą szykować się do zamachu. Condoleezza Rice



broniła się, twierdząc, że raport „zbierał jedynie archiwalne dane” oraz że „nikt nie mógł przewidzieć, iż terroryści porwą samoloty i użyją ich jako pocisków do uderzenia w wieżę World Trade Center i Pentagon”.

Gdy jednak już do tego doszło, George W. Bush podjął bardzo energiczne działania. Nieco ponad miesiąc później armia amerykańska rozpoczęła operację w Afganistanie, wymierzoną w rządzących nim talibów. Wcześniej USA zażądały od nich, aby wydali im Osamę bin Ladena – przywódcę Al-Kaidy i głównego autora planów zamachów z 11 września – oraz innych liderów organizacji, powiązanych z zamachami. Talibowie, którzy gościli u siebie ludzi Al-Kaidy i ich obozy szkoleniowe, odmówili.

Dziś, niemal dokładnie 20 lat później, historia zatoczyła krąg i Afganistan po raz kolejny znalazł się w rękach talibów. Nie brakuje obaw, że teraz – po ewakuacji



STEPHEN FERRY / LIBRARY OF CONGRESS

Nowy Jork, 11 września 2001 r.

zagranicznych wojsk – kraj ten znów stanie się bastionem dżihadystów.

Wrzątek na porywaczy

Dwie dekady temu terroryści Al-Kaidy byli świetnie przygotowani do ataku: spośród 19 zamachowców dwóch przeszło szkolenie bojowe w obozie w Afganistanie, a trzech kilka miesięcy wcześniej zrobiło kurs pilotażu w prywatnej szkole lotniczej na Florydzie. Dzięki dobrej koordynacji i precyzji w ciągu zaledwie 102 minut – między godziną 8.46 a godziną 10.28, gdy runęła także północna wieża WTC – na zawsze zmienili Amerykę i świat.

11 września 2001 r. w zamachach zginęło prawie 3 tys. ludzi. Ofiar śmiertelnych byłoby zapewne jeszcze więcej, gdyby nie odwaga załogi i pasażerów czwartego z uprowadzonych samolotów, który wystartował z lotniska w Newark o godzinie 8.42.

Samolot ten miał około 25-minutowe opóźnienie. Dzięki temu dzwoniący do swoich rodzin pasażerowie dowiedzieli się o atakach na WTC i gdy zorientowali się, że także ich samolot został uprowadzony, mieli szansę na stawienie oporu porywaczom. Na czele pasażerów lotu United Airlines numer 93 stanęły, jak dziś wiemy, stewardesy: była policjantka CeeCee Lyles i 38-letnia Sandy Bradshaw, która na bieżąco informowała o sytuacji biuro United Airlines w Newark.

Terry Horniacek była obecna przy tych rozmowach. Dziś wspomina, że Sandy miała wyjątkowo spokojny głos. Podobnie jak wtedy, gdy po raz ostatni zadzwoniła do męża Phila, mówiąc, że planuje oblać wrzątkiem porywaczy. – Idziemy w stronę pierwszej klasy. Muszę lecieć, zegnaj – powiedziała na koniec.

Próba odebrania steru terrorystom nie powiodła się. Samolot pędzący z prędkością ok. 900 km/h rozbił się w okolicach

Shanksville w Pensylwanii, zaledwie 20 minut lotu od Waszyngtonu, który był celem zamachowców.

Piątka z lotu 93

– Do dziś wyobrażam sobie, co w tamtych chwilach musiała przeżywać Sandy i reszta dziewczyn – mówi mi 56-letnia dziś Terry Horniacek, która była jedną z ostatnich osób, jakie widziały stewardesy z lotu 93. Nawet teraz, po 20 latach, Terry pamięta kolejność, w jakiej odprawiła je na lotnisku w Newark.

Najpierw, około siódmej, pojawiła się stewardesa pierwszej klasy Deborah Welsh. Przed odlotem miała wyjątkowo dobry humor, bo dzień wcześniej dowiedziała się, że po długoletniej walce pokonała raka skóry.

Druga w kolejności, Sandy Bradshaw, pokazywała wszystkim zdjęcie swojego kilkuniesięcioletniego dziecka. Właśnie wróciła z urlopu macierzyńskiego i to był jeden z jej pierwszych lotów po przerwie.

Trzecia, CeeCee Lyles, na odprawę stała się niechętnie, bo miała mieć wolne i wezwano ją na zastępstwo w ostatniej chwili.

Czwarta, Lorraine Bay, przekazała Terry kartkę zaadresowaną do jednej z za przyjaźnionych stewardes. Przesyłka dotarła trzy dni później.

Wreszcie, piąta w kolejności – Wanda Green – skarżyła się na kołatanie serca i do ostatniej chwili zastanawiała się, czy nie poprosić o zastępstwo. Ostatecznie zdecydowała, że polecą i pójdzie do lekarza, gdy samolot wylądował w San Francisco.

– Z rozmów telefonicznych z Sandy wiemy, że to Wanda i Lorraine odpowiadały za uspokajanie pasażerów, gdy samolot został przejęty przez terrorystów – wspomina Terry. – Mówiły dużo o Bogu i zbawieniu. To było piękne – dodaje ze smutkiem.

Terry wspomina też, że najtrudniejszy był dla niej moment, gdy odebrała telefon od męża Sandy. To on, zawiadomiony najpierw przez żonę, poinformował linie lotnicze o porwaniu samolotu.

– Potem wszystko działo się już bardzo szybko – opowiada Terry. – Do naszego biura wkroczyli agenci z jednostki antyterrorystycznej, którzy instruowali nas podczas rozmów z załogą lotu. Już po katastrofie samolotu dostałam zadanie, aby odbierać telefony od rodzin stewardes linii United Airlines. Ludzie dzwonili i pytali: który to lot, która z dziewczyn



JOE MCKAY mówi, że najtrudniej było mu uporać się z poczuciem winy. Tuż przed zamachami zamienił się z kolegą: 11 września to Shotzy był na dyżurze, znalazł się w pierwszej grupie strażaków w WTC i zginął. Na zdjęciu: Joe (pierwszy z prawej) z kolegami w Strefie Zero, 14 września 2001 r.

→ była na pokładzie? A ja nie mogłam im nic powiedzieć, bo takich danych jeszcze nie upubliczniono. Razem z innymi koleżankami siedziałam przez kilka godzin zamknięta w biurze. Całe lotnisko ewakuowano. Bardzo się wtedy bałam.

Załamanie pod prysznicem

Przez następne tygodnie Terry Horniacek pracowała jak automat. Brała zastępstwa, gdy inni – w strachu przed hipotetycznymi kolejnymi zamachami – szli na zwolnienia lekarskie. Pomagała w organizacji pogrzebów dla załogi lotu numer 93 i zaangażowała się w dekorację biura przed świętami Bożego Narodzenia.

W końcu nie wytrzymała tej presji: 17 stycznia 2002 r. przeżyła załamanie nerwowe. Była akurat rano pod prysznicem, szykowała się do pracy, gdy to się stało. Potem lekarz stwierdził u niej zespół stresu pourazowego (PTSD). Do pracy na lotnisku już nie wróciła.

– Było tak źle, że zaniedbywałam nawet moją czwórkę dzieci – wspomina Terry. – Choć faszеровano mnie wtedy silnymi dawkami antydepresantów, nie radziłam sobie z emocjami i zaczęłam brać narkotyki. Byłam nieprzewidywalna i często się przeprowadzałam. Przegapiłam przez to wiele momentów z życia moich dzieci: ich ceremonie ukończenia szkoły, ślubu, narodziny wnuków – Terry tłumaczy, że przez ten czas dziećmi zajmowali się jej matka i były mąż.

Dopiero w 2018 r. Terry wyszła na prostą. Gdy po latach uzależnienia od narkotyków wykryto u niej tętniaka mózgu, pokonała nałóg i wróciła do New Jersey,

gdzie mieszkają jej dzieci. Mówi, że zajęło jej dużo czasu, aby odzyskać ich zaufanie i szacunek.

Bestia w głowie

Dla Joego McKaya znacznie bardziej niebezpieczne od PTSD było to, co tamtego 11 września wciągnęły jego nozdrza. Jako strażak zaangażowany w akcję gaszenia płonącej Strefy Zero narażony był na wdychanie pyłu, który zawierał m.in. rakotwórczy azbest, ołów oraz rtęć pochodzącą z tysięcy zniszczonych komputerów i urządzeń.

Początkowo toksyczna chmura ze Strefy Zero obeszła się z nim dość łagodnie. Podobnie jak inni strażacy, także Joe cierpiał na przewlekłe zapalenie zatok, refluks żołądkowo-przełykowy i duszności.

Najpoważniejsze problemy zaczęły się dopiero pół roku później, gdy zdiagnozowano u niego klastrowe bóle głowy, nazywane przez pacjentów „bestią”. Ból, występujący najczęściej w okolicy oczodołu, jest tak silny, że niekiedy prowadzi do irracjonalnych zachowań, takich jak uderzanie głową w ścianę, a nawet próby samobójcze. Dolegliwości pojawiają się zwykle po przebudzeniu, dlatego chory boją się zasnąć. Joe dostał pierwszego ataku, gdy podczas nocnego dyżuru w pracy uciął sobie drzemkę.

– To już i tak był najgorszy okres w moim życiu – wspomina Joe. – Byłam emocjonalnym wrakiem: spośród 343 strażaków, którzy zginęli 11 września, aż 26 znałam osobiście. Przez długie tygodnie wracaliśmy potem na Manhattan i szukaliśmy w gruzach szczątków na-

szych kolegów. Nie mogliśmy przecież wrócić z pustymi rękami. Po każdej takiej akcji musieliśmy się napić – wspomina 53-latek, który szybko odkrył, że zalewanie smutków alkoholem tylko wzmacnia u niego ataki migreny. Podobnie jak dym papierosowy oraz dym, który pojawia się podczas pożarów. A od tego ostatniego strach przecież nie ucieknie.

Przez kolejne lata Joe McKay jakoś sobie jeszcze radził. Gdy dostawał ataków, brał kilka dni urlopu i szprycował się lekami. Jeśli „bestia” dopadała go akurat w pracy, sięgał po dostępne w remizie butle tlenowe. Wdychanie tlenu zwykle uśmierało ból po kilkunastu minutach.

Z upływem czasu było jednak coraz gorzej: leki i tlen przestawały działać. Joe nie mógł spać i chodził półprzytomny do pracy. W 2010 r. było już tak źle, że Joe zdecydował się odejść. W wieku 42 lat przeszedł na strażacką emeryturę.

Wola Boga

Dziś Joe McKay pociesza się, że mogło być jeszcze gorzej. Przykładowo mógł zachorować i umrzeć na raka, jak co najmniej 227 strażaków, którzy pracowali w ruinach World Trade Center.

Nowotwór nerek miał także brat Joego, również strażak. Przeżył dzięki dobrej opiece medycznej, opłacanej przez federalny fundusz odszkodowań dla ofiar z 11 września. Z tych środków korzysta też Joe, dzięki czemu stać go na leczenie schorzeń powiązanych z pracą w Strefie Zero, a także na opłacanie terapii – również u niego zdiagnozowano PTSD.

Dziś mówi, że najtrudniej było mu uporać się z poczuciem winy. Tłumaczy, że na tydzień przed zamachami zamienił się z kolegą z pracy: Shotzy został 11 września w remizie na dyżurze, a Joe pojechał na organizowany przez ich jednostkę strażacką charytatywny turniej golfa. Tylko dlatego to Shotzy, a nie Joe, znalazł się w pierwszej grupie strażaków, którzy ruszyli z pomocą na Manhattan. Ze Strefy Zero Shotzy nie wrócił. Osierocił trójkę dzieci. Jedno było jeszcze w brzuchu mamy.

– Gdy po raz kolejny dopada mnie poczucie winy, powtarzam sobie, że taka była wola Boga – mówi ze smutkiem Joe.

Gdybym mogła cofnąć czas

Kayla Bergeron nie lubi myśleć w ten sposób. Denerwuje się, gdy ludzie mówią, że tamtego 11 września miała wyjątkowe szczęście.

– Owszem, uciekłam z wieży, ale nikt nie zastanawia się, jak tamte wydarzenia wpłynęły na moje życie – mówi Kayla, która jeszcze przez lata po zamachach dobrze radziła sobie z trudnymi emocjami. W zasadzie to nawet nie dawała im dojść do głosu. Zagłuszyła je skrajnym praco-holizmem, który towarzyszył jej nawet po odejściu z Port Authority i przeprowadzce na Florydę.

Załamaniem przyszło dopiero w 2011 r., gdy straciła posadę w ramach zwolnień grupowych. Potem już było tylko gorzej. Pojawiły się depresja, alkoholizm, problemy finansowe, licytacja komornicza domu... Gdy w 2017 r. po raz drugi została skazana za jazdę po pijanemu, dostała skierowanie na odwyk i program wsparcia psychologicznego. To właśnie wtedy zdiagnozowano u niej zespół stresu pourazowego po atakach z 11 września.

– Zawsze myślałam, że to zwykła depresja – tłumaczy Kayla. – Nie walczyłam przecież na wojnie, nie byłam ofiarą przemocy domowej. Byłam zwykłym cywilem, który jak co dzień poszedł do pracy w World Trade Center. Gdybym mogła cofnąć czas, powiedziałabym wtedy mojemu aniołowi stróżowi, by mnie zabrał i dał przeżyć komuś, kto ma dzieci. Od zawsze byłam sama i oprócz rodziców nikt by po mnie nie płakał – przekonuje.

Ale nie jest tak, że Kayla jest teraz zupełnie zgorzkniała. Po latach dorabiania w fast foodzie dostała niedawno pracę w ośrodku uzależnień, gdzie od początku pandemii pomagała jako wo-



KAYLA BERGERON zagłuszała emocje praco-holizmem, aż w 2011 r. przyszło załamanie. Pozbierała się. Dziś pracuje w ośrodku uzależnień, a radość dają jej wypadki do stadniny koni.



TERRY HORNIACEK też nie radziła sobie z emocjami, zaczęła brać narkotyki. Dopiero w 2018 r. wyszła na prostą. Wkrótce wyda książkę, w której wspomina przeżycia z 11 września.

lontariuszka. W weekendy radość dają jej wypadki do stadniny koni. Najbardziej lubi tulić się do fryzzyjskiego konia o imieniu Jessie, który tak jak ona jest po przejściach i podchodzi nieufnie do ludzi.

Dwadzieścia lat później

Kayla nie wyklucza, że to właśnie wśród ukochanych koni spędzi sobotę 11 września 2021 r. Tłumaczy, że nie zamierza się denerwować i nie będzie oglądać transmisji z obchodów 20. rocznicy zamachów w Nowym Jorku, gdzie według doniesień prasowych ma pojawić się Joe Biden. Kayla nie chce słuchać prezydenta, który, jak mówi, zawiódł ją ostatnio chaotyczną i nieudolną ewakuacją z Afganistanu.

Nowojorskich uroczystości nie planują też śledzić Terry i Joe. Ona będzie świętować premierę swojej długo wyczekiwanej książki „My 9/11 through inflight eyes” (w wolnym tłumaczeniu: „11 września oczami pracownicy lotniska”). On jak co roku będzie spędzał czas z rodzinami, które tamtego dnia straciły swoich bliskich.

Joe woli świętować dzień później, 12 września.

– 20 lat temu tamten 12 września to był dzień inny niż wszystkie – mówi. – Gdy szedłeś ulicami Nowego Jorku, nikt nie zwracał uwagi na to, czy jesteś biedny, bogaty, biały czy czarny. Byłeś po prostu człowiekiem i szczęściarzem, który przeżył. Tego nie chcę zapomnieć.

© MARTA ZDZIEBORSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępca redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioto, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (wiceprezesa)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Aramejczyk



W TYM MOMENCIE TO JESZCZE ABSTRAKCJA, ale pustynni tułacze rzeczywiście będą kiedyś orać i siał w Ziemi Obiecanej. Gdy izraelski rolnik zbierze pierwociny, przyniesie je z wdzięcznością do Świątyni. Wręczy kapłanowi kosz – poucza Mojżesz swoich słuchaczy – „i ozwiesz się, i powiesz przed Wiekui-
stym, Bogiem twoim: »Aramejczykiem tułającym się był pra-
ojciec mój...«” (hebr. *Arami owed awi*; Pwt 26, 5; Cyilkow).

Słowa otwierające ową deklarację brzmią dla żydowskiego ucha znajomo – odczytywana corocznie w czasie wieczerzy paschalnej opowieść o wyjściu z Egiptu (tzw. Hagada) zawiera dogłębną interpretację tego tekstu. Ale coś się nie zgadza – w Hagadzie jest powiedziane, że „Aramejczyk chciał zgładzić mojego ojca”! Zajrzyjmy do Wulgaty: „*Syrus persequebatur patrem meum*”, oraz do przekładu Jakuba Wujka, który korzystał z niej jako podstawy, lecz deklarował, że uwzględnia hebrajski oryginał: „Syryczyk prześladował ojca mego”. Zastanawiająca jest ta zbieżność łaciny z wersją z Hagady. Aram zaczął być nazywany Syrią jeszcze w starożytności, także przynajmniej w tym względzie rozbieżności nie ma.

Wpierw dosłowne rozumienie tekstu: którego z Praojców można by nazwać „aramejskim tułaczem”? Abraham wyrusza do Ziemi Obiecanej z Charanu. Charan, miejsce zamieszkania Labana, Jakubowego teścia, nosi też nazwę Paddan-Aram. Żona Izaaka, a zarazem siostra Labana, Rebeka, pochodzi z Aram-Naharaim. Nasuwa się więc wniosek, że mówimy o Abrahamie, tymczasem Hagada wprowadza interpretację rolniczej deklaracji, każąc nam zważyć, co zamierzał uczynić Laban Aramejczyk naszemu Praojcu Jakubowi. W Biblii faktycznie dyżurnym Aramejczykiem jest Laban (zob. Rdz 25, 10; 28, 5; 31, 20 i 24). Jedyne dwa słowa aramejskie w Księdze Rodzaju – *jegar sahaduta* (kopiec świadectwa; 31, 47) – pochodzą właśnie z jego ust. Jednak kto choć trochę orientuje się w hebrajskiej gramatyce, stwierdzi, że w aliteracyjnym (po trzykroć *alef*) wyrażeniu *Arami owed awi* Aramejczyk nie może odnosić się do Labana. Rdzeń *alef-wet-dalet* (tu w formie *owed*) znaczy „być z(a)gubionym”, „zaginać”, „błąkać się”. Cóż zrobić – kiedy midrasz ma dla nas jakieś ważne przesłanie, gramatyka schodzi na dalszy plan.

Laban chciał zniszczyć Jakuba? Czy to ma sens? Zachowywał się wprawdzie jak *ramaj* (to ten sam zbiór liter co *Arami*), czyli oszust, podmieniając Rachelę na Leę i kombinując z Jakubową zapłatą. Jednak nic w tym dziwnego, że chciał, by Praojciec pozostał w Aramie: Jakub był znamienitym pasterzem, poza tym Laban stale miałby córki i wnuki na wyciągnięcie ręki. Ale gdyby Jakub tam został, co stałoby się z dziedzictwem Abrahama? Mniejszość na wygnaniu łatwo może ulec hegemonii większości. Asymilacja zabija po cichu. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Koncert życzeń



MODLITWA WIERNYCH. ZWYKLE PREZBITER czy lektor odczytuje ją z tzw. pomocy duszpasterskiej napisanej „sto lat temu”. A miała to być modlitwa zgromadzonych na Wieczery Pańskiej i miała przedstawiać Kościołowi do obmodlenia istotne sprawy wspólnoty. Stała się tymczasem częścią rytuału spełnianą przez urzędowych liturgów. Co więcej, stała się mszalnym koncertem życzeń, wyznaczaniem Bogu roboty na najbliższy tydzień. Najlepszy Ojciec ma zająć się chorymi i jak najszybciej ich uzdrowić, poszukać mieszkania dla cioci, zapewnić słoneczną pogodę na urlop, poszukać dobrego męża lub żony, zakończyć wojnę, zapewnić żywność głodującym, zająć się... Nie, z uchodźcami ostrożnie, to problem polityczny, tym, jak mówi wysoki urzędnik, mają się zająć politycy i byłoby dobrze, gdyby się udało nie wpuścić nikogo. Słowem: Bóg najczęściej słyszy „Daj, daj, daj!”. Nawet wtedy, gdy mowa o błogosławieństwie: „Daj zdrowie i wszystko co jest potrzebne do życia”.

Tymczasem Jakub Apostoł mówi: „Gdyby więc twój brat lub siostra byli nadzy lub głodni, a ty byś im powiedział: »Idźcie w pokój, ogrzejcie się i posilcie«, lecz nie dałbyś im tego, czego potrzebuje ciało, jakąż będą mieli z tego korzyść? Tak więc wiara, która nie jest potwierdzona czynami, martwa jest sama w sobie. (...) Wierzysz, że jest jeden Bóg? Dobrze czynisz. Lecz demony też wierzą i ze strachu drżą”. Odmawiając pomocy, ze strachu nie drżymy, mamy przecież bogate zestawy nowenn, koronek, litanii, różańców, cudownej wody i olejów, procesji. Serdecznie, ze „łzawym okiem”, gorliwie złożymy Ci Boże Najświętszą Ofiarę, a Ty „Jezu, zajmij się tym”, bo... No właśnie, bo co?

W przesłaniu do uczestników Kongresu Życia Zakonnego Ameryki Południowej i Karaibów papież Franciszek pisał, że liturgię można „źle wykorzystać”, co sprawia, że ludzie „przestają się liczyć”. Znikają z horyzontu wiary, sumienia, z parafii, Kościoła. Kiedy tymczasem „Bóg nie przychodzi w wydarzeniach nadzwyczajnych – mówi Franciszek – ale wypełnia swoje dzieło w pozornej monotonii naszych dni, w męczącym niekiedy rytmie zajęć, w drobnych rzeczach, które prowadzimy wytrwale i pokornie, starając się pełnić Jego wolę”. Św. Albert Hurtado Cruchaga SJ pisał: „Chrystus błądzi po naszych ulicach w osobie tylu biedaków cierpiących, wyrzuconych ze swych nędznych mieszkań. Chrystus chroniący się pod mostami w osobach tylu dzieci, które nie mają nikogo, kogo mogłyby nazwać ojcem, które nie wiedzą, co to jest pocałunek matki na czole. Chrystus nie ma ogniska domowego!”. Dlatego sprawdzianem dla religijności i chrześcijańskiego życia nie jest jedynie piękność duchowych przeżyć, ale dobrze działający zespół charytatywny. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Pytanie o post



„UCZNIOWIE JANA dużo poszczą i modły odprowadzają, podobnie też uczniowie faryzeuszów; natomiast Twój jedzą i piją” – zarzucają Jezusowi uczeni w Piśmie (Łk 5, 33). Warto zobaczyć kontekst; pytanie bowiem nie pada w sytuacji jakos abstrakcyjnej i ogólnej – nie jest zadane w ramach quasi-akademickiej debaty. Nie!

Jest zadane w domu Lewiego, który – spotkawszy Pana – doświadczył zasadniczej zmiany w życiu, i teraz wystawił dla Jezusa ucztę, na którą zaprosił podobnych sobie „biedaków”. Jezus i Jego uczniowie nie przyszedli więc do Lewiego, aby bez umiaru jeść i pić („żarłok i pijak!”), ale aby celebrować narodziny nowego człowieka.

Oto celnik – złodziej i kolaborant – stał się uczniem, który wypełni w niedalekiej przyszłości złożone w nim powołanie apostoła i ewangelisty. Oto przemiana całkowita – totalna: przywdzianie kompletnie nowej szaty – wbrew dobrze znanej nam pokusie: załatania dziur w starym ubraniu kawałeczkiem surowego płótna (zob. Łk 5, 36). To o Lewim mówi Jezus, że jest jak kompletnie nowy (a nie jedynie podreperowany stary) bukłak, którego nie rozerwie siła nowości Bożej Ewangelii. Naprawdę, jest co świętować!

Tymczasem uczeni w Piśmie zachowują się dokładnie tak, jak starszy brat

z zapisanej dziesięć rozdziałów późnej przypowieści o „synu marnotrawnym” – mogliby wejść na ucztę i cieszyć się z Ojcem, który celebrował zmartwychwstanie swojego syna („był umarły, a znów ożył” – Łk 15, 32), ale wolą stać na zewnątrz, demonstrując swój krytyczny dystans do Lewiego i pretensje do Jezusa.

Nie chodzi więc ostatecznie o takie czy inne podejście do praktyk ascetycznych; chodzi o relację do osób. Tym bardziej że ta nowość, której doświadcza w sobie Lewi, bierze się właśnie (i wyłącznie!) z relacji do Osoby – do Jezusa, który sam siebie prezentuje w całej perykpie jako Oblubieńca, a ucztę u Lewiego jako ucztę weselną.

To spotkanie z Jezusem wprowadziło w życie Lewiego zasadniczą zmianę – porównywalną do tej, jakiej doświadcza ktoś dopiero co zaślubiony. To przecież dwie kompletnie różne sytuacje życiowe: być i nie być żonatym / zamężną. Całkowita nowość, dotykająca głęboko naszego rozumienia siebie, naszych relacji z innymi i zasad postępowania.

Nierzadko jednak właśnie przed taką nowością ludzie się cofają; boją się jej i odkładają decyzje, które miałyby ją zainicjować. Zdają się mówić: „stare jest lepsze...”. Lepsze, bo znane? Lepsze, bo „bezpieczne”? Lepsze, bo nie wymaga umierania?

Czy naprawdę?

©

*Chcesz poznać Boga?
Najpierw poznaj
samego siebie.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



Szanuj samego siebie.

SENTENCJE DELFICKIE



CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 IX)

24. niedziela zwykła: Iz 50, 5-9a; Ps 116;

Jk 2, 14-18; Mk 8, 27-35;

Poniedziałek: 1 Tm 2, 1-8; Ps 28; Łk 7, 1-10;

Wtorek, święto Podwyższenia Krzyża Świętego:

Lb 21, 4b-9 lub Flp 2, 6-11; Ps 78; J 3, 13-17;

Środa: Hbr 5, 7-9; Ps 31; J 19, 25-27;

Czwartek: 1 Tm 4, 12-16; Ps 111; Łk 7, 36-50;

Piątek: 1 Tm 6, 2c-12; Ps 49; Łk 8, 1-3;

Sobota: Mdr 4, 7-15 lub 1 J 2, 12-17;

Ps 148; Łk 2, 41-52;

25. niedziela zwykła: Mdr 2, 12. 17-20;

Ps 54; Jk 3, 16 – 4,3; Mk 9, 30-37.

Wybrał PIOTR SIKORA

CUDOWNEJ BRONI NIE BĘDZIE

PiS próbuje z mozołem uchwalić zmiany obiecano w Polskim Ładzie. Na razie program, którego pierwsza prezentacja miała się odbyć już w marcu, tylko przyczynił się do rozpadu Zjednoczonej Prawicy.

KAROLINA LEWICKA



CAŁE LATO PREMIER SPĘDZIŁ W LIMUZY-
Nie. Niczym wczesnośredniowiecz-
ny *rex ambulans* – monarcha podróżują-
cy – przemierzał Polskę wzdłuż i wszerz,
z dobrą nowiną o Polskim Ładzie. Ot,
dziesięć przykładowych dni. 10 sierpnia,
w Warszawie, zachwalał ofertę rządu
dla rodzin. Dwa dni później gościł w po-
wiecie ostródzkim, by tam – na tle wy-
pożyczonych kombajnów i traktorów
– przedstawić Polski Ład dla Wsi. Zaraz
potem w Opolskiem prawił o „korzyst-
nych zmianach podatkowych”. 17 sierp-
nia – Żabia Wola, 18 sierpnia – Mało-
polska i Dolny Śląsk, 19 sierpnia – Byd-
goszcz, Kruszwica i Zakrzewo. Wszędzie
Polski Ład odmieniany przez wszystkie
przypadki, wszak prezes Kaczyński we-
zwał na początku lipca do natychmiasto-
wej obrony partyjnego programu przed
„wielką kampanią dezinformacyjną”

i zażądał, by „odwiedzić wszystkie po-
wiaty, objąć wszystkie gminy”. Politycy
PiS-u z ulotkami w rękach karnie ruszy-
li zatem w teren, by odklamywać i za-
chwalać.

Na razie nic nie wskazuje na to, by ak-
cja zakończyła się sukcesem. – Pacjent
jest w stanie śmierci klinicznej – mówi
o Polskim Ładzie prof. Antoni Dudek, hi-
storyk i politolog. – Trwa terapia uporczy-
wego podtrzymywania go przy życiu.

Według sondażu Instytutu Badań
Spraw Publicznych, mniej niż co piąty
Polak wiąże z nim nadzieje na zysk. Po-
łowa uważa, że nań straci. Jeszcze gor-
zej dla PiS-u wypadają ich własne bada-
nia wewnętrzne, według których aż trzy
czwarte obywateli krytycznie ocenia pro-
pozycję zmian podatkowych.

Ludzie nie wierzą w świetlaną przyszłość

Narracja, że miliony zyskają, a po kieszeni
dostaną wyłącznie krezusi, nie została
przez Polaków kupiona. A innej, konkret-
nej i łatwo zapadającej w pamięć oferty
nie było. Był wór z postulatami wszelkiej
maści, w tym np. zapowiedzi budowy
z jednej strony „Polski bez kompleksów
i mikromanii”, z drugiej zaś nowego gma-
chu dla Opery Królewskiej. Łącznie amal-
gamat nie do przyswojenia i powtórzenia
przez przeciętnego wyborcę.

W takiej sytuacji Polski Ład po prostu
nie mógł się przyczynić do wzrostu noto-
wań formacji rządzącej, na co był przecie-
ż obliczony. Nie okazał się cudowną bro-
nią, która znów wywinduje sondaże na
poziom 40 proc., co z kolei pozwoliłoby
prezesowi przywrócić sterowność partii.

Na razie wciąż silny jest lęk, że to kres
władzy, a na horyzoncie czają się już lata
chude, co silnie sprzyja postawom mer-
kantylnym. – Nikt nie myśli o wygrywa-
niu wyborów, bo wiedzą, że PiS już ża-
dnych wyborów nie wygra, a eldorado
skończy się najdalej w 2023 r. Teraz wszy-
scy skupili się na robieniu kasy – mówi
mi polityk PSL-u. Gwoli sprawiedliwości,
niektórzy jeszcze próbują Polski Ład re-
animować.

„Ten projekt nie jest wciąż wystarcza-
jąco jasno opowiedziany” – mówił dzien-
nikarzom Ryszard Terlecki, a dzień póź-
niej premier pospieszył z kolorowym ob-

razkiem. „Polski Ład na jednej infografice:
prosto, zwieźle i przejrzysto” – zachwa-
lał na Twitterze. Z infografiki wynika, że
rząd stawia na promocję następujących
haseł: 7 proc. PKB na służbę zdrowia; ob-
niżka podatków dla 18 mln Polaków; in-
westycje, które przełożą się na pół mi-
lionu nowych miejsc pracy; mieszkanie
bez wkładu własnego oraz emerytura
bez podatku. – Pandemia sprawiła, że lu-
dzie nie wierzą w zapowiedzi świetlanej
przyszłości – przekonuje prof. Dudek.
– Ledwo co rząd musiał ratować olbrzy-
mimi kwotami gospodarke, a tu raptem
obniżka podatków dla milionów? To z da-
leka pachnie oszustwem.

Zresztą podobne wnioski płyną z wcze-
śniejszego, wewnętrznego badania Le-
wicy: obywatele nie wierzą w rozwiąza-
nia korzystne dla wszystkich, bo uwa-
żają, że to pułapka i prędzej czy później
przyjdzie im za to zapłacić. Jednak zda-
niem politologa o marketingowym i wi-
zerunkowym fiasku Polskiego Ładu zde-
cydował także uniwersalny mechanizm,
jakim jest klątwa drugiej kadencji: za-
dyszka rządzących i znużenie nimi wy-
borców oraz zużycie się propagandy suk-
cesu. Na to ostatnie mają też rzutować na-
pięte relacje między szefem rządu a preze-
sem TVP. – Jacek Kurski nie jest zaintere-
sowany sukcesem Morawieckiego, dla-
tego TVP robi dla Polskiego Ładu tylko
to, co konieczne, by być krytą przed No-
wogrodzką – uważa polityk opozycji.
– A poza tym premier nie może liczyć na
żadne propagandowe fajerwerki.

Tymczasem właśnie taki był zamysł
współpracowników szefa rządu od PR-u:
całą robotę miały zrobić media publiczne.
– Właściwie nie było innego pomysłu na
promocję – słyszę od polityka Porozu-
mienia, który uczestniczył w przygo-
towaniach do startu Polskiego Ładu.

Wyjazdy w teren ruszyły dopiero
wtedy, gdy stało się jasne, że projekt zu-
pełnie nie chwycił. Współpracujący
z obozem władzy politolog prof. Walde-
mar Paruch przekonywał z kolei w ty-
godniku „Sieci”, że największym proble-
mem jest „brak projektów odwołujących
się do emocji, a nie tylko interesów eko-
nomicznych”. Niektórzy odczytali to jako
zapowiedź uzupełnienia Polskiego Ładu
o jakiś nowy, bardziej nośny element.
Zwykle chodziło o redystrybucję, bo PiS
od sukcesu programu 500 plus nie potrafi
inaczej, ale tym razem rząd nie ma pieni-
dzy. Dlatego opozycja obawia się, że może

Premier Mateusz Morawiecki na festynie
rodzinnym w Tykocinie, lipiec 2021 r.

→ to być program obrony granic przed uchodźcami, bo to na pewno rezonuje. Tyle że akurat migrantami nie da się grać przez następne dwa lata. No, chyba że Jarosław Kaczyński szykuje się właśnie do wcześniejszej elekcji, wiosną przyszłego roku, a peregrynacje Morawieckiego po kraju to nic innego, jak kampania wyborcza na całego.

Nie lubimy czuć się biedni

Taki właśnie scenariusz kreśli Jarosław Gowin, któremu po rozstaniu ze Zjednoczoną Prawicą rozwiązał się język. Przekonuje, że Polski Ład to próba ucieczki do przodu, a PiS chce zdążyć z wyborami przed drastycznymi cięciami finansowymi, które będą niezbędne w 2023 r. „Rzucę na taśmę chce przetransferować ogromne środki do tych grup społecznych, jak emeryci czy osoby mniej zarabiające, w których ma stosunkowo największe poparcie” – mówi dla serwisu Business Insider. A że – według pierwotnego kalendarza – skutki finansowe zmian w systemie podatkowym miałyby być odczuwalne już od stycznia, to kilkanaście tygodni później wciąż można byłoby liczyć na pamięć i wdzięczność wyborcy przy urnie.

Tyle że najpierw stosowne ustawy trzeba uchwalić, a tu PiS ma aż kilka problemów. Po pierwsze, sejmowa większość jest słabiutka i zależna od aktualnego nastroju Pawła Kukiza. Szantażowanie opozycji nie jest możliwe, bo ta jest w komfortowej sytuacji – zaproponowany system podatkowy, kluczowy projekt Polskiego Ładu, nie przypadł społeczeństwu do gustu. Zupełnie inaczej niż w przypadku 500 plus. Wtedy lamenty PO, że na wydatki socjalne nie ma w budżecie pieniędzy, a Polsce grozi los Wenezueli, nie padały na podatny grunt: ludzie mieli dość polityki zaciskania pasa.

Natomiast teraz – co ciekawe, często wbrew rzeczywistym skutkom planowanych zmian – są przekonani, że rząd szykuje podstępny grabież ich dochodów. – Przyłożyliśmy do takiego odbioru rękę – mówi mi, nie bez satysfakcji, polityk Porozumienia. – Będąc w rządzie i jednocześnie krytykując te rozwiązania, byliśmy dla wyborców wiarygodni. Poza tym PiS nie trafił z narracją, że zyskają najbiedniejsi. Niemal nikt nie lubi myśleć o sobie, że jest ubogi, stąd niewielu poczuło się adresatami benefitów.

Jego intuicję potwierdza Marcin Duma, prezes Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych: – PiS utracił w te wakacje zdolność narracyjną, głównie wskutek krytyki płynącej ze strony Porozumienia. Polski Ład jest dziś balastem.

Chociaż więc według wyliczeń niezależnego Centrum Analiz Ekonomicznych mniejszą lub większą korzyść finansową ma odnieść 79 proc. gospodarstw domowych, to cieszą się głównie emeryci, i to też nie wszyscy (np. Polski Związek Emerytów, Inwalidów i Rencistów w liście do premiera ostrzega, że zmiany dotyczące składki zdrowotnej oznaczają stratę dla 300-tysięcznej grupy, otrzymującej niskie, kilkusetzłotowe świadczenia). W dziesiątkę trafiła za to opowieść opozycji, że zmiany godzą w klasę średnią, do której przynależność deklaruje, mniejsza o to, czy zasadnie, aż 77 proc. z nas (CBOS z 2020 r.).

Stąd nawet Lewica, która hasłem progresji podatkowej właściwie powinna zostać przyparta do muru, bo to kluczowy element jej programu, ostentacyjnie kręci nosem. – To porażka, a nie sukces rządu – mówi szef jej klubu parlamentarnego, Krzysztof Gawkowski, i po przeprowadzonych przez partię konsultacjach społecznych zapowiada jedynie wybiórcze poparcie, np. dla podwyżki kwoty wolnej i drugiego progu czy emerytury bez podatku, ale już nie dla wzrostu danin dla przedsiębiorców. Jeśli jednak rząd będzie chciał chyttrze wrzucić wszystkie zmiany do jednej ustawy, to Lewica nie podniesie za nią ręki.

Czy rząd wie, czego chce

Taka jest zresztą strategia całej opozycji, tyle że KO, ludowcy czy Polska 2050 nie są pewni, jak ostatecznie postąpi partia Razem. – Niektórzy posłowie, którzy chętnie kolaborowali z Morawieckim przy Funduszu Odbudowy, nadal uważają, że taka współpraca jest opłacalna – mówi polityk z kierownictwa PO.

Poza tym wszyscy powtarzają, że rząd musi w końcu pokazać ostateczny kształt proponowanych rozwiązań, bo już wiadomo, że będzie się on różnił od tego prezentowanego przed wakacjami. To drugi problem PiS-u: pod presją widocznego w sondażach niezadowolenia oraz krytyki opozycji musi modyfikować swoje założenia, np. dotyczące składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Mieli płacić 9 proc. od dochodu, bez możliwo-

ści odliczania od podatku, ale to już pieśń przeszłości. Nie ma tygodnia, by media nie publikowały nieoficjalnych informacji, jakie nowe pomysły ma rząd w tej materii, co potęguje chaos i niepewność. Poza tym poprawianie, łatanie, dosztukowywanie, subwencjonowanie – bo tak teraz wygląda praca nad „sprawnym i sprawiedliwym systemem podatkowym” – nie daje nadziei na prosty i przejrzysty model, grozi za to zbiorowym bólem głowy podatników i księgowych.

Takie kluczenie – dwa kroki do przodu, jeden do tyłu i w bok – nie sprawia wrażenia, że rząd wie, czego chce, i że potrafi to przeprowadzić. To trzeci problem PiS-u: brak sprawczości, z której zasłynął w pierwszej kadencji. Obóz rządzący nie jest spójny wewnętrznie, a przed głosowaniem każdej ustawy trzeba będzie przeliczać głosy i targować się z wolnymi sejmowymi elektronami.

Sytuacja u progu nowego sezonu politycznego wygląda zatem tak, że od wielu miesięcy rząd mami nas Polskim Ładem (przypomnijmy, że miał być prezentowany już w marcu, ale w Polskę uderzyła trzecia fala pandemii i akurat w dniu niedoszłej prezentacji zamykano kraj), ale niemalże nic nie zostało jeszcze zeń uchwalone (zniesiono jedynie limity do lekarzy-specjalistów). PiS zachowuje się jak w operze: śpiewa „biegnę!”, ale stoi w miejscu.

Na razie Polski Ład wydatnie przyczynił się jedynie do rozpadu Zjednoczonej Prawicy. Według miejskiej legendy czarę goryczy przełała wypowiedź Jarosława Gowina, że PiS realizuje program „skrajnie socjalistyczny”, czego Nowogrodzka już nie zdzierżyła, stąd Porozumienie zostało natychmiast i w wyjątkowo nieelegancki sposób wypchnięte z koalicji. Nie wykluczając gniewu prezesa, dostrzec należy też, że coraz bardziej krytyczne opinie wicepremiera o Polskim Ładzie zbiegły się z końcem operacji przejmowania jego ludzi przez Partię Republikańską i dopięciem sojuszu z trzema członkami koła Kukiz'15 (czwarty członek, Stanisław Tyszcza, sympatyzuje z opozycją). Kaczyński zyskał sejmową większość bez Gowina i czworga wiernych mu posłów, dlatego wreszcie mógł go wyrzucić.

Pozostały na pokładzie Zbigniew Ziobro też ma problem z Polskim Ładem, tyle że z inną jego częścią, tą poświęconą polityce klimatycznej. Solidarna Polska zamierza „przyglądać się wnikliwie roz-

wiązaniom energetycznym”, niemal nieustannie oprotestując coraz bardziej zbieżną z unijną politykę Morawieckiego w tej kwestii. Bo dla Ziobry węgiel jest czarnym złotem, a New Green Deal szkodliwą fanaberią. Przy ustawach klimatycznych nie obejdzie się zatem bez dotkliwej wymiany ciosów. Ta rywalizacja rządowi nie pomaga.

Najwięcej straci Podkarpacie

Mateusz Morawiecki, któremu na powodzeniu Polskiego Ładu zależy najbardziej, bo pod jego egidą go przygotowano, musi się mierzyć z jeszcze jednym potężnym graczem – samorządami. Zmiany podatkowe są dla samorządów, mających przecież procentowe udziały we wpływach z PIT, wyjątkowo niekorzystne, tylko przyszłoroczne straty obliczono łącznie na 14 mld zł. Np. Gdańsk straci 270 mln, a tyle wydaje rocznie na utrzymanie 75 proc. połączeń autobusowych. Lokalni władarze będą zatem zmuszeni ciąć inwestycje, podnosić lokalne opłaty i daniny lub likwidować niektóre usługi (sport, kultura). Zapowiadana przez rząd rekompensata w ramach nowej subwencji inwestycyjnej nie została ciepło przyjęta. Raz, że nie pokryje całości strat finansowych, dwa, że jest obawa o przyznawanie dotacji według kryterium partyjnego. PiS próbuje problem bagatelizować, Radosław Fogiel kpił z „katastroficznych wizji”, które snują prezydenci miast, ale ten pojedynk naracyjny rząd również przegrywa. Nie może być inaczej, choćby

**PiS zachowuje się
jak w operze:
śpiewa „biegnę!”,
ale stoi w miejscu.**

dlatego, że najwięcej tracą te regiony, w których mieszka najwięcej niezamożnych osób. Bowiem to one mają zyskać najwięcej na zmianach podatkowych, a zysk obywateli to jednoczesna strata dla samorządowego budżetu. W takim układzie najbardziej poszkodowane ma być Podkarpacie – bastion PiS-u, najmniej zaś województwo pomorskie, gdzie mocna jest Platforma.

Donald Tusk zapowiedział, że PO przygotowuje specjalną aplikację, dzięki której mieszkańiec każdego regionu i każdej miejscowości będzie sobie mógł obliczyć, ile wyniesie strata jego gminy. Jakby tego było mało, na PiS obraził się Kościół. Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, wysłał do premiera oficjalny list z pretensjami, że Polski Ład uderzy po kieszeni księży (mają zostać objęci składką zdrowotną liczoną od dochodu, bez możliwości jej odliczenia od podatku, teraz płacą miesięcznie 220 zł). A tymczasem do pierwszego po wakacjach posiedzenia Sejmu, na którym machina legislacyjna miałaby w końcu ruszyć pełną parą, coraz bliżej.

W dodatku najpierw PiS będzie musiał obronić Elżbietę Witek. Wprawdzie na razie opozycja waha się, czy złożyć stosowny wniosek o odwołanie marszałek Sejmu, bo wciąż nie ma tylu głosów, ile potrzeba, ale rozmowy cały czas trwają. Ryszard Terlecki już zapowiedział, że w przypadku utraty fotela marszałka „PiS nie mógłby już przeprowadzać ustaw, koniecznych przy wprowadzaniu w życie poszczególnych elementów Polskiego Ładu”, i w takiej sytuacji jedynym możliwym rozwiązaniem byłby wniosek o samorozwiązanie Sejmu.

Bardziej realny jest jednak scenariusz mozolnego wdrażania Polskiego Ładu, bo aktualnie innego pomysłu rząd na siebie nie ma. – Ludzie Morawieckiego przygotowywali ten program na chybika – przekonuje jeden z senatorów opozycji. – Dlatego on się nie skleja ani gospodarczo, ani propagandowo. Gdybym miał szukać analogii historycznych, to działali pod taką presją jak generałowie Hitlera po bitwie na Łuku Kurskim. Nic dziwnego, że nie stworzyli Wunderwaffe, zdolnej odmienić sytuację na wszystkich politycznych frontach.

Niewykluczone, że Polski Ład podzieli ostatecznie los Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, też ogłoszonej z wielką pompą, o której mało kto dziś pamięta. PiS nie przywiązuje się bowiem do produkowanych przez siebie „kluczowych dokumentów państwa polskiego”, a śmietnik historii jest nadzwyczaj pojemny.

© KAROLINA LEWICKA

Stanisław Leszczyński

Stanislas I Roi De Pologne etc.
Stanisław I Król Polski etc.

Esquisses, réflexions et maximes philosophiques Szkice, refleksje i maksymy filozoficzne

Wybór, słowo wstępne i posłowie:
Jacek Jadacki

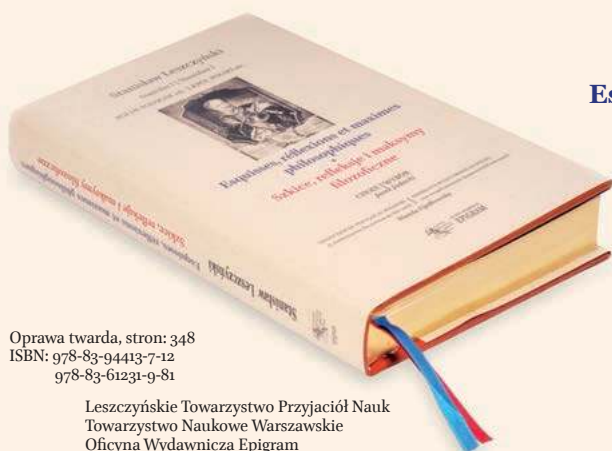
Przekład z francuskiego na polski:
Wanda Fijałkowska

- Filozofowie naszych czasów twierdzą, że słuchają i uczą rozum; ale kiedy starają się skutecznie usunąć przesady, które on potępia, wykorzeniają zarazem cnoty, które zaleca.
- Mylimy się często, że bardzo cenimy ludzi; rzadko — gdy cenimy ich za nisko.
- Są ludzie, którzy wypowiadają wiele słów, nic jednak nie mówiąc. Są dla mnie jak drzewa, które z powodu nadmiaru liści nie dają owoców.

Stanisław Leszczyński

Nie był wybitnym politykiem, ale za to był z pewnością wybitnym myślicielem: polskim, przez pochodzenie, i francuskim, przez język, w którym pisał. [...] Pozostawił po sobie spuściznę [...] dotyczącą problematyki filozoficznej (głównie antropologicznej i etycznej), politologicznej i pedagogicznej. [...] Utrzymywał kontakty z elitą intelektualną ówczesnej Europy. [...] Poglądy swoje wyrażał głównie za pomocą krótkich sentencji, rzadko w postaci dłuższych „miniatur teoretycznych”.

Jacek Jadacki



Oprawa twarda, stron: 348
ISBN: 978-83-94413-7-12
978-83-61231-9-81

Leszczyńskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk
Towarzystwo Naukowe Warszawskie
Oficina Wydawnicza Epigram

WYDAWCA:
Oficina Wydawnicza Epigram
www.epigram.eu
ZAMÓWIENIA: oficyna@epigram.eu



Krystian Kapłon, mecz Polska–Turcja, Kraków, 8 maja 2021 r.

Piłka i kula

MONIKA OCHĘDOWSKA

Zawodnicy ampfutbolu mają problemy z przestrzenią do treningów czy ze znalezieniem sponsorów. Ale najczęściej mówią o barierach, które tkwią w naszych głowach.

NA TRYBUNACH STADIONU PRZY MŁYŃskiej w Bielsku-Białej zamieszanie. Budkę z kawą i hot-dogami oplata coraz dłuższa kolejka. Zanim zagwizdzą na pierwszy mecz o mistrzostwo ekstraklasy, murawę testują dzieciaki. Po krótkich zapowiedziach i przedstawieniu zawodników zapada nagle cisza, przez moment słychać tylko wymianę zdań między biegnącymi piłkarzami. W każdej drużynie jest ich siedmiu – sześciu jednonożnych w polu i bramkarz, ten z Wisły – leworęczny. Siadamy w strefie krakowskiej drużyny i po chwili słyszę już tylko co drugie słowo jej menadżera, który – przekrzykując siedzących za nami kibiców – próbuje opowiedzieć, jak zaangażował się w ampfutbol. Dbając o doping Wisłki grupa nastolatków

po krótkiej wymianie zdań szybko ustala, kto jest najszybszy na boisku. Dwudziestka trójka.

Nie chowaj się w cieniu

Marek Dragosz, trener reprezentacji Polski w ampfutbolu: – Czasami, gdy zdarzają mi się słabsze dni, sięgam po zdjęcia z pierwszego treningu. Wyglądamy jak w starym kinie. Facet w spodenkach w palmy. Gość w butach do pływania po rafach koralowych, który wymyślił sobie, że właśnie w takim obuwiu nie będzie się ślizgał po hali. Wytatuowany, łysy atleta na „przepusteczce” z Białoleki deklaruje, że przyszedł sobie „popykać”, zanim wróci pod celę. I naprzeciwko nich ja, przekonany, że to musi być piłka nożna, nie żadna ochronka. Zaczynamy. Chcę poka-

zać jakieś ćwiczenie, stoję tyłkiem do zespołu i zaczynam dziwnie naśladować ruchy chodu o kulach – sposób, w jaki wyobrażam sobie, że chłopaki będą biegać. Odwracam się, a oni składają się ze śmiechu. Szydera ciągnęła się za mną do szatni. Zebrałem ich tam wszystkich i mówię: dobra, słuchajcie, za rok jedziemy na mistrzostwa świata do Kaliningradu.

Zanim jednak nasza reprezentacja strzeli gola Argentynie, zajmując w Kaliningradzie honorowe, przedostatnie miejsce, przenieśmy się na chwilę do Seattle. Jest początek lat 80., grupa niepełnosprawnych narciarzy szuka sposobu, by w oczekiwaniu na zawody nie stracić kondycji. Pewnego dnia jeden z zawodników, Don Bennett, przygląda się synowi grającemu z kumplami w kosza. Gdy odbita od tablicy piłka toczy się wprost do niego, niewiele myśląc, kopie ją do syna podpierając się na kulach. Za kopnięciem przychodzi olśnienie. Już cztery lata później w Seattle rozgrywany jest pierwszy międzynarodowy turniej piłki nożnej dla zawodników po amputacjach kończyn. Bramkarze są jednoręcy, zawodnicy w polu – jednonożni, zdejmują protezy i biegają o kulach. Mistrzostwa wygrywa drużyna z Salwadoru składająca się z weteranów wojennych. Dziś ampfutboliści grają w ponad czterdziestu krajach: Gru-

zji, Palestynie, na Filipinach, w Azerbejdżanie czy Rwandzie. Największy ruch na rynku transferowym – jak dosadnie mówią sami zawodnicy – jest tam, gdzie toczą się wojny, trwają zamieszki, wybuchają kolejne rewolucje.

Ale światową potęgą ampfutbolu od lat pozostaje Turcja, tylko tam niepełnosprawni mogą grać w piłkę zawodowo. Jednonożni są gwiazdami popularnych programów telewizyjnych, pojawiają się w odcinkach specjalnych MasterChefa, ich życie osobiste śledzi i omawia prasa, a w pałacu prezydenckim gości Recep Erdoğan. Nastoletni zawodnik Emirhan Kargaci opowiada dziennikarzom o wypadku samochodowym, w którym stracił nogę. Mówi, że nigdy nie wstydził się swojej niepełnosprawności i wierzy, że wszystkie dzieci w jego sytuacji będą miały taką samą szansę na sportową karierę. Zachęca, by „nie chowały się w cieniu”.

Marek Dragosz: – Gdy w 2017 r. zdobyliśmy brąz na mistrzostwach Europy w Turcji, na stadionie kibicowało nam ponad 40 tysięcy ludzi. Spacerowałem potem wśród kibiców i wypatrzyłem faceta z kilkuletnim synkiem. Chłopiec nie miał na sobie koszulki Messiego ani Ronaldo, tylko kapitana reprezentacji Turcji w ampfutbolu. Dziecięcą koszulkę reprezentacji! Zagadnąłem ojca, który opowiedział, że trzy dni po tym, gdy jego syn urodził się z wadą nózki, w szpitalu poszedł do niego psycholog i wyjaśnił, że sport będzie dla chłopca najlepszą drogą do tego, by się zaadaptował społecznie. „Nieważne, czy będzie pływał, grał w kosza na wózkach, biegał za piłką o kulach, po prostu: pchaj go do sportu” – powiedział.

Z troski o zdrowie

Z Krystianem i Bogdanem Kapłonami było trochę jak z rodziną Bennetów. Bogdan, dziś menadżer ampfutbolistów grających z białą gwiazdą na koszulkach, przed laty piłkarz kilku podhalańskich klubów, łapie podczas jednego z sezonów poważną kontuzję.

Krystian Kapłon: – Przez jakiś czas przyglądałem się, jak tata chodzi o kulach, których sam wcześniej nie chciałem używać pomimo swojej wady. Wreszcie przekonałem się, by po nie sięgnąć, i zaczęliśmy grać. Tata szybko doszedł do siebie, a ja dołączyłem do trampkarzy, grałem z pełnosprawnymi dziećmi w Nowym Targu i Białce Tatrzańskiej.

Bogdan Kapłon: – Krystian urodził się z wadą prawej nogi, ma skróconą kość udową i przykurcz kolanowy. Ale od dziecka wysyłałem go wszędzie, najchętniej tam, gdzie było dużo ludzi. Wspiął się, jeździł na łyżwach i nartach, grał w hokeja.

Piłkę z pełnosprawnymi dziećmi trenował, wkładając protezę. Wymagało to specjalnego pozwolenia Małopolskiego Związku Piłki Nożnej, a także, za każdym razem, zgody przeciwnej drużyny. I trwało do czasu, gdy sędzia przed jednym z meczów nie pozwolił Krystianowi wyjść na boisko, tłumacząc swoją decyzję troską o jego zdrowie. Chłopak się załamał.

– Aż któregoś dnia zobaczyliśmy w telewizji reportaż z ampfutbolowych mistrzostw w Meksyku. Od razu zacząłem przeglądać internet w poszukiwaniu treningów – opowiada jego ojciec.

Krystian: – Pierwszy mecz? Pamiętam, że graliśmy przeciwko GKS Góra. W tym czasie mieli w składzie trzech największych, najsilniejszych fizycznie zawodników. Gdy zobaczyłem, że biegną na mnie we trójkę, po prostu odwróciłem się i uciekłem.

Krystian dołącza do drużyny mając czternaście lat, poza nim wszyscy zawodnicy są dorośli. Trzy lata później zostaje gwiazdą reprezentacji.

Namiary od protetyka

W 2017 r. Najwyższa Izba Kontroli alarmuje, że promocja sportu oraz aktywności fizycznej osób niepełnosprawnych jest niewystarczająca i nieskuteczna, trafia do bardzo wąskiego kręgu odbiorców. Mimo rosnących nakładów finansowych maleje liczba osób uczestniczących w imprezach sportowych i codziennych zajęciach. Na wsparcie może liczyć zaledwie 7 proc. niepełnosprawnych sportowców.

W 2020 r. pojawia się kolejny, równie wymowny raport. Tym razem dotyczy on nie tylko promocji, ale i działań Centralnego Ośrodka Sportu odpowiedzialnego za szkolenie kadry olimpijskiej i narodowej, zarówno seniorów, jak i juniorów. Wnioski pokontrolne są przygnębiające: COS nie tylko nie prowadzi kompleksowych działań zachęcających osoby niepełnosprawne do aktywności fizycznej, ale nie zapewnia warunków do szkolenia w 10 spośród 29 dyscyplin paraolimpijskich. Dlaczego? Dyrektorzy ośrodków w Giżycku i Szczyrku uzasadniają ten

stan rzeczy nieprzystosowaniem obiektów dla niepełnosprawnych sportowców. Ośrodek warszawski w ogóle nie jest nimi zainteresowany. Stołeczny Torwar nie jest wykorzystywany do szkolenia sportowców niepełnosprawnych z powodu barier architektonicznych.

Piłkarze i trenerzy, z którymi rozmawiam, nie skarżą się jednak na tego rodzaju bariery, brak przestrzeni do treningów czy problemy ze znalezieniem sponsorów. Mówią o barierach, które tkwią w naszych głowach.

Po doświadczeniach wyniesionych z Turcji Marek Dragosz postanawia stworzyć kadrę juniorów, do współpracy przy treningach zaprasza członków reprezentacji oraz piłkarke i trenerkę Kaję Ożgo. Jak dzieciaki trafiają na zgrupowania? Ktoś zauważa post w mediach społecznościowych, ktoś inny dowiaduje się o nich pocztą pantoflową, od znajomych, czasem dostaje namiary od lekarza albo protetyka. Na filmikach ze spotkań zamieszczonych na YouTube zawodnicy i ich rodzice dzielą się wrażeniami z treningów. „Na początku bałem się, że te dzieci będą inne, nie będą mnie rozumiały. Ale znalazłem kolegów, chętnie przychodzę na zajęcia” – opowiada Wiktor. „Jak gram z reprezentacją, czuję się silniejszy i lepszy” – mówi Antek. „Kiedy przyszliśmy pierwszy raz, Milenka nie potrafiła biegać. Myślałem, że nie da się biegać w protezach. Tymczasem dzisiaj moja córka ściga się ze swoimi rówieśnikami, jest jedną z najszybszych osób w klasie” – mówi z dumą mama jednej z dziewczyn. „Chcieliśmy Tomkowi pokazać, że są dzieci takie jak on. Po prostu wziął kule i poszedł grać w piłkę. Dla nas to był szok” – przyznaje tata kilkulatka. „Te zgrupowania otworzyły oczy wielu ludziom. Widzą nas w telewizji, internecie i uświadamiają sobie, że ich niepełnosprawne dzieci także mogą uprawiać sport” – mówią tata Olafa i mama Kubę.

Kaja Ożgo: – Nic tak nie cieszy jak postępy dziecka, które na pierwszym treningu tak bardzo się stresuje, że nie potrafi kopnąć piłki do kolegów, a na drugim – po serii ćwiczeń w domu – ma na boisku trzy udane podania. Dla rodziców budujące jest obserwowanie, jak na zgrupowaniach funkcjonują ich dzieci, jakie są radosne podczas zajęć, to dla nich także forma terapii.

Krystian: – Im częściej trenujesz, tym bardziej jesteś sprawny i lepiej ➔

→ funkcjonujesz także poza boiskiem. Początki są ciężkie, ale pasja jest świetną formą rehabilitacji. Tata od zawsze powtarzał, że z pasją po prostu łatwiej się żyje. Był na każdym moim meczu, jeździł ze mną na wszystkie treningi, to było ogromne wsparcie. A poza tym sport uczy wielu rzeczy – wyrzeczeń, fair play, właściwego postępowania.

Niestety, dzieci trafiających na zgrupowania Junior Amp Futbol wciąż jest niewiele – na ostatnim było ich osiemnaścioro. Niewielu jest rodziców, którzy są w stanie je na taki trening przywieźć – to wyzwanie logistyczne wymagające zaangażowania i podróży całej rodziny, czasem z drugiego końca Polski. Choć sam pobyt, posiłki, sprzęt, ubrania i zajęcia są bezpłatne.

Kaja Ożgo: – Wiemy, że dzieci z wadami i po amputacjach kończyn, które mogłyby grać w piłkę, jest więcej, ale one są – mówiąc wprost – schowane. Nawet w szkole rzadko przyznają się do swoich dysfunkcji, posiadania protezy.

Bogdan: – Rozumiem te obawy, ja też zagryzałem zęby, jak ktoś się przyglądał Krystianowi. W rodzicach jest także naturalny strach przed tym, żeby dziecko nie zrobiło sobie krzywdy. Wystarczy drobna kontuzja zdrowej nogi i zawodnik ląduje na wózku. Nadal się boję o syna, nie tylko podczas meczu, ale za każdym razem, gdy idzie pograć z chłopakami. Ale nigdy nie powiedziałem mu, że sobie z czymś nie poradzi. Zresztą, Krystian nigdy nie wiedział, jak to jest perfekcyjnie iść, biec, być może to pomagało mu próbować.

■■■

Krystian gra z dwudziestką trójką na koszulce. Z reprezentacją Polski zdobył brązowy medal na mistrzostwach Europy w Turcji. Trzy lata z rzędu był najlepszym zawodnikiem ligi. Dzieciaki krzyczące za naszymi plecami miały rację: podczas dwóch dni turnieju w Białymstoku jest nie tylko najszybszy, ale też najskuteczniejszy. Strzela siedem goli, zostaje królem strzelców. – Teraz będę gryzł trawę, by zdobyć złoto w Krakowie – zapowiada.

©© MONIKA OCHEŃDOWSKA

Mistrzostwa Europy Amp Futbol 2021 odbędą się w Krakowie w dniach 12–19 września 2021 r.

Nie tak obcy w moim domu

KAROL WILCZYŃSKI

Dlaczego młody Syryjczyk nie chce walczyć za swój kraj? Co pcha Afgańczyków do porzucenia dorobku życia dla niepewnego losu migranta? Ci, którzy przyjęli uchodźców pod swój dach, nie muszą zadawać już sobie takich pytań.

TEGO GŁOSU NIE DA SIĘ POMYLIĆ Z INNYM. – Już daję żonę – odpowiada, gdy się przedstawiam i mówię, że chcę pisać o ich życiu z Madiną. Głos jest rozpoznawalny, ale nawet sława aktora nie pomogła Maciejowi Stuhrowi przekonać licznych właścicieli, by wynająć (za stawki rynkowe) mieszkania dla samotnej matki z Czeczenii i jej dwójki dzieci. – Ostatecznie wynajęła je znajoma bliskiej znajomej, kiedy Madina wyprowadziła się od nas – mówi Katarzyna Błażejewska-Stuhr.

Katarzyna i Maciej przyjęli rodzinę Madiny dzięki znajomości z grupą „Dzieci z dworca Brześć” prowadzoną przez Marinę Hulię. – Chciałam zrobić coś konkretnego dla danej rodziny. Najpierw zabraliśmy Ediego, syna Madiny, na weekend. Potem na kolejny. A dalej to już samo poszło – tłumaczy Katarzyna.

I dodaje: – Następnie zaprosiliśmy samą Madinę. Pomyślałam, że matka po takich przejściach powinna poznać przyjaciół i osoby, które zapraszają jej syna. Ostatecznie zżyliśmy się, gdy w pewnej bardzo trudnej sytuacji zaopiekowaliśmy się Edim. Przekroczyliśmy granicę spotkania się tylko w weekendy.

Moment krytyczny nastąpił, gdy Madina otrzymała nakaz opuszczenia kraju. Wówczas Katarzyna została pełnomocniczką rodziny i pomogła w uzyskaniu przez nich pozwolenia na pobyt. Zaraz potem zaczął się lockdown. – Madina z dnia na dzień straciła pracę. Oczywiście było dla nas, że zabieramy ją do siebie – mówi Katarzyna.

Tomasz Wilgosz z Oławy i Anna Alboth z Berlina przyjęli Syryjczyków w 2015 r.

– Nie bałem się uchodźców. Jedyna obawa, jaką miałem, to czy damy radę – tłumaczy Tomasz. Wraz z rodziną zaoferował mieszkanie rodzinie syryjskiej (dziadkowie, dwóch synów oraz żona i dziecko jednego z nich) w podwrocławskiej Oławie w lipcu 2015 r. Wówczas, tuż przed kampanią wyborczą, do Polski przyleciała grupa chrześcijan dzięki pomocy Miriam Shaded i jej fundacji. – Wtedy nastroje społeczne wobec uchodźców były jeszcze w Polsce pozytywne, ale bardzo szybko zaczęły się zmieniać. Do dziś nie mogę tego pojąć, jak to się stało – przyznaje Tomasz, dodając, że z pewnością nie podjąłby innej decyzji.

– Wydaje mi się, że mamy wszystko, co daje nam szczęście, stabilną pracę i perspektywę na przyszłość. Mieliśmy nawet dodatkowe mieszkanie, które akurat stało puste, i to był chyba taki zewnętrzny impuls. Mamy też dojrzewające dzieci, które się nam przyglądają. Kiedyś może zapytają: tato, a co ty wtedy zrobiłeś? – tłumaczy Tomasz.

Anna Alboth dopiero co wróciła z wakacji w 2015 r., gdy do Berlina trafiło 60 tysięcy Syryjczyków. Wraz z mężem i dwiema córkami podróżowali bardzo dużo i lekcją, którą wynieśli z tych wojaży, była przede wszystkim gościnność. – Nawet w odległych zakątkach świata oddawali nam nie tylko salon, ale nawet własne sypialnie: tylko po to, by było nam wygodniej – tłumaczy Anna.

– Gdy wróciliśmy, Berlin był pełen dzieci, kobiet i mężczyzn śpiących na ulicach. Dlatego nawet się nie zastanawialiśmy nad tym, czy kogoś przyjąć, czy nie. Od razu wiedzieliśmy, że od-



MICZYSŁAW MICHALAK / AGENCJA GAZETA

Rodzina uchodźców z Syrii z panem Tomaszem Wilgoszem (w niebieskiej koszuli).
Oława, wrzesień 2015 r.

damy dwa pokoje uchodźcom – mówi Anna Alboth.

Początkowo myśleli wraz z mężem o przyjęciu rodziny z małymi dziećmi, w wieku ich córek. – Szybko się jednak okazało, że berlińczycy byli bardzo szybcy w udzielaniu pomocy takim rodzinom. Bez dachu nad głową pozostali głównie młodzi samotni mężczyźni, których myśmy się nie bali – dodaje Anna.

Przyjęli trzech Syryjczyków, właściwie prosto z ulicy. Dwójka została z nimi na dwa miesiące, a jeden – Akil – aż na dwa lata. – To był dla mnie wyjątkowy czas, mogłam zadawać im wszystkie pytania, które rodzą się zwykle, gdy czytamy o migracji. Dlaczego młody chłopak z Afganistanu zostawia wszystko i idzie przez

4000 km? Dlaczego młody Syryjczyk nie walczy o swój kraj? Albo zostawia swoją siostrę czy żonę? Dzięki temu, że chłopaki mieszkali z nami, zostali członkami rodziny, mogłam ich o to wszystko pytać. To był dla mnie – i dla nas wszystkich, męża i dziewczynek – ogromny przywilej, by poznać sytuację tych osób tak blisko – twierdzi Anna.

Do rodziny weszli również uchodźcy z Tadżykistanu, których pod swój dach przyjęła rodzina Marcina Świąćickiego. – Mieliliśmy czysto humanitarną motywację. Moja żona powiedziała, że jeśli można pomóc, to trzeba pomóc – tłumaczy Świąćicki.

Wszystko zaczęło się od wywiadu, którego udzielił w listopadzie 2016 r. kon-

trolowanej już wówczas przez PiS TVP Info po tym, jak rząd odstąpił od ustaleń unijnego programu relokacji uchodźców. Dziennikarz zapytał go wówczas, czy przyjąłby pod swój dach uchodźców. „Przyjmowaliśmy już Gruzinów i Ukraińców. Jesteśmy gotowi przyjąć też muzułmanów ze strefy wojny. Mamy dom. Dzieci się już wyprowadziły, dlatego jest trochę luzu i nie byłoby z tym problemu” – odparł wówczas związany z opozycją Świąćicki.

Po tym wywiadzie zwróciła się do niego Fundacja Ocalenie i zapytała, czy podtrzymałby deklarację. W ten sposób do domu Świąćickich wprowadziła się para dziennikarzy – Tadżyków: Sandżar i Sitora. Nie uciekali wprawdzie przed wojną, ale przed prześladowaniem. – Reżim tadżycki chciał zmusić Sitorę do posłuszeństwa, bo pracowała w telewizji. Sitora była w ciąży, zagrożono jej, że może nie urodzić tego dziecka, jeśli nie przystanie na warunki. Gdyby nie pomoc mieszkaniowa i wstawienie się za nimi, Sandżar i Sitora mogliby zostać wydalen. – Na szczęście mają już prawo stałego pobytu. Sitora urodziła córkę, więc mamy przyszywaną wnuczkę – uśmiecha się Świąćicki.

Problemy? – Serwowali nam tadżyckie potrawy. Najśmieszniej było, jak był ksiądz po kołędzie, myśmy śpiewali katolicką kołędę, ich znajoma nuciła prawosławną, a oni pieśń muzułmańską. Teraz są częścią naszej rodziny – mówi Świąćicki.

Religia nie miała znaczenia też dla Tomasza Wilgosza. Przyjąłby zarówno chrześcijan, jak i niewierzących czy muzułmanów. – Zawsze fascynowała mnie wielokulturowość. Skoro taki jest świat, tak został stworzony, to powinniśmy się poznawać, przenikać, łączyć, dialogować. Przez rok mieszkalem w Taizé z ludźmi z wszystkich kontynentów, innych kultur, innych Kościołów. Bardzo dużo nauczyłem się słuchając, przyglądając, pracując w takim otoczeniu – mówi.

Jak przyznaje Wilgosz, jest jedno pytanie, które często lubi sobie zadawać: „Dlaczego urodziłem się w zasobnym kraju europejskim – w Polsce? Co by było, gdybym przyszedł na świat w Birmie, Sudanie czy Afganistanie? Czy w obliczu śmierci nie marzyłbym o ucieczce do lepszego kraju? A jednak żyję tutaj. Czy nie mogę się podzielić odrobiną swojego luksusu?”.



→ O wyzwaniach związanych z rama-
danem i różnicami kulturowymi wspo-
mina Katarzyna Błażejewska-Stuhr. – Je-
stem tolerancyjną osobą, ale czasem były
trudniejsze momenty. Dla mnie, jako die-
tetyka, jedzenie jest bardzo ważne. Już nie
wspominam o ich poście, ale na co dzień
jadamy zgoła inne produkty, w zupeł-
nie inny sposób. Co więcej, to są osoby
żyjące bardzo wspólnotowo, są bardzo
blisko ze sobą. Ja nie jestem ze swoimi
przyjaciółkami w tak ciągłych relacjach.
Różnice dotyczyły też dzieci, podejścia
do roli mężczyzny w rodzinie. U nas nie
ma znaczenia płeć dziecka, a u nich ma.
Ale pomimo to mieszkanie z Madiną i jej
dziećmi było fantastycznym doświadcze-
niem – mówi Katarzyna.

Błażejewska-Stuhr wspomina też mo-
ment, w którym zachowanie Czechenki
wychodziło poza stereotypy. – W czasie
strajków kobiet Madina zadzwoniła do
mnie z pytaniem, czy może iść na pro-
test – było w tym dużo szacunku do na-
szego zdania na ten temat. Imponowało
mi też to, że jako osoba wychowana w tra-
dycyjnej kulturze poszła na strajk w imię
walki o prawa kobiet – mówi Katarzyna.

Dla Anny Alboth najtrudniejsze było
to, że jej lokatorzy nie potrafili przyjąć
bezinteresownej pomocy. – Cały czas
chcieli coś robić, gotować, sprzątać itd.
Czułam się z tym źle, bo oni nie musieli
niczym zasługiwać na ten pokój. Znosze-
nie tej wdzięczności było dla mnie naj-
trudniejsze – przyznaje.

Co więc należałoby zmienić, żeby Po-
lacy się nie bali?

Dla Tomasza Wilgosza ważne jest
wsparcie lokalnej społeczności oraz ko-
munikacja. – Problemy zdarzają się co-
dziennie, nawet po sześciu latach – przy-
znaje. – Ale jeżeli czegoś nie rozumiemy
albo uważamy inaczej, udaje nam się
rzeczowo rozmawiać i to wyjaśniać. Na-
tomiasz takich sytuacji jest coraz mniej.
Nasza rodzina jest już samodzielna i, co
mnie smuci, już mnie nie potrzebują – do-
daje.

Syryjczycy z Oławy dostali duże wspar-
cie od znajomych Tomasza, mają możli-
wość wyjazdu na wczasy do ks. Jacka
Dziela i prowadzą restaurację. Carmen
urodziła córkę, drugi syn ożenił się i sami
pomagają uchodźcy, który oczekuje na
przyznanie statusu.

Marcin Świąćicki ma podobną opinię
i wierzy, że siła gościnności leży w lokal-
nych społecznościach. – Ludzi, którzy

Naciski ze strony znanych osób zwykle działają.

Dlaczego? Bo nadają
ludzką twarz sprawie,
pokazują, komu i co grozi,
jeśli dana osoba
zostanie deportowana.
Taka osoba
już nie budzi lęku.

chcieliby przyjąć uchodźców, jest wię-
cej, ale rząd nam przeszkadza. Chcą ich
przyjąć parafie, tak jak powiedział pa-
pież Franciszek. Przecież jedna rodzina
na parę tysięcy ludzi to nic. Europa sobie
poradziła, ludzie się zmobilizowali i dali
radę. Czemu my w Polsce mielibyśmy so-
bie nie dać? – mówi Świąćicki.

Brak pomocy osobom wnioskującym
o ochronę międzynarodową i przepę-
dzanie ich z granicy białoruskiej jest dla
niego wyrazem słabej organizacji pań-
stwa. – Dobrze prowadzone państwa
chlubią się tym, że są różnorodne, różno-
rodność jest świadectwem potęgi. Uczmy
się od nich – mówi.

Obrazem słabości jest stan polityki
migracyjnej (a właściwie jej brak) oraz
to, jak wyglądają procedury przyznawa-
nia ochrony międzynarodowej osobom
o nią wnioskującym. Tak przynajmniej
wynika ze słów Katarzyny Błażejew-
skiej-Stuhr, która towarzyszyła Madi-
nie w całym procesie. – One są po prostu
bez sensu – mówi. – Wywołują trudne
emocje, zarówno w osobach przesłu-
chiwanych, jak i w tych, które przesłu-
chują. Żal mi urzędników, którzy biorą
na swoje barki te historie. Są trybikiem
w maszynie. Najgorsze jest to, że to nie
od nich zależy decyzja. Decydują prze-
cież osoby, które nie widzą, nie poznają
uchodźców.

Urzędnicy i sądy podejmujące decyzje
o przyznaniu ochrony międzynarodowej
rzadko biorą pod uwagę ludzki kontekst
sprawy. Z drugiej strony naciski ze strony
znanych osób zwykle działają. Dlaczego?
Bo nadają ludzką twarz sprawie, poka-
zują, komu i co grozi, jeśli dana osoba zo-
stanie deportowana. Taka osoba już nie
budzi lęku.

Pytam moje rozmówczynię, co zrobić,
by przestać odczuwać strach względem
uchodźców.

Anna Alboth: – Ważne jest to, żeby nie
generalizować. Gdy ktoś mi mówi, że boi
się uchodźców, to wtedy pytam: czy boisz
się trzyletniego Muhammada na granicy,
czy raczej 18-letniej Parwany z obozu
w Grecji? Kogo konkretnie się boisz? Czy
poziom twojego życia zmienił się na gor-
sze przez uchodźcę? Czy uchodźca zrobił
ci jakąś krzywdę?

Bywa, że rozmówcy przyjmują strate-
gię powoływania się na słowa znajomych
z Europy Zachodniej lub doniesienia me-
dialne: – Mówią mi, że wujek im opo-
wiada, jak to w Brukseli jest niebezpiecz-
nie. Więc wtedy z uporem pytam: czy to-
bie coś złego się stało z rąk uchodźcy? To,
że ciocia coś powiedziała, nie oznacza, że to
jest informacja, na której warto się opierać.

Jednocześnie Anna podkreśla, że
ważne jest, by racjonalizować pojawia-
jący się strach. – Jeśli się czegoś naprawdę
boisz, choć tego nie doświadczyłeś, to
może jednak warto się zastanowić: skąd
zatem ten strach? Może ktoś cię zmani-
pulował, nakreślił? Ludzie mają prawo
się bać, bo strach wynika z braku wiedzy
i braku doświadczeń.

Podobnego zdania jest Katarzyna Bła-
żejewska-Stuhr, która uważa, że kluczowe
jest spotkanie z uchodźcą. – Zrozumienie,
że ucieka, pozostawia wspomnienia, ro-
dzinę, dom i trafia do miejsca, w którym
niewiele osób jest mu przychylnych. Ta-
kie doświadczenie powoduje, że lód top-
nieje natychmiast. Myślę, że lęk i niechęć
bierze się z nieświadomości – mówi Ka-
tarzyna.

■ ■ ■

W 2019 r. wnioski o ochronę międzyna-
rodową złożyło ogółem 4100 osób, w tym
2700 po raz pierwszy. Warunki nadania
ochrony międzynarodowej spełniały
w sumie 272 osoby. W 2020 r. wnioski
złożyło zaledwie 2800 osób, z czego nie-
mal 400 otrzymało decyzje pozytywne
(w tym 81 obywaterek i obywateli Biało-
rusi). Wskutek szantażu migracyjnego
Łukaszenki liczby te wzrastają – Straż
Graniczna poinformowała, że tylko
w sierpniu zatrzymała ponad 900 osób,
nie precyzując jednak, czy wydała zgodę
na przekroczenie granicy, czy zastosowa-
ła nielegalną procedurę siłowego prze-
pędzenia osób wnioskujących o ochronę
(tzw. *pushback*). © KAROL WILCZYŃSKI

DOROTA

Masłowska:

Fakty



DWAJ MALI AFGAŃSCY CHŁOPCY, KTÓRZY zatruli się grzybami w podwarszawskim ośrodku dla uchodźców, zmarli. Rozdzierająca serce informacja dopiero obie-
gła media, ale jej horror blaknie i niknie już pod naporem kolejnych newsów,

równie elektryzujących (piosenkarka Beata K., przyłapana na jeździe w stanie nietrzeźwości, wydała oświadczenie!). Gdy te słowa trafiają do druku, a potem w ręce czytających, zapewne pokrywa już to wszystko nieprzepuszczalna warstwa nowych złych wiadomości. Jakaś świeża, ale szybko schnąca krew.

Codzienna porcja newsów czarnych jak kawa. Rutyna, nawyk, rytuał. Energetyzujący shot mroku, poranny zastrzyk zła, przemocy i niegodziwości, uwalniający potem przez cały dzień słabe, przypominające dawki niepokoju i dyskomfortu. Nawet jeśli nie potrafimy wskazać jego bezpośredniego źródła, coś jest nie tak. Serca na pianie w cappuccino nie układają się perfekcyjnie. Brzydnie piękno życia, gdy w tle cały czas przelicza się zło i czyjeś cierpienie; ciemnieją nam ślepiące, rześkie wrześnie poranki i złotawe popołudnia. Fałszywa nuta wisi w ciepłym powietrzu pełnym gwaru, gadaniny, srebrnych spalin. Dziwne relacje troski z bez troską. Niejasne powiązania spokoju z horrorem. Próby pogodzenia jednego z drugim, pomieszczenia w sobie obydwu.

Myślę sobie o tych nieszczęsnych grzybach, patrząc na staruszki pod Halami Banacha, sprzedające podgrzybki i koźlaki prosto ze starego „Faktu”, z którego wielkimi zgłoskami krzyczy jakaś potworna zbrodnia sprzed lat („ZAMORDOWAŁ ŻONĘ Z ZIMNĄ KRWIĄ! NAWET NIE DRGNĘŁA MU POWIEKA”), prawdziwa lub nie, ale ekscytująco makabryczna nawet pod kapeluszami grzybów. Te ostatnie lekko już skapcane tak jak i krótkie tanie papierozy zatknięte rzeczowo między reumatyczne kciuki i palce wskazujące kobiet.

Bazarek na Banachu to o tej porze chaotyczny skarbiec, uwalony ziemią i potarganą nacią; z brudnych pak ciężarówek wysypuje się i kipi wrześnie bogactwo. Skrzące się kolorami klejnoty jabłek i gruszek, upchnięte w skrzynkach ametysty śliwek, przeskalowane rubiny pomidorów. „Pyszne, słodkie”, „pyszne, b. słodkie”, „b. pyszne, b. słod-

kie” – informują niewprawnym pismem kartoniki, spisane spracowanymi, poczerńniętymi od ziemi dłońmi rolników spod Grójca. „Dyńa Kokoido, do pieczenia”, „owoce z własnej działki, niepryskane”. Kolory, blaski, soki: beztroska i witalna, kiczowata uroda zbiorów daje poczucie jakiegoś kwitnącego między blokami, nienękanego przez zło paradiso staruszków.

Tak różne odmiany staruszków. Dziadkowie, dziadziowie i dziadziusia. Baby, babinki i babule. Babszty! Błady, pergaminowy mężczyzna sunący z trudem, o lasce, w czapce z daszkiem obwieszczającej z niezamierzoną przekorą „STRONG”. Grzyby i kwiatki. Mięsa. Hałdy słodczy o przytulnych, infantylnych nazwach. Tygryski nadziewane, kokardki, pupeczki, cipeczki-cukrowo-tłuszczowe pieszczoty, czule pocałunki usteczek z marmolady po 26 zł za kilogram. Chemia z Niemiec – sole do firan, poduszeczki zapachowe do odkurzaczy. Zagadkowej przydatności przedmioty jak z jakiegoś katalogu anty-Tchibo: barwniki do jajek, kółka do toreb na kółkach, poduszki do garsonek, zmiotki do blatów, kropidła.

Niby nic się nie dzieje, ale idąc alejkami, zahaczam uszami o mnóstwo różnych spraw. „No, no... – mówi głośno do telefonu z antenką jakaś pani, trochę jakby za pomocą krótkofalówki łączyła się z rokiem 97. – I byłam, i doktor wszystko mi powiedział. Jak będzie to wyglądać, gdzie dokładnie będzie mnie ciął”. „Proste go człowieka to tak jak mówię – skarży się z przemy niemieckich słodczy handlarzka drugiej, która umościła się w kiściach odzieży damskiej XXL jak w jakimś gnieździe. – Albo kijem, a jak nie to pałką”. „Kupimy sobie zakwas – jeden z handlarzy ewidentnie skraca sobie czas pracy fantazjami erotycznymi o żurku. – Weźmie się zakwas dobry od Henia. Kielbaskę pojedziem kupić... W Intermarche mają dobre kielbasy”. „Nie wiem, o co tyle tych ludzi. Walą dziś oknami i drzwiami” – mówi nieobecnie sprzedawca kieszonki, pewnym gestem waząc kapustę bez patrzenia ani na wagę, ani na klienta.

I przede wszystkim wybuchające wszędzie dzwonki starych nokii, pompatyczne, niesamowicie głośne! Jakby krzyczały: „Halo?! Dzwonimy z przeszłości! Sprzed lat! Halo?”. Hale Banacha to śródświat w świecie, niepodległe księstwo sprawunków. Jady i toksyny złych wiadomości nie docho-
dzą tu przez media społecznościowe z tym ich brutalnym jeden do jeden, zdjęciami, wideorelacjami. Nadlatują na barwnych, wiotkich, łopoczących płachtach „Faktów” i „Detektywów”. Straszne historie spisane są w nich wielkimi literami, okraszone wykrzyknikami i krzepiącą dawką krwawej fantazji. To baśnie Grimm dla starszych ludzi. Po wydrenowaniu z nich całej grozy, gospodarnie używa się ich jako podściółki do skrzynek z wczesnymi jabłkami. To w końcu jeszcze całkiem dobre zło. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

SPORT TO ŻYCIE

Pozwala zachować zdrowie.
Uczy solidarności i braterstwa,
ale też koncentracji i świadomości
własnego ciała. Najwyższa pora
wrócić na boisko, bieżnię,
halę czy stok.

MARCIN ŻYŁA

A PAN JAK ZE SPORTEM STOI?
– Nooo... Bieganie, rower... – przebąkuję
nieśmiało.

– Bieganie, rower – w głosie Ireneusza Kania słyszę lekkie rozczarowanie. – Cóż, to trudno będzie wytłumaczyć, co to jest sport – wzdycha.

Hop na drzewko

Ireneusz Kania, rocznik 1940: tłumacz, poliglota, autor przekładów z kilkunastu języków, w tym z sanskrytu, tybetańskiego i pali. Specjalista w dziedzinie buddyzmu i kabały. Oraz – ciężarowiec.

– Sport to u mnie sprawa organiczna – mówi, gdy spotykamy się w jego krakowskim gabinecie. – Ruch sprawiał mi radość od dziecka. Jako chłopcy kilometrami ganiałiśmy za rajfą, obręczą rowerową bez szprych, którą toczyło się odpowiednio wygiętym drutem. To była nasza pierwsza dyscyplina.

Drugą mogły być skoki spadochronowe.

– Jako sześciolatek wszedłem na dach naszej piętrowej kamienicy i skoczyłem ze znalezionym gdzieś parasolem. Spadłem do ogródka, prosto na drzewko brzoskwiniowe – wspomina Kania.

Jego rodzinny Wieluń był tuż po wojnie cichym miasteczkiem. Ruch na świeżym powietrzu ➔



ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

*Siłownia plenerowa na bulwarze Bohdana
Grzymały-Siedleckiego. Warszawa, 11 kwietnia 2021 r.*



→ stanowił jedyną, oprócz książek i zbierania znaczków, rozrywkę. – Byłem specjalistą od chodzenia po drzewach. Miałem siłę, skoczność, nie bałem się przestrzeni. Stąd wzięła się sprawność fizyczna – opowiada.

Tuż za dyskobolem

Ireneusza Kanię chciałem zapytać o rzadziej dziś używane słowa: „sprawność”, „tężyzna”, „wychowanie przez sport”. Bo w jego życiu to właśnie sport – choć nie wypełniał całego czasu – był motorem zmian.

W wieku 14 lat został wyrwany z domu. Z powodów zdrowotnych kolejne trzy i pół roku mieszkał głównie w sanatoriach. Wspomina: – Zrobiłem się silny. Podciągałem się na drążku z obciążeniem. W skoku z miejsca w 1962 r. miałem trzy trzynaście. Nieformalny rekord Polski dzierżył wtedy Edmund Piątkowski, słynny dyskobol – skakał trzy dwadzieścia pięć.

W sanatorium sięgnął po oszczep – niemal bez treningu rzucał 50 metrów.

– W wieku 17 lat przeszedłem poważną operację. Gdy zdjęli mi opatrunki, przeraziłem się. Połowy mnie nie było. Rehabilitant namawiał do ćwiczeń: „podnieś nóżkę, zegnij rękę”. Wiedziałem, że jeśli na tym poprzestanę, pozostanę półsprawnym człowiekiem. Zacząłem więc podnosić ciężary. Mieliliśmy w pokoju froterkę starego typu, duży drąg z żeliwnym zakończeniem. Ważył 11 kilo. Po miesiącu koledzy wyzwali naszego rehabilitanta, żeby stanął ze mną do zawodów w podnoszeniu froterki. Na lewą rękę był remis, po 30 razy ją podnieśliśmy – a na prawą go pobilem.

Ta sprawność, ruchliwość, była cechą całego pokolenia: – Dziś maturzyści skaczą przeciętnie trzy pięćdziesiąt, trzy siedemdziesiąt. W 1959 r. w mojej klasie maturalnej na dwunastu chłopców tylko dwóch nie skakało w dal pięciu metrów – wspomina Kania. – *Nota bene*, poszli potem na księży.

Od chodzenia do biegania

Natalia Tomasiak, rocznik 1986, dopiero kilka lat temu związała się ze sportem profesjonalnie.

– Od dziecka byłam ruchliwa i energiczna, ale nie trenowałam nic zawodowo – opowiada. – Pochodzę z Krynicy-Zdroju. To małe miasto, więc łapałam się tego, co było dostępne przy szkole: tenis,

taekwondo, grałam w koszykówkę w lokalnym klubie sportowym.

Choć góry miała tuż obok, chodzić po nich zaczęła dopiero pod koniec studiów. – Nie miałam towarzyszy do chodzenia. Ale miałam samochód. Para, z którą dzieliłam wynajmowane mieszkanie, chodziła po górach. Nie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale układ był czysty: dzięki mnie oni mogli jeździć w góry na Słowację, dzięki nim ja nie chodziłam sama.

Na forach internetowych Natalia znalazła towarzyszy do dłuższych wypraw. Z poznanymi w sieci ludźmi była na Spitsbergenie. Ale samo chodzenie po górach z czasem przestało być wyzwaniem.

– Zaczęłam się wspinać, ale nie do końca mi szło. Złapałam kontuzję kolana, musiałam rzucić pracę w branży turystycznej i szukać czegoś stacjonarnego. Tak trafiłam do dużej firmy produkującej sprzęt sportowy, która wspiera rozwój biegów górskich – mówi Natalia.

Do zawodów namówili ją znajomi. Od samego początku zajmowała wysokie miejsca.

Dwanaście i pół

– Martwy ciąg – wie pan, co to jest?

Ireneusz Kania w swoim kameralnym gabinecie demonstruje energiczny ruch. – To się sztangę ciągnie tylko o, tak, do wyprostu. To sprawdzian surowej siły. Przysiad ze sztangą na karku. Wyciskanie klasyczne. I wyciskanie na leżąco – wymienia konkurencje ciężarowe, które uprawiał kilkadziesiąt lat, głównie w klubie Armatura Kraków.

Sztangą zajął się, gdy przyjechał do Krakowa na studia. Pomogła mu w tym wszechstronność: – Ćwiczyłem rzut dyskiem, rzut oszczepem, wieloskoki z miejsca. Sześciobój atletyczny, czyli: pływanie na krótki dystans, sprint, rzut kulą oburącz za głowę, dwa boje ciężarowe – podrzut i rwanie – i pięcioskok z miejsca.

W tym ostatnim był, znowu, bezkonkurencyjny – skakał czternaście i pół metra: – Nie byłem tylko dobrym sprinterem. Na setkę miałem dwanaście i pół sekundy.

– Do sztangi trzeba mieć szybkość i koordynację. Przy rwaniu ciężar trzeba błyskawicznie przenosić nad głowę – Kania wstaje i demonstruje kolejny ruch.

Okno na świat

W pracy Natalia poznała obecnego partnera. Wiosną urodził się im syn. Teraz

oboje prowadzą w Krynicy-Zdroju pensjonat. Pomysł był taki, by przeznaczyć go głównie dla sportowców, ale rynek jest jeszcze w Polsce za mały.

Natalia się śmieje: – Ja w sporcie jestem siłą wykonawczą, nie patrzę na listy startowe, po prostu biegnę. Przemek – wspiera, analizuje, ma olbrzymią wiedzę.

Przemysław Ząbecki urodził się kilka kilometrów od Spały, najważniejszego w Polsce ośrodka przygotowań olimpijskich.

– Nie byłoby sportu, gdyby mój tata nie był mistrzem szkoły w dyscyplinach wszelakich. Gdyby nie ciocia, biegająca w Wawelu Kraków, w latach 80. jedna z najlepszych polskich zawodniczek na sto metrów przez płotki. Albo jej mąż, sześciokrotny złoty medalista na 400 metrów przez płotki...

I brat Przemka – uczeń szkoły mistrzostwa sportowego, później zawodnik Skry Warszawa. Skoczek wzwyż, o którym mówiono, że jest nadzieją olimpijską. W domu Przemka wywieszało się flagi w czasie transmisji z igrzysk, wspólnie przeżywało zwycięstwa. W okolicy Spały nie było zaskoczeniem, że wuefu w liceum uczy Jacek Nawrocki, obecny trener polskich siatkarek.

Ząbecki: – Spała to było okno na świat, miejsce, gdzie mogłem spotykać ludzi, których znałem z telewizji. Baza naszych siatkarek, sztangistów. Zdarzało się, że jechałem na rowerze, a tu obok trenował Robert Korzeniowski, obok niego, też na rowerze, trener Kisiel nadawał tempo.

Teraz Przemka pochłoniął świat biegów górskich. Pasja do tego sportu połączyła go z Natalią. Towarzyszy jej podczas wypraw na najważniejsze zawody tej dyscypliny na świecie.

Powrót czterdziestolatek

Natalia Tomasiak: – Gdybyś 10 lat temu zapytał mnie, co będę robiła w życiu, zobaczyłbyś wystraszoną życiem dziewczynę, która nie miała pojęcia, co ją czeka, łapała się każdego zajęcia, byle tylko stłumić lęk, że nie będzie miała za co żyć. A dzięki rozwojowi sportowemu zaczęłam też rozwijać się zawodowo.

Kiedy była mała, chciała być panią od wuefu. – Teraz jestem już trenerem personalnym, mogę prowadzić zawodników, organizować treningi, a zimą – wyjścia skitowe. Sport to już całe życie – mówi



GRAŻYNA MAKARA

Ireneusz Kania. Kraków, lipiec 2018 r.

Natalia. – Kiedy codziennie nie wyjdę z domu, nie zrobię treningu, zaczynam być sfrustrowana. Sport nakręca mnie na inne działania.

Z perspektywy prowadzących pensjonat, Przemek z Natalią mają dobry punkt obserwacyjny.

– Przyjeżdżają rodzice z małymi dziećmi – mówi Przemek. – I jest jak kiedyś: dzieci są ciągle w ruchu, mają kilka żyć w ciągu dnia, właściwie wystarczy je tylko nakarmić. Ale ze starszymi jest już kłopot. Zimą rodzice mają problemy z wyciągnięciem ich na narty. Kiedyś barierą było to, że rodzice nie mieli pieniędzy. Dziś pieniądze są, ale dzieci nie chcą.

Przemka niepokoi jeszcze jedno: że dziś nic się już nie da zrobić pod blokiem. Kiedyś to tam – na podwórku, nawet nie na wuefie – odbywały się najważniejsze zawody.

– Do sportu wraca pokolenie lat 80. i 90., które „miało się gdzie wybiegać” – mówi. – W międzyczasie mięśnie się nam zapuściły, ale mamy je wyrobione.

Tylko co będzie z dziećmi, które dziś dorastają?

Gdzie się podział sport

Reżim treningowy zawodowych sportowców wygląda dziś tak, że ci najlepsi poza samym sportem nie mają już czasu na nic innego.

– Takie gladiatorstwo zdrowia nie daje – ono zdrowie odbiera – mówi Kania. – Po pięciu latach obciążenia organizm musi zacząć odmawiać posłuszeństwa. Dziś niemal każdy z wielkich ciężarowców ma za sobą po kilka operacji.

Choć po zadomowieniu się w Polsce dużych sieci supermarketów sportowych sprzęt stał się naprawdę dostępny, trzeba się sporo natrudzić, aby np. zacząć trenować lekką atletykę. W dużym mieście otwartego dla wszystkich stadionu szukać można już tylko ze świecą. W Krakowie, niemal milionowym mieście pełnym młodych ludzi, są tylko dwa boiska lekkoatletyczne: niedostępne dla amatorów boisko AWF oraz Wawelu Kraków,

gdzie z ulicy można wejść, jeśli uśmiechnie się do portiera.

Sport amatorski, w praktyce, w Polsce już nie istnieje.

Same zalety

– A szkoda – mówi Ireneusz Kania – bo właśnie taki sport uczy solidarności i braterstwa. W sporcie profesjonalnym może widać to jeszcze podczas igrzysk, ale zwykle jest odwrotnie. Zwłaszcza sport zespołowy często rozbudza szowinizm. A jeśli braterstwo – to tylko ze „swoimi”.

To często powtarzane oczywistości: sport pomaga zachować sylwetkę i zdrowie, zwiększa poczucie pewności siebie, redukuje stres, poprawia sen, uczy przywództwa, odpowiedzialności i funkcjonowania w grupie (wbrew pozorom, dotyczy to nie tylko dyscyplin zespołowych), wzmacnia cierpliwość, dyscyplinę i uczy radzić sobie z niepowodzeniami.

– Z natury byłem dzieckiem rozrzuconym, roztargnionym – tłumaczy Kania. – Sport nauczył mnie koncentracji. I znajomości własnego ciała – trzeba wiedzieć, jak funkcjonuje organizm, jak nim kierować, gdzie są jego słabe i mocne strony. Jeżeli się tego nie opanuje, nic się w sporcie nie osiągnie.

Słowa twarde

Pytam o inny aspekt rywalizacji – jej bezpośredniość, brutalność.

– Gdy zrobiłem coś złe, oczekiwałem od kolegów, żeby mi o tym powiedzieli. Bywało, że używali mocnych słów. Nic w tym złego – mówi Kania. – W życiu publicznym doszło dziś do zachwiania proporcji, przechyłu w stronę łagodności i czułości. Spokojnie, we wszystkim trzeba mieć miarę! Nieraz mocne słowo mobilizuje do pracy nad sobą. Z tą łagodnością, w języku również, nie wolno przesadzać. Sport z definicji nie jest łagodny. To jest *agón*, walka.

Powoli musimy kończyć spotkanie, bo Kania pakuje się do wyjazdu na urlop do Grecji („pływam tam po parę kilometrów dziennie”). Nie przeszkadza mu, że kończy się lato?

Znów spogląda rozczarowany: – Wręcz przeciwnie. Latem trwa dla mnie sezon lekkoatletyczny. Jesienią i zimą mam sezon sztangowy, wiosną przesiadam się na rower, ćwiczę biegi, skoki, rzuty...

Kania na chwilę przerywa.

– Nie lubię pływać na basenach, są dla mnie za małe. © P. MARCIN ŻYŁA

I o to chodzi

ROBERT KORZENIOWSKI, CZTEROKROTNY MISTRZ OLIMPIJSKI:

**Sport to integralna część życia i narzędzie jego nauki.
Wyparliśmy to.**

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Tylko ani słowa o sporcie wyczynowym, proszę.

ROBERT KORZENIOWSKI: Spróbujmy.

Pana pierwsze wspomnienie ze sportem...

To proszę pozwolić mi jednak, na prawach wstępu, o kilka zdań na temat sportu wyczynowego – to opowieść o mnie jako młodym kibicu.

Niech zgadnę: wczesne lata 70., Orły Górskiego.

Igrzyska w Monachium, złoto, ja z tatą przed telewizorem. Potem przez lata wszyscy na podwórku wymienialiśmy się nazwiskami tych Orłów.

Kim Pan był?

Dużo biegałem, więc Szarmachem. Ale zdarzało mi się też odlecieć z fantazją i być Latą lub Lubańskim, który był wówczas odpowiednikiem dzisiejszego Messiego, bo wtedy się żyło gwiazdami rodzimymi. Potem przychodziły kolejne mundiale i kolejni bohaterowie.

A gdy miałem 12 lat, były igrzyska w Moskwie, z których zapamiętałem np. taki obrazek: Władysław Kozakiewicz przechadza się po Placu Czerwonym ze złotym medalem, rozmawiając z reporterem. To był wtedy dla mnie heros jak z mitologii – wielki kudłaty facet z ogromnymi bicepsami i medalem na piersi.

A pierwsze mocne doświadczenie własnej aktywności?

Jako dziecko chorowite – miałem nawracające anginy, przewlekłe zagrożenie paciorkowcem, ciągłe ryzyko dla serca i stawów – byłem zwolniony z wufu. Jednak cała niejednoznaczność tej sytuacji polegała na tym, że nikt zwolnienia nie mógł mi narzucić na podwórku.

Tu była moc?

Nie od razu. Pamiętam, jak w wieku dziewięciu lat, za pieniądze uskładane z komunii kupiłem sobie rower, powiedzmy, półkolarzowy. Wcześniej jeździłem na posiadającym małe kółka peLIKanie... A teraz zacząłem odkrywać, że „mam nogę”. Że mogę pogonić swoich kolegów w naszym – odgrywanym na fali ówczesnego entuzjazmu po każdym z transmitowanych etapów – Wyścigu Pokoju.

Odtwórzmy to bardziej plastycznie.

Jarosław, niewielkie miasteczko na Podkarpaciu. Podwórko przy Reymonta 9. Wypadamy z impetem z bramy, mając do objechania kwadrat ulic. Ta rozgrywka, z tym samym kwadratem, trwała latami! Bywało, że kończyła się źle. Np. interwencją milicji, która wlepiła mandat mamie jednego z kolegów (*śmiech*).

Fajnie było to poczuć.

To, czyli co?

Siłę, moc, dziecięce poczucie wartości. Nie grałem wybitnie w piłkę nożną. Owszem, potrafiłem kolegów – niczym właśnie Szarmach czy Lato – zabiegać, ale przecież dzieci na podwórku nie cenią specjalnie „piłkarzy-biegaczy”. Wolą tych błyskotliwych, strzelających bramki.

A na rowerze odkryłem, że robię, co chcę. Nie tylko zresztą w sensie szybkościowym czy wytrzymałościowym: potrafiłem np. na brukowanej ulicy finiszować na pełnej szybkości, unosząc ręce, czyli puszczając kierownicę.

Jak to się ma do opowieści o cherlawym, schorowanym chłopcu?

Na tym właśnie polegał ten paradoks: wygrywałem podwórkowy wyścig, a zaraz – jeszcze w glorii zwycięzcy – jechałem do sanatorium w Rabce, gdzie w zasadzie nie wolno mi było uprawiać żadnej aktywności.



Sport był dla Pana odskocznią od świata lekarzy, gabinetów, szpitali?

Tak, ale jednak przede wszystkim stanowił treść mojego bycia w grupie rówieśniczej: dzięki niemu nie byłem kimś, komu przynosi się do domu zeszyty, bo ma szkliste oczy i gorączkę, ale tym, który jest na podwórku i z czegoś na tym podwórku jest rozpoznawalny.

Z kolei okresy odcięcia od sportu, np. na czas leczenia, były dla mnie czymś dotkliwym i poniżającym. Po nich następowała niby fizyczna, ale i psychiczna rehabilitacja. No i wywinąłem się z tego wszystkiego w sposób absolutnie cudowny. Może pomogło to niepochwlane przez lekarzy stymulowanie sportem, a może coś innego. W każdym razie wedle wszelkich reguł nie powinienem był z tych chorób wyjść. A wyszedłem.

Czerpana z aktywności siła – także ta psychiczna, ale i społeczna – była pewnie dla Pana odkryciem, bo nie miał kto Panu tego sportu wcześniej opowiadać.



ROBERT KORZENIOWSKI jest czterokrotnym mistrzem olimpijskim, trzykrotnym mistrzem świata i dwukrotnym mistrzem Europy w chodzie sportowym. Były szef redakcji sportowej TVP, a później twórca i pierwszy redaktor naczelny kanału tematycznego TVP Sport. Właściciel klubu lekkoatletycznego RK Athletics, ambasador i olimpijski ekspert Eurosportu, Ambasador Dobrej Woli UNICEF, popularyzator sportu i aktywności fizycznej.

o tym, że dostęp do regularnej aktywności to jeden z warunków rozwoju.

Co nam daje?

Np. pozwala w sposób bezpieczny przećwiczyć coś, co jest motorem naszego życia, cokolwiek robimy – progres, odkrywanie siebie, rozwój. Każda mądrze prowadzona aktywność fizyczna daje tego rodzaju premię: widzimy, jak z czasem stajemy się szybsi, silniejsi, wytrzymalsi.

Sport uczy też, że niczego nie da się zrobić na skróty – tak jak z mistrzostw województwa nie awansujemy na igrzyska, tak z przebiegniętego kilometra w jednym tygodniu nie zrobi się w następnym dziesięć.

Idźmy dalej. Nie ma chyba drugiej dziedziny, która tak dobrze uczyłaby nas zarządzania stresem. Która pozwalałaby tak dobrze odnaleźć się w świecie ciągłych prób, rozczarowań, sukcesów, porównywania z innymi. W naszym klubie zdarzyło mi się trenować kilkoro nastolatków tuż przed egzaminem ósmoklasisty. I mam wrażenie, że ci młodzi ludzie – zaprawieni w radzeniu sobie ze sportową presją – lepiej odnajdywali się w warunkach przedegzaminacyjnego napięcia. Potrafili przystępować do tych życiowych, edukacyjnych prób z większym skupieniem, ale też nieobciążeni myśleniem negatywnym.

A przemijanie? Aktywność pozwala nam przesunąć o pięć, dziesięć lat fizyczne punkty zwrotne. Ale może – z drugiej strony – komuś bardzo aktywnemu trudniej przychodzi akceptacja upływającego czasu?

Jeśli sport to nie tryb włączany na chwilę – np. tylko w trakcie wakacji – to jest wprost przeciwnie: dzięki regularnej aktywności widzimy, że z biegiem czasu mamy do dyspozycji, co prawda →

Rzeczywiście, nie miałem żadnych – poza kibicowskimi – sportowych tradycji rodzinnych. Albo inaczej: nikt nie uprawiał wcześniej sportu w sposób wyczynowy. Bo jeśli chodzi o spędzanie czasu z tatą, to niemal każda wolna chwila schodziła nam na jakiejś aktywności. Kopanie piłki, wychodzenie na sanki, wspólny badminton, łożenie zimą na lodowisko – w moim domu było coś na kształt kultu aktywności. Nigdy, nawet w święta, nie siedziano godzinami przy stole albo przed telewizorem.

Sport jako budulec więzi?

Naturalnie, to było nasze pole porozumienia! Tata widział w pierwotnym swojego następcę: mocnego, aktywnego faceta. Jako pracownik kolei był niemal ciągle na służbie – w tej branży nie ma wolnych popołudni. Ale kiedy wracał, spędzaliśmy razem czas.

A gdy moja aktywność się po raz pierwszy sformalizowała, tzn. gdy w wieku czternastu lat zapisałem się do sekcji dzudo, miałem w tacie wielkiego sprzy-

mierzeńca. Budziło to jego podziw: wcześniej patrzył na mnie z żalem, gdy dostawałem zastrzyki i siedziałem w sanatorium. Nie liczył na sukcesy. Cieszył się, że idę na trening.

Sport był też narzędziem wychowania?

Nie wiem, czy używanym w sposób zamierzony. Już prędzej intuicyjny. Ale na pewno tak – jeśli rozmawiamy o skutkach. Aktywność, także ta wspólna, uczyła mnie po prostu wielu rzeczy: odwagi, budowania pozycji w grupie, radzenia sobie w trudnych sytuacjach.

Pytam teraz Roberta Korzeniowskiego byłego sportowca, byłego dyrektora TVP Sport, a obecnego trenera i coacha w biznesie – czy nie ograniczyliśmy roli sportu do wyczynu, a w wersji masowej do funkcji zdrowotnej?

Ograniczyliśmy. Wyparliśmy sport rozumiany jako integralna część życia. I narzędzie jego nauki. W ogóle nie mówimy

→ ten sam, ale już nie taki sam organizm. Sport pozwala odpowiednio wpasować się w linię czasu.

Najstarszym zawodnikiem, jakiego kiedykolwiek trenowałem, był 101-letni Filip. Świetnie dawał radę, oczywiście na swoją miarę, choć specjalnie nie odstawał od 14-latków. Cieszył się życiem i niegasnącą sprawnością. Jestem przekonany, że sport pozwala lepiej opowiedzieć sobie samego siebie – co dzień od nowa. Częścią tej opowieści jest też i to, że pewnych rzeczy już robić nie powinniśmy. Choćbyśmy bardzo chcieli.

Np. grać w wieku ponad czterdziestu lat na pełnych obrotach w piłkę nożną – kosztem naderwania achillesa, jak ja...

Nie mam żadnej satysfakcji, że swoim przykładem potwierdza pan moje słowa. To niestety dość powszechna sytuacja: mamy tzw. pamięć mięśniową juniora, ale ciało przeszło już jakiś czas temu do kolejnego etapu. To najczęstszy rodzaj urazów w tzw. aktywności incydentalnej. W tych wszystkich wyjazdach trzy razy do roku na narty, w skrzykiwaniu się raz na kilka miesięcy „na gierkę” itd. Pamiętamy, jacy to byliśmy super, „jakie się robiło wślizgi”, ale to już niestety nie działa.

Z żoną mocno promujecie chodzenie – jako aktywność bezpieczną.

Regularnie, w naszym warszawskim klubie RK Athletics. Ale też między innymi na kanale Walking Lovers. Tym hasłem i logo z maszerującym zielonym serduszkiem trochę puszczamy do publiczności oko – że jesteśmy w sobie nawzajem zakochani – ale też zakochani w chodzeniu. Ta forma aktywności jest absolutnie demokratyczna względem wieku. Można chodzić bardzo szybko, szybko, wolniej, zmieniając też i dostosowując do aktualnej formy oraz wieku ćwiczenia towarzyszące.

Zbyt często dokonujemy gwałtu na naszym ciele, co zresztą widać nawet w języku. Mawiamy: „musi boleć”, „bez bólu nie ma zwycięstwa”...

„Jak nie boli, to znaczy, że nie żyjesz”...

I tak dalej. Tymczasem ból to bunt organizmu, czego także uczy nas regularna aktywność. Tylko dzięki niej zyskujemy wiedzę, czy to, co nas właśnie dopadło,

Sport pozwala lepiej opowiedzieć sobie samego siebie – co dzień od nowa.

Częścią tej opowieści jest i to, że pewnych rzeczy już robić nie powinniśmy. Choćbyśmy bardzo chcieli.

to zwykłe przemęczenie, przeciążenie, czy może poważny uraz.

Sport jako nauczyciel życia jest wykorzystywany przez polską szkołę?

Nie jest. Znacznie lepiej sytuacja wygląda w polskich domach: zwłaszcza w pandemii tysiące rodziców zobaczyło, że ruch to nie żaden luksus, tylko integralna część rozwoju. Tymczasem w systemie edukacji nadal jest traktowany – i to w najlepszym razie – jako zestaw ćwiczeń do zaliczenia na ocenę. Coś, co wprowadza element rywalizacji, ewentualnie usprawnienia. Kompletnie lekceważymy aktywność fizyczną jako narzędzie edukacyjne. A że system szkolnictwa działa na zasadzie akcja-reakcja, to w pandemii i nauczaniu zdalnym ta sfera edukacji stała się jeszcze bardziej zaniedbana. I przez najbliższe lata – do momentu, aż szkoła złapie oddech – lepiej nie będzie.

Choć infrastruktura sportowa bywa już na najwyższym poziomie.

Znacznie lepiej jest w Polsce powiatowej. Tam szkoły mają miejsce na ekspansję, wykorzystując do budowy obiektów działki pochodzące z rezerw miasta. Lepiej też na tych terenach jest z integracją wokół sportu i aktywności. Byłem niedawno z moją klubową młodzieżą na zgrupowaniu w Cieszanowie, 2-tysięcznym miasteczku na Podkarpaciu. Tak jak tam stawia się na rozwój bazy i sport, to budzi szacunek.

A jak jestem na powrót w Warszawie, i poruszam się po tych wciśniętych między coraz to nowe bloki obiektami, jak widzę że zapadnięte i zaniedbane miejskie bieżnie, to trudno mi się z tym pogodzić. Wszyscy się oczywiście starają, by było lepiej, ale jest, jak jest... Nawet gdyby system

edukacji zaczął stawiać na wychowanie poprzez sport, w dużych miastach nie byłoby gdzie tego nowego planu realizować.

Obiektów nie ma, a podwórka zniknęły.

One są w małych gminach, miasteczkach, choć pod nadzorem kamer, oczywiście. Deweloperka też nie dba o przestrzeń do ruchu. Obok bloków istnieją le dwie erzące podwórki.

Nie chodzi zresztą tylko o podwórka. To niebywałe, że np. Wilanów nie ma swojego lekkoatletycznego boiska. Boiska, nie stadionu! Jest tu sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi, rosną całe pokolenia, i nie ma jednego porządnego obiektu do biegania. Ja mieszkam na Ursynowie, gdzie całe szczęście mamy Las Kabacki – ale z obiektami też jest kłopot. A potem jadę do Cieszanowa, Sandomierza, Stalowej Woli i widzę inną rzeczywistość. Lepszą.

I na koniec, nie mogę się powstrzymać. Jak wygląda fizyczna aktywność 53-letniego Roberta Korzeniowskiego?

To aktywność więcej niż przeciętnego, ale jednak amatora – nie robię nic, co by było w jakikolwiek sposób związane z wyczynem. Nic nastawionego na wynik, rekord, rywalizację.

Po zakończeniu kariery wszedłem w okres roztrenowania – by ten proces był bezpieczny dla organizmu, nie można schodzić nagle z obciążenia, więc przez kilka lat moja aktywność była zbliżona do tej z czasu kariery zawodniczej. Później dołączyłem do ekipy biegającej maratony, by w ostatnich latach wrócić – tym razem już wyłącznie amatorsko – do chodzenia. Do tego ćwiczenia towarzyszące, trochę jogi, czasami rower.

Średni czas trwania aktywności?

Zwykle sześć razy w tygodniu, 45 minut do godziny z kwadransiem każdego dnia. Chodzę zwykle z żoną.

Tym samym tempem?

Tym samym. Teraz akurat mamy – po przyjeździe do Hiszpanii, z której się z panem łączę – chwilowy impas. Ale zwykle się nie oszczędzamy.

I idziemy krok w krok, bo moja żona bardzo szybko chodzi.

©© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Zostań

PATRONEM PODKASTU POWSZECHNEGO

Wybierz próg wsparcia za 12 zł miesięcznie
i otrzymaj w prezencie „Wiślną 12” – opowieść
o niezwykłych ludziach i adresie magicznym.

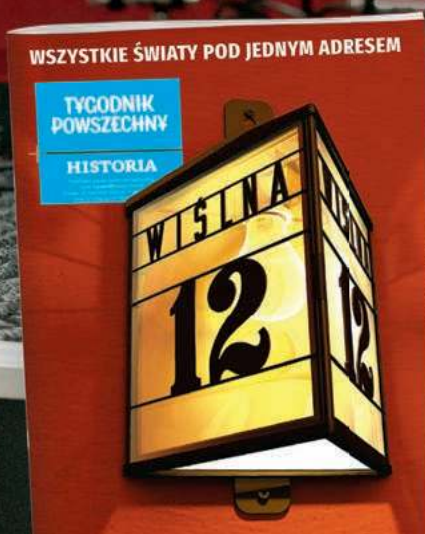
Wspieraj nas na:

[Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego](https://patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego)

Ciesz się nagrodami i słuchaj podcastów
tworzonych z myślą o Tobie!



Zeskanuj i posłuchaj
podkastu o ul. Wiślniej 12



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

Zapraszam!
Michał Kuźmiński

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA



MICHAŁ SADOWSKI / FORUM

Msza w intencji beatyfikacji kard. Stefana Wyszyńskiego. Archikatedra warszawska, 22 października 2001 r.

ŚWIĘTY MINIONEJ EPOKI

Trudno kwestionować zasługi kard. Wyszyńskiego dla katolicyzmu w czasach PRL-u.
Ale czy jego ówczesny pomysł na Kościół jest nadal aktualny?

SEBASTIAN DUDA

PAMIĘTAM, ŻE NIEDŁUGO PO OPUBLIKOWANIU W 2009 r. biografii kard. Stefana Wyszyńskiego pióra Ewy Czaczkowskiej przy jakiejś okazji zapytałem autorkę, kiedy jej zdaniem będzie możliwa beatyfikacja Prymasa Tysiąclecia. Odpowiedziała, że nie wydaje się jej, by nastąpiło to bardzo szybko. Za powód główny wolno było wskazać przede wszystkim zakładaną powolność prac watykańskiej komisji. Materiału do przebadania miała przecież dużo, nie mówiło się też powszechnie o cudzie, który by wydarzył się za wstawiennictwem kardynała.

Czaczkowska jednak wskazała na jeszcze jedną przyczynę: w Polsce nie było właściwie religijnego kultu zmarłego w 1981 r. prymasa. Choć jako wybitna postać historyczna z pewnością cieszył się on uznaniem (szczególnie w różnych kościelnych kręgach), opinia o jego świętości nie była wcale mocno ugruntowana.

Rozniecanie kultu

Gdy wreszcie po wieloletnich zabiegach kard. Kazimierza Nycza oraz innych polskich hierarchów Watykan ogłosił decyzję o beatyfikacji Stefana Wyszyńskiego (uroczystości zaplanowano na czerwiec ubiegłego roku, ale odłożono ze względu na pandemię), zaczęły się w polskim Kościele intensywne zabiegi, by kult tworzyć od podstaw.

Wyprodukowano wieloodcinkowy film dokumentalny „Wyszyński – historia” (emitowany głównie na antenie Telewizji Trwam, choć można go już również obejrzeć na YouTube), w którym o prymasie z wielkim namaszczeniem wypowiadają się członkowie obecnego Episkopatu Polski, historycy i teologowie, a także żyjący wciąż współpracownicy nowego błogosławionego. Wkrótce na ekrany kin wejdzie także fabuła „Wyszyński – zemsta czy przebaczenie” w reżyserii Tadeusza Syki, opowiadająca dzieje ks. Stefana Wyszyńskiego w czasie powstania warszawskiego. Polski Kościół zadbał również o publikację różnorodnych materiałów do katechez zarówno dla dzieci, jak i dorosłych (często w niezamierzony sposób – przez swe hagiograficzne zadęcie – dość humorystycznych). Coraz prężniej działa Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego (powstałe w dużej mierze z publicznych środków, co w niektórych środowiskach wywołało kontrowersje), funkcjonujące w pomieszczeniach oka-

lających kopułę warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej. Może się ono już poszczycić interesującą, multimedialną ekspozycją stałą. Organizuje także różne akcje edukacyjne (np. konferencję „Obowiązek czy twórcze wyzwanie? Praca w myśli Stefana Wyszyńskiego”).

Czy te działania okażą się wystarczające, by wzbudzić wśród polskich katolików powszechny religijny kult Prymasa Tysiąclecia? Na razie, jak się zdaje, codzienność duszpasterska w tym kontekście nie wygląda spektakularnie. Z tego, co można usłyszeć (głównie w mediach mocno związanych z Kościołem), w różnych świątyniach katolickich, a także w internecie odbywają się przedbeatyfikacyjne rekolekcje i nabożeństwa. Rozprowadzane są też plakaty oraz dewocjonalia z wizerunkiem nowego błogosławionego. W mojej warszawskiej parafii od kilku miesięcy na zakończenie niedzielnych ogłoszeń parafialnych podaje się jakąś „skrzydlatą myśl” kardynała Wyszyńskiego. Ostatnio usłyszałem: „Zamiast oczekiwać na dobroć innych, sami napelniamy codzienne życie dobrocią”.

Nie twierdzę, że tego typu działania duszpasterskie nie mogą wpłynąć na ożywienie kultu Wyszyńskiego. Wydaje mi się jednak, że są one dalece niewystarczające, by naprawdę ukazać jego religijną wielkość czy aktualność jego spuścizny.

Marzenie o dawnej wielkości

Trudno zresztą rozstrzygnąć, na czym konkretnie aktualność ta miałaby polegać. Prymasowi Wyszyńskiemu przyszło działać w okolicznościach społeczno-politycznych bardzo odmiennych od dzisiejszych. Inna też była sytuacja Kościoła, któremu przewodził. Wydawałoby się, że niemożliwe jest proste adaptowanie tamtej wizji kościelności i religijności, czy też ówczesnego sposobu funkcjonowania katolicyzmu w życiu publicznym do współczesnych warunków.

Nie wszyscy jednak (szczególnie w naszym episkopacie) podzielają to wahanie. Są przekonani, że dawne strategie Wyszyńskiego, które okazały się tak skuteczne w walce z komunistycznymi władzami i promowaną przez nie ateizacją, mogą być z niewielkimi modyfikacjami zastosowane w polskim Kościele także w trzeciej dekadzie XXI wieku. (Paradoksalnie, jak zauważył Norman Davies, pod przewodnictwem kardynała w okolicach obchodów milenijnych Kościoł kato-

licki osiągnął, co nigdy nie miało miejsca wcześniej aż w takim zakresie, apogeum władzy duchowej nad społeczeństwem). Podstawą skuteczności działań prymasa były przede wszystkim (poza politycznymi podchodami w kontaktach z komunistami) konsekwentne oparcie się na katolicyzm ludowy oraz przeciwstawianie się ideologii marksistowskiej z pomocą tzw. „teologii narodu”.

Czy te stojące u podstawy działalności Wyszyńskiego zamierzenia da się raz jeszcze wprowadzić w życie? Mam coraz mocniejsze przekonanie, że np. abp Marek Jędraszewski w ten właśnie sposób zaczął postrzegać swoją misję w Kościele w Polsce. Jak jednak dziś w kraju nad Wisłą wygląda katolicyzm ludowy? I jak walczyć można z ideologią marksistowską ponad 30 lat po upadku komunistycznej dyktatury?

Katolicyzm ludowy

Prof. Stefan Świeżawski, wybitny znawca filozofii średniowiecznej, opowiadał przed laty, że ks. Wyszyński w 1946 r. (chyba zanim jeszcze Pius XII mianował go biskupem lubelskim) zgodził się z nim, iż najlepszą drogą dla Kościoła w Polsce byłoby pójście drogą pogłębio-ego intelektualnie katolicyzmu elitarnego, o którym obaj panowie marzyli jeszcze przed wojną, gdy byli działaczami „Odrodzenia”. Przyszły kardynał dodał jednak od razu, że katolicy polscy nie mają na to siły „ze względu na brak przygotowania, na zagrożenie i całą sytuację”. Jedyną opcją dla Kościoła w sytuacji coraz mocniej osadzającego się w kraju komunizmu było zatem „pójście za katolicyzmem bardziej ludowym”.

Tamten fundamentalny wybór Wyszyńskiego stał, jak wiadomo, u podstaw wieloletniego sporu toczzonego przez prymasa z katolikami otwartymi ze środowiska „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku” i „Więzi”. Jerzy Turowicz ostatecznie przyznał wyborowi prymasa słuszość. W 1990 r. w jednej z rozmów z Jackiem Żakowskim (umieszczonej w zbiorze „Trzy ćwiartki wieku”) zgodził się, że „siłą Kościoła w Polsce jest przede wszystkim lud – wierny, idący w pielgrzymkach na Jasną Górę, modlący się w sanktuariach”. Wyszyński ostatecznie miał rację, gdy przeciwstawił się „inteligentom, którzy gonią za nowinkami, krytykują, wtrącają się do spraw Kościoła”, uważając ich „za zbyt miękkich i pod naciskiem władz →

→ gotowych łatwo się ugiąć”. Jak podkreśli wieloletni redaktor naczelny „Tygodnika”, „nie było to pozbawione podstaw – na pewno znajdowało potwierdzenie w doświadczeniach lat pięćdziesiątych”.

Turowicz dodawał jednak od razu: „My natomiast obawialiśmy się, że religijność ludowa, na której opierał się i w dużym stopniu nadal opiera się polski Kościół, przy głębokiej nawet wierze, przywiązaniu do Kościoła i Matki Boskiej, przy codziennej pobożności, jest jednak religijnością socjologiczną, to znaczy w znacznym stopniu opartą na podporządkowaniu się zwyczajom obowiązującym w środowisku, w którym ludzie się wychowali i w którym żyją. Ta religijność nie była i także teraz jest tylko w niewielkim stopniu wsparta głębszą znajomością treści wiary. Wiedzieliśmy, że religijność ludowa, socjologiczna, wymierała na zachodzie Europy na skutek industrializacji i urbanizacji. Obawialiśmy się więc powtórzenia się tego typu zjawiska także w Polsce pod wpływem przemian, jakie się tu dokonały. Uważaliśmy, że opierać się procesom sekularyzacyjnym i dechrystianizacyjnym może tylko katolicyzm świadomy, pogłębiony intelektualnie”.

Żywa wiara

Religijność ludowa jednak nie wymierała przez kolejne dekady PRL-u. Przeżywała mimo migracji ze wsi do miast, industrializacji i wysiłków komunistycznych władz, które na różne sposoby usiłowały ją zniszczyć. Nie znaczy to, że znane na Zachodzie procesy sekularyzacyjne w ogóle nie dotknęły katolików w Polsce.

Turowicz był w pełni tego świadom. Mówił dalej Żakowskiemu: „We Francji istnieje powiedzenie, że Bretończycy tracą wiarę na peronie paryskiego dworca Gare du Nord. Jest to wynik wieloletnich obserwacji wskazujących, iż ludzie pochodzący z najbardziej katolickiego regionu Francji odchodzą od Kościoła, gdy tylko znajdują się w obcym, zsekularyzowanym środowisku wielkiego miasta. Pamiętam potwierdzającą tę tezę historię, którą opowiadał mi ksiądz infułat Stanisław Czartoryski, jeden z najbliższych współpracowników kardynała Sapięhy. Otóż w okresie, gdy zaczynało budować Nową Hutę, spotkał on gdzieś na przystanku autobusowym grupę sympatycznych młodych robotników, z którymi wdał się w rozmowę. Zapytał ich, skąd pochodzą. Okazało się, że z jakiejś wsi na Podhalu. Jak długo tu są?

W spuściznie, którą pozostawił Wyszyński, lepiej nie szukać argumentów za promocją **nacjonalizmu przeciwko „neomarksizmowi”**.

Chyba od roku. Gdzie mieszkają? W jakichś barakach dla robotników. A czy chodzą w niedzielę do kościoła? Nie chodzą. Dlaczego? Bo nawet nie wiedzą, gdzie jest kościół. Jakże nie wiedzą? Przecież widać klasztor Cystersów w Mogile, a zresztą w Krakowie pełno jest kościołów! No tak, ale u nich w barakach nie ma zwyczaju chodzić do kościoła. Jakże tak? Przecież kiedy byli na wsi, to chodzili! Oczywiście, że chodzili. A jak mają urlop i jadą do domu, to chodzą do kościoła? Chodzą jak wszyscy. Tak właśnie wygląda zespół religijności socjologicznej, która zanika natychmiast po przeniesieniu się do środowiska niepraktykującego, bo nie jest oparta na wewnętrznej potrzebie ani na pogłębionej świadomości. Oczywiście nie znaczy to, żeby na niej kłaść krzyżyk, ale trzeba ją przede wszystkim podbudować głębszą świadomością religijną”.

Turowicz od razu przy tym zastrzegł, że nie wolno tezy o konieczności pogłębienia religijności ludowej nadmiernie absolutyzować, „bo przecież zdarza się, że prosta wiejska kobieta, nawet nie umiejąca czytać, ma bardzo bogate życie wewnętrzne”. Dowodów na potwierdzenie tego można znaleźć aż nadto. Jerzy Zawieyski w „Dzienniku” opisał swój wstrząs po rozmowie z poetką Anką Kowalską, która wróciła z leczenia w Instytucie Onkologicznym, gdzie spotykała śmiertelnie chore, w większości pochodzące ze wsi katoliczki: „Mówiła o prostych, wiejskich kobietach, z którymi leżała. Jej podziw dla heroicznego znoszenia cierpienia i umierania. Źródłem (...) jest żywa wiara. (...) Chrześcijaństwo śmiertelnie chorych, ich powaga, godność dawały odczuć, czym jest eschatologia religijna. (...) To, co widziała poprzez ludzi, upewnia ją, że wiara i Kościół to potęgę, których żadne piekielne potęgi nie przemożą. Widziała inną Polskę, prawdziwą (...), tylko ta Polska wszystko przetrwa”.

Zawieyski był poruszony tą relacją. Zaczął się wahać, czy propagowane przez niego i jego środowisko intelektualne pogłębienie religijności ma sens w warunkach komunistycznego reżimu. A może za promocją katolicyzmu ludowego przez kard. Wyszyńskiego stała jakaś niezwiązana ze społeczno-politycznymi warunkami PRL-u „ponadhistoryczna” racja?

Czas konsumpcjonizmu

Inna rzecz, iż trudno byłoby nie przyznać, że komunizm w Polsce istotnie spetryfikował to, co Turowicz nazywał „religijnością socjologiczną”. Prześladowania polityczne Kościoła – nigdy jednak nie doprowadzone z żelazną konsekwencją – sprawiły bowiem tylko, że katolicyzm rósł w siłę, a autorytet prymasa i innych biskupów coraz bardziej się w społeczeństwie umacniał. Przemiany cywilizacyjne też nie doprowadziły do upragnionej przez komunistów sekularyzacji, bo, jak konstatował redaktor naczelny „Tygodnika” w rozmowie z Żakowskim, „przemiany, które się w Polsce dokonały, mimo wszystko nie doprowadziły ani do rozbicia struktur społecznych na wsi, ani do powstania prawdziwej cywilizacji konsumpcyjnej w miastach. To, co władze proponowały w latach siedemdziesiątych, było tylko jakąś namiastką społeczeństwa konsumpcyjnego, jakimś materializmem praktycznym dla ubogich. To oczywiście nie mogło w sposób poważny zagrozić religijności, tak jak zagraża jej rozbuchana konsumpcja cywilizacji zachodniej. Nie bez powodu mówi się tam, że materializm praktyczny jest dla Kościoła groźniejszy od materializmu dialektycznego, czyli od marksizmu”.

Dziś jednak w Polsce mamy do czynienia z całkowicie już inną sytuacją. W ciągu trzech dekad po upadku komunizmu powstało w Polsce takie samo jak na Zachodzie społeczeństwo konsumpcyjne. Instytucji Kościoła nie prześladowuje polityczna władza. Wręcz przeciwnie: między aktualnie rządzącymi a kościelną hierarchią zaistniał gorszący wielu konkubinat. Materializmu dialektycznego też już nikt właściwie nie promuje, choć do kraju nad Wisłą trafiają raz po raz inne, nastawione antychrześcijańsko idee (aczkolwiek nikomu ich nie narzuca żadna dyktatura). Skutek jest taki, że od katolicyzmu – i to nie tylko od praktyk religijnych, ale od samej wiary – odchodzi coraz więcej ludzi. Czy remedium na tę sytuację jest po-

nowne zastosowanie dawnych strategii kardynała Wyszyńskiego?

Niektórzy uważają, że taka aktualizacja jest nie tylko możliwa, ale i bardzo pożądana. I choć katolicyzm ludowy w znanej z PRL-u postaci powoli wymiera, katolickim bastionem nie muszą być już dziś prości mieszkańcy wsi (akurat dziś w wielu regionach wiejskich w Polsce wśród młodszych pokoleń sekularyzacja zdaje się postępować równie szybko, jak w wielkich miastach). Wolno za takowy uznać nie tylko katolików tradycjonalistycznych, ale np. młodych nacjonalistów, którzy tak mocno walczą z różnymi „lewackimi miazmatami”. A przecież owe „miazmaty”, jak sugeruje nieustannie abp Jędraszewski, to „neomarksizm” – kolejna odsłona ideologii komunistycznej, z którą tak skutecznie walczył kardynał Wyszyński. Przecież Prymas Tysiąclecia głosił „teologię narodu”!

Aktualizowanie spuścizny

Muszę przyznać, że od dawna mam kłopot, by w głównych tezach owej teologii dostrzec oryginalność czy głębię chrześcijańskiego doświadczenia. To prawda, że kard. Wyszyński zakładał, iż naród, podobnie jak rodzina, jest wspólnotą naturalną. Wedle niego zbiorowość ta stanowić ma swoisty nośnik wartości nadprzyrodzonych, bo Stwórca w swym zbawczym planie wyznaczył każdemu jakąś misję do wypełnienia. W ujęciu Wyszyńskiego naród polski od chrztu Mieszka I w 966 r. jest nierozzerwalnie związany z Kościołem katolickim. Gdyby Polacy w swej większości od katolicyzmu odeszli, nie tylko zeszliby z drogi zbawienia, ale również przestaliby być Polakami. Podobne tezy głosili w pierwszych dekadach XIX wieku (szczególnie w okresie restauracji monarchii) konserwatyści francuscy. Po dwustu latach wiadać jednak, że choć Francuzi w większości się zlaicyzowali, Francuzami mimo wszystko być nie przestali.

Można oczywiście zakładać, że słabość chrześcijaństwa wpływa dziś na jakość (np. w wymiarze moralnym) francuskiej wspólnoty narodowej, ale na pewno zanik chrześcijaństwa nie przyczynia się do jej unicestwienia. Wolno też wątpić, czy proponowana przez kard. Wyszyńskiego „teologia narodu” (nawet jeśli wyciąć z niej polonocentryczne wątki) przyczyni się do zwycięstwa chrześcijaństwa

nad „neomarksizmem” wyrażanym hasłowo jako „gender”, „tęczowa zaraza” czy coś podobnego.

Wydać mi się, że rozumiem intuicję abp. Jędraszewskiego *et consortes*. Uważają oni, że i dziś, tak samo jak uczynił to kiedyś Prymas Tysiąclecia, nie warto stawiać *en masse* na katolików, którzy szukają intelektualnego pogłębienia swej wiary (dzięki czemu mogą być uważani za spadkobierców idei głoszonych przez Turowicza, Świeżawskiego i Zawieyskiego). Oni najpewniej (choć doprawdy nie wiem, na czym się ta pewność opiera) i tak od Kościoła odejdą. Już lepiej opierać się na rodzimych nacjonalistach, w których dostrzec należy kolejną reinkarnację polskiego katolicyzmu ludowego. Nawet jeśli w katolickim bastionie ostanie się 20 proc. (a może i mniej) narodowej wspólnoty, to tylko dzięki niemu Kościół i „prawdziwy naród” będą się w stanie odrodzić. Bo na osiągnięcie sukcesu podobnego do tego, który osiągnął kard. Wyszyński w okolicach obchodów milenijnych, nasi dzielnie wojujący z coraz silniej zaznaczającym się „neomarksizmem” katolicy w najbliższym czasie chyba nie liczą.

Za taką aktualizacją spuścizny Prymasa Tysiąclecia stoją jednak błędne przesłanki. Wolno bowiem – i to całkiem zasadnie – mniemać, że współcześni polscy nacjonałści raczej nie mają chrześcijańskiej wiary podobnej (o ile w ogóle ją

mają) do wiary prostych wiejskich kobiet w czasach komunizmu.

Po drugie zaś, inaczej niż w PRL-u, Kościół w Polsce nie jest już samotną wyspą i obleżoną twierdzą. Dotyczy go ten sam kryzys, który jest udziałem Kościoła powszechnego (a w szczególności katolicyzmu w krajach Zachodu). Trudno wyobrazić sobie w warunkach rozbuchanej cywilizacji konsumpcyjnej skuteczność programu, który byłby odpowiednikiem Wielkiej Nowenny odprowadzanej z inspiracji kard. Wyszyńskiego przed obchodami tysiąclecia chrztu Polski. Pewnych rzeczy nie da się powtórzyć.

Nie warto w każdym razie czynić z Wyszyńskiego totemu takich niemożliwych do zastosowania w obecnych warunkach powtórek z przeszłości. W spuściznie, którą pozostawił, lepiej nie szukać argumentów za promocją nacjonalizmu przeciwko „neomarksizmowi”. Nowy błogosławiony Kościół katolicki zostawił nam po sobie np. bardzo głęboką refleksję nad chrześcijańskim sensem pracy, jak również refleksję nad prawami człowieka w powiązaniu z niezbywalną godnością każdej osoby ludzkiej. Ona może być współcześnie dużo bardziej przydatna niż przywołanie elementów doktryny Prymasa Tysiąclecia, które służyły za oręż w walkach od dawna już nietoczonych.

© SEBASTIAN DUDA



Obchody Tysiąclecia Chrztu Polski w Częstochowie, 15 sierpnia 1966 r.

DOMENA PUBLICZNA / ACCUSUND HISTORIC / ALAMY / B&W



MATKA ELŻBIETA RÓŻA CZACKA urodziła się 22 października 1876 r. w bogatej rodzinie ziemiańskiej. Mając 21 lat całkowicie oślepla. Założyła Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża oraz Zakład dla Niewidomych w Laskach. Zmarła w opinii świętości 15 maja 1961 r. w Laskach.

Siła Lasek

IGNACY DUDKIEWICZ

Dziś potrzebujemy nowych pytań, nowych odpowiedzi, odwagi do wyjścia poza ramy. Taką odwagę miała Matka Czacka.

WRAŻLIWOŚĆ I OTWARTOŚĆ NA SŁA-
bość. Ekumenizm. Łączenie ży-
cia modlitwą i społecznego zaangażo-
wania. Wierność głównej misji zgroma-
dzenia, ale też otwieranie progów dla in-
nych spraw, inicjatyw, intencji. Wiele
z tego, co w Dziele Lasek „zaszyli” jego
założyciele – za kilka dni ogłoszona bło-
gosiawioną Matka Elżbieta Róża Czacka,
ks. Władysław Kornilowicz, Anto-
ni Marylski i inni – się nie przedawniło.
Aktualne wówczas, pozostaje aktualne
dziś – jest ciągle przed nami, do zrealizowa-
nia.

Wymieniać można dalej, ale dziś szcze-
gólnie ważne wydają się trzy inne ele-
menty działania i myślenia Matki Czackiej
oraz funkcjonowania całych Lasek. Po
pierwsze, działanie przeciw polaryza-

cji. Po drugie, opowiedzenie się za rozu-
mem. Po trzecie, patrzenie w przód.

Przeciw polaryzacji

W ośrodku dla niewidomych w Laskach
jest pokój, w którym pomieszkiwał nie-
gdyś Jerzy Zawieyski (dziś zresztą spo-
czywający na znajdującym się tu leśnym
cmentarzu w jednym grobie ze swoim
życiowym partnerem). W tym to pokoju
w 1976 r. pięć miesięcy spędził Adam
Michnik, opozycjonista znany, ale niebę-
dący w typie katolickich działaczy Klubu
Inteligencji Katolickiej. Poglądy na rolę
i historię Kościoła miał wówczas inne
niż dziś, wychowywał się w Hufcu Wal-
terowskim, bliższa była mu tradycja lewi-
cowa niż katolicka. To w tym pokoju na-
pisał książkę „Kościół, lewica, dialog”, do

dziś pozostającą klasykiem – nawet jeśli
nie wszystkie jej tezy pozostają aktualne.
Przez pięć miesięcy późniejszy redaktor
naczelny „Gazety Wyborczej” czytał listy
Episkopatu i przemówienia prymasa Wy-
szyńskiego, analizując sposób myślenia,
który nie tylko był mu wcześniej obcy, ale
co do którego miał swego rodzaju uprze-
dzenia. Analizując, co różni go od kato-
lików, dochodził do tego, co go z nimi
łączy. Nie uciekał od różnicy, by szukać
choćby małych zaczątków wspólnoty.

Nie o Michnika jednak chodzi. Cho-
dzi o otwarte drzwi. O atmosferę, która
pozwoliła mu tu być, pracować, o takie
miejsce w Kościele, w którym każdy czuje
się u siebie, niezależnie od tego, kim jest
i z czym przychodzi. Miejsce, w którym
każda tożsamość i pogląd jest punktem
wyjścia do spotkania z kimś, kto z nami
nie współodczuwa i nie współmyśli.

Takie Laski były, takimi zostały stwo-
rzone, takie pozostają do dziś. Podobnych
miejsc w Polsce – i w polskim Kościele –
brakuje. Brakuje miejsc, w których roz-
mowy nie rozpoczyna się od egzaminu
z „prawidłowości” poglądów, wartości
czy wyznania, ale od wspólnego posiłku
i zapytania o cel przyjazdu. Czacka uczy-
niła zaś Laski przestrzenią tylko jednego
egzaminu: z umiejętności bycia razem,
tworzenia wspólnoty z ludźmi o innych
poglądach, wspólnego działania na rzecz
słabszych oraz dyskusji i rozmowy nawet
na najtrudniejsze tematy.

Takie miejsce tworzy się nie poprzez –
jak przekonują niektórzy, niechętni po-
dobnej idei – rozmywanie ewangelicz-
nego przekazu. Przeciwnie, to właśnie
jego radykalne stosowanie w życiu wła-
snym i całej wspólnoty pozwala na prze-
ciwstawienie się plemiennej polaryzacji
toczącej polskie społeczeństwo i polski
Kościół. Właśnie dlatego można było tu
prowadzić w nieoczywistym gronie na-
prawdę poważne dyskusje, bo ci, którzy
to miejsce stworzyli, byli pewni swojej
tożsamości i wzywali do tego samego:
do traktowania samych siebie i innych
serio. Jeśli wierzyć, to też wyciągać z tego

konsekwencje. Jeśli nie wierzyć, to nie z przekory. A przede wszystkim wątpić, pytać i słuchać pytań – na całego i ciągle.

Matka Czacka była w najgłębszym możliwym sensie świadkinią, bo świadczyła o tym, co sama poznała, i innym pomagała szukać. A poznała w pierwszej kolejności pytania, nie odpowiedzi. I odkryła, że to znacznie więcej, bo nieustająco otwiera na drugiego człowieka, na jego wątpliwości, rozterki, słabości, upadki. Bo wyzwala z pokusy posiadania ostatecznej odpowiedzi na każde albo jakiekolwiek pytanie, pełnej i jedynej prawdy, rozstrzygnięcia każdego dylematu.

Za rozumem

Również dlatego z tej małej miejscowości pod Warszawą płynęły inspiracje, idee, pomysły, które odciskały piętno na historii kraju i społeczeństwa – takie pomysły rodzą się na nieoczywistych przecięciach. Nie chodzi jednak o spotkanie dla spotkań, o twierdzenie, że każde stanowisko jest równie uprawnione. Laski były swego czasu „duchową stolicą Polski”, bo oprócz ducha równie silnie pielęgnowano tu rozum. Te dwie przesłanki były w myśleniu Czackiej czy Kornilowicza nierozdzielnie związane: rozum wspierał ducha, duch wspierał rozum. Wiedzieli, że rozum bez ducha może być lodowaty, duch bez rozumu za nadto gorący. Jedno i drugie – śmiertelnie groźne.

A rozumowi – jego pielęgnowania i rozwijania – potrzeba w polskim Kościele jak tlenu, skoro księża z profesorskimi tytułami manipulują danymi pod z góry upatrzoną tezę. Gdy inni profesorowie-kapłani, a także biskupi plotą sprzeczne z biologią i teologią androny o nieprzeniesieniu wirusa przez konsekrowane ręce. Gdy próba aplikacji nowych osiągnięć i ustaleń nauki w sferę teologii – na przykład w przestrzeni wiedzy o seksualności, płciowości czy sposobach dokonywania wyborów moralnych – tak często spotyka się z reakcją obronną lub wręcz anatemami. Gdy słyszymy o wypędzaniu „demonów wegetarianizmu” od księdza, który potem otrzymuje miejsce w zespole Episkopatu do spraw nowej ewangelizacji. Gdy stanowisko podpisane przez jednego z polskich biskupów w sprawie etyczności szczepień jest tak mierne intelektualnie, że spowodowało odejście kilkorga ekspertów z zespołu.

Otwartość na ekspertów i ekspertki, na naukowe rozstrzygnięcia, na nowości związane choćby z charyzmatem Dzieła Lasek – służbą niewidomym – to wszystko charakteryzowało Matkę Czacką. Spotykali się tu ludzie, którzy wiedzieli, o czym mówią, i łączyli wiarę oraz naukę w sposób przekonujący, bo fachowy. Dzięki temu mogli też patrzeć dalej.

Dalej w przód

Owe dwie cechy myślenia i działania Matki Czackiej – otwartość na ludzi różnie myślących oraz na rozum i naukę – otwierały przed nią, jej współpracownikami i współpracowniczkami oraz innymi „ludźmi Lasek” nowe horyzonty. Nie jest przypadkiem, że właśnie w Laskach duch Soboru – choćby w sprawach ekumenizmu, dialogu z innymi religiami, z osobami niewierzącymi – unosił się na długo przed jego zwołaniem. Do Soboru Watykańskiego II nie doszłoby zaś, gdyby wcześniej na wezwanie Ducha Świętego nie odpowiadali – niekiedy wbrew przełożonym czy kościelnemu „mainstreamowi” – ludzie w różnych miejscach świata. To tacy jak Kornilowicz i Czacka przygotowali Kościół do soboru. Choć oboje zmarli przed jego rozpoczęciem, należą do soborowych ojców i matek.

Czacka umiała nie przejmować się tym, co inni myślą o jej powołaniu. Nie hamowało jej gadanie niektórych kurialistów, spośród których jeden, oddelegowany do opieki nad inicjatywą Matki, stwierdził swego czasu, że „zachciało się ślepej babie zakon zakładać”. Nie „zachciało”, lecz „rozeznało” – ważna różnica.

To także aktualne dziedzictwo Czackiej i Lasek – otwartość na Ducha, który wieje, kędy chce. Tak, dążmy do realizacji postanowień Soboru Watykańskiego II, oczekujemy tego, co w Kościele w Polsce (na przykład w sferze zadań i roli pełnionych przez kobiety) nie jest wcielane w życie, choć teologia i prawo kanoniczne w tym nie zawadza – robi to nawyk i uprzedzenie. Ale – jak zwróciła moją uwagę Agnieszka Piskozub-Piwoż, teolożka i religioznawczyni – skupianie się na tym, by przede wszystkim zrealizować to, co już możliwe, utrzymuje myślenie w zniewalających nas karbach. Nie pozwala patrzeć dalej, w przód, wwyż, nieustannie kieruje nasz wzrok wstecz. Sobór Watykański II to wciąż niespeł-

nione – na pewno w Polsce, ale nie tylko – powołanie. Rozpoczął się jednak niemal sześć dekad temu, a świat, nauka, rzeczywistość Kościoła w tym czasie nie zmieniły. Wręcz przeciwnie. Dziś potrzebujemy nowych pytań, nowych odpowiedzi, odwagi do wyjścia poza ramy.

Taką odwagę miała Czacka. Tego nas dziś powinna uczyć. Bo zawsze łatwiej jest konserwować przeszłość – zwłaszcza piękną – niż stawać w obliczu wyzwań teraźniejszości oraz budować przyszłość. Pielęgnowanie myśli założycieli, tradycji, pamięci jest potrzebne. Ale wspólnota, która tylko konserwuje dawną wielkość, nie ma szans na wielkość dziś i jutro.

A Duch nie przestał wiać. Matka Czacka uczy otwartości na Jego głos.

Zadanie

Szwajcarski ksiądz Charles Journet, późniejszy kardynał, który w latach 30. trafił do Lasek, wspominał: „Spotkaliśmy w pewnym zakątku Polski (...) Kościół prawdziwie franciszkański. Przyjmuje on życzliwie wszelkie nędze ciała i duszy, a jednocześnie wszelkie poszukiwania sztuki najbardziej nowoczesnej. Pełen jest cudownego poszanowania pragnień papieża i wymagań liturgii, lecz również wspaniale wolny od wszelkiego formalizmu, wolny jak obłok na niebie. Nie ma twardości ni wzgardy dla Żydów (...). Nie zna kłamstwa, jest szczery aż do przesady. Umie myśleć o komunistach, nie by ich przeklinać, lecz by ich nawiedzać w więzieniu, by gromadzić nad ich głowami węgle miłości i roztopić gorycz i bunty ich dusz. Nigdy nie miał ducha zakrystii, ale serce jego bije szerokim tętnem wielkiego Kościoła powszechnego i otwiera się (...) na wszystkie cierpienia Kościoła, na wszystkie jego niepokoje i na wszystkie nadzieje”.

Ten sam Charles Journet później uczestniczył w Soborze Watykańskim II, wniósł znaczący wkład w redakcję Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes”. Jego opinia zdaje się nie tylko wspomnieniem, ale także programem dla Kościoła, również w Polsce. Programem ciągle niezrealizowanym. ©

IGNACY DUDKIEWICZ jest bioetykiem, filozofem, publicystą i nauczycielem. Redaktor naczelny magazynu „Kontakt” (www.magazynkontakt.pl), członek zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie.



Protest parafian i interwencja policji w Mielęcinie, 29 sierpnia 2021 r.

Temu księdzu dziękujemy

NORBERT FRĄTCZAK

Protesty, blokowanie kościołów, odebranie kluczy do świątyni – parafianie z Mielęcina i okolic nie chcą już swojego proboszcza. Czym sobie zasłużył?

TO OSTATNIA SIERPNIOWA NIEDZIELA w Nowielinie, w zachodniopomorskim, 50 km od Szczecina. Ta niewielka wieś liczy niespełna pięciuset mieszkańców, kilka ulic, trochę domów i kościół. Jest po godzinie 10, wierni już czekają pod bramą. Dzwon nie bije, ale to nie szkodzi, bo nikt nie przyszedł tu na mszę. Wszyscy wiedzą, że po tym, co wydarzyło się tydzień temu, ksiądz się nie pojawi.

Pisały o tym media. 22 sierpnia mieszkańcy zabrali księdzu klucze do kościoła, nie wpuścili go do środka. Zamiast modłów po wsi niosło się wołanie: „Nie chcemy księdza!”. Dziś mają ze sobą transparent: „Księdzu dziękujemy, ksiądz już nie chcemy”.

Nowielin podlega parafii w Mielęcinie (należy do niej też kościół w Pstrowicach). Przedmiotem wołań wiernych jest

tamtejszy proboszcz: ks. Edward Masny. Do Mielęcina przybył osiem lat temu. Od trzech wierni ślą pisma do kurii szczecińsko-kamieńskiej, żeby go odwołała. W tym czasie do abp. Andrzeja Dzięgi jeździły też delegacje. – Bez skutku – mówi Bogumiła Kołodziej, sołtyska Nowielina. 18 sierpnia razem z sołtysami Mielęcina i Pstrowic napisali do prymasa Wojciecha Polaka pismo z prośbą o interwencję w sprawie księdza Masnego.

– To tyran w sutannie, a nie żaden ksiądz – precyzują mieszkańcy zebrani w Nowielinie w ostatnią niedzielę sierpnia. Za chwilę pojedą do Mielęcina, gdzie też zablokują księdzu wejście do kościoła. Na miejscu dojdzie do przepychanki. Przyjedzie policja. Do świątyni w Pstrowicach też nie wpuszczą. Wymienią klucze do bram i powierzą je pod opiekę pani sołtys.

Gorzkie żale

Z profilu duszpasterskiego ks. Edwarda Masnego na stronie archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej dowiadujemy się, że kapłanem jest od 38 lat. Imieniny obchodzi 13 października. Kilka słów o sobie: brak. Słów o księdzu nie szczędzą za to jego parafianie. I żadne z nich nie jest dobre.

Parafianin pierwszy: – Nie ma w nim odrobiny dobrej woli. Nie idzie się z nim dogadać, ani po dobroci, ani po złości. Jak coś postanowi, na przykład, że nie będzie święcił krzyża, bo sami go postawiliśmy, to nie poświęci. I po rozmowie.

Parafianin drugi: – W naszej parafii zrobiło się jak w mieszkaniu państwa Dulskich. Ksiądz jest wyrachowany i bezwzględny. Obraża nas, wyzywa od diabłów, szatanów. A jak nam się nie podoba, to mamy się wynosić.

Parafianin trzeci: – Że nie dba o nas, parafian, to pół biedy. Ale on zaniedbuje też świątynię. Dach przecieka, bywa, że woda stoi w kościele, mur się wali, dzwonnica tak samo, a on nic. I nie o pieniądze tu chodzi, bo te już zebraliśmy, a o zgodę na remont. Błagamy o ten podpis od lat. Bezskutecznie.

Najlepiej jak sam wejść i zobaczę, zapraszają wierni. Że drzwi zamknięte? Żaden problem. Pan Wiesław otworzy. Ma klucze, te same, które odebrał księdzu dwa i pół tygodnia temu. I gotowe. Proszę

notować, zdjęcia robić, niech kraj się do-
wie, jak to wygląda.

A wygląda tak: kościół w Nowielinie
jest niewielki, typowo wiejski. Ołtarz
i kilka rzędów ławek. Ściany, niegdyś
białe, wyraźnie zszarzały. Drewniany
chór najlepsze lata też ma już za sobą –
nie potrzeba dobrego wzroku, żeby do-
strzec pęknięcia. Ale najgorzej wygląda
sufit – jakby zaraz miał runąć na głowy.
Śmierdzi grzybem. Za ołtarzem – stara
szafa. To tu ksiądz przebiera się przed
mszą, przy wszystkich.

– To niech pan opisz – wierni z Nowie-
lina wskazują na ołtarz. – Tu, gdzie teraz
są kinkiety, zresztą zdjęte ze ścian, kiedyś
paliło się tzw. wieczne światelko. Tak na
nie wołaliśmy, bo płonęło od 50 lat. Gdzie
jest teraz, nikt nie wie. Ksiądz zabrał i nie
powiedział, co z nim zrobił.

– To samo obrazy – teraz wskazują na
jedną ze ścian. – Widzi pan, kilku bra-
kuje. Ksiądz je pozdejmował. Nie wia-
domo czemu i co z nimi zrobił. Tak jak
nie powiedział, dokąd zabrał nasze or-
gany i dzwon. Ludzie gadają, że do Nie-
miec sprzedał, ale czy to prawda, nikt do
końca nie wie.

Wierni z Mielęcina, gdzie ks. Masny
jest proboszczem, najbardziej żałują za-
bytkowych klamek z lwimi głowami,
które niegdyś zdobiły drzwi kościoła.
Teraz są zwykłe, brzydkie. Szkoda też
ozdobnej, kutej kropielnicy. Ksiądz za-
stał ją szklaną miską, jak na salatkę.
O obrazach, które zniknęły, nie ma już
co wspominać.

– Poza tym – parafianie zapraszają
przed kościół – proszę spojrzeć na płytki
chodnikowe. Popękane, wystające, sta-
ruszkowie się o nie potykają. Tylko cze-
kać, aż zdarzy się nieszczęście.

Wierni nie chcieli czekać. Zapropo-
nowali proboszczowi, że sami zapłacą
za nowe. Pieniądze będą wpłacać na spe-
cjalne konto bankowe, ile kto może. Ale
ks. Masny nie zgodził się na żadne konto.
Skoro teren należy do parafii, to pieni-
dze powinny trafiać do niego. On będzie
pilnował.

Ten pomysł z kolei nie spodobał się
parafianom. Więc dalej chodzą po krzy-
wych płytkach. Przy czym płytki te – jak
wynika z ich opowieści – to jeden z mniej-
szych problemów.

Niedzielna emigracja

Pierwsza opowieść Halina, która od dziecka
miała utrudniony dostęp do kościoła. Naj-

pierw za komuny, gdy wszystkim wierzą-
cym przyglądano się nieufnie, a tym, któ-
rzy mieli ojców w milicji, nawet szczegó-
lnie. Halina akurat miała, zatem niedziele
w rodzinnej parafii były wykluczone.
Chrzest przyjęła w konspiracji, a pierw-
szą komunię dopiero wtedy, gdy ojciec
zrzucił mundur milicjanta i przywdział
kolejarza. Chociaż nawet wtedy w miej-
scowym kościele wołała się nie pokazy-
wać, więc na mszę jeździła do sąsiednich
miasteczek.

Teraz, za ks. Masnego, też jeździ, zwy-
kle do Pyrzyc, bo w Mielęcinie, jak twier-
dzi, już nie da się w spokoju modlić.
– Z początku jeszcze znosiłam to, że krzy-
czał i straszył dzieci. Ale po tym, jak dziad-
kowi Nowickiemu naubliżał z ambony
od diabłów i wyrzucił go z kościoła, bo
chłop był za stary, żeby ukłęknać, coś we
mnie pękło – mówi.

– Nasz chór był kiedyś pełen młodych,
dziś nie ma nikogo – mówi mieszkanka
Nowielina. – Dzieci boją się księdza, bo
krzyczy, wyprasza z mszy. Kiedyś chwy-
cił małą dziewczynkę za ramię i siłą wy-
rzucił ją z kościoła. Sama mam dwuletnią
córkę i boję się z nią przychodzić na msze
– przyznaje kobieta.

– Nie dziwota, że ludzie nie chodzą, jak
nawet dorosłym ksiądz każe wynosić się
z kościoła – tłumaczy Krystyna, która
kościelną emigrację uprawia od sześciu
lat. – Mnie akurat nie musiał wyrzucać.
Sama sobie poszłam po tym, jak syn po-
wiedział, że przez ks. Masnego nie pó-
jdzie do bierzmowania. Nie przekonywa-
łam go, żeby zmienił zdanie, tylko zna-
lałam inną parafię. Oczywiście potrzebna
była zgoda proboszcza. Ks. Masny nie za-
pytał, skąd taka decyzja. Po prostu się nie
zgodził.

Non possumus

Ks. Masny jest wprawiony w odmawia-
niu. Odmawia wystawiania dokumen-
tów, wstępu na teren kościoła, czasem
też sakramentów.

Justynie Rzeszotarskiej z Mielęcina
odmówił ślubu. Cztery lata temu przy-
szła do niego, żeby ustalić datę. Najlepiej
w październiku, poprosiła. „Pani nie do-
stanie ślubu” – miała usłyszeć od ks. Ma-
snego. „Dlaczego?” – zapytała. „Bo pani
nie wygląda na osobę wierzącą”. „A jak,
zdaniem księdza, wygląda osoba wie-
rząca?”. „Na pewno nie tak jak pani”.

Kobieta wiedziała, że decyzje ks. Ma-
snego są ostateczne, więc o ślub popro-

siła w parafii w Goleniowie (80 km od
Nowielina). Zgodzili się bez problemu.
Dwa tygodnie przed ślubem poszła się
wyspowiadać do ks. Masnego. Ten jednak
tak się zdenerwował, że odmówił sakra-
mentu. – Powiedział, że jestem bezczelną
dziewuchą i mam się wynosić z kościoła
– opowiada Rzeszotarska.

Odmów wydania dokumentów było
wiele. Oto inny przykład. Jest rok 2016.
Wnuczka Zofii Jeżykowskiej uczy się
w Pyrzycach, w tym roku ma być bierz-
mowana. Matka dziewczyny wraz z bab-
cią (Jeżykowska, jako parafianka, robi jej
za wsparcie) udaje się do proboszcza po
dokument zaświadczenia, że uczęszcza
do kościoła w Mielęcinie. Ks. Masny od-
mawia (mimo że – twierdzą Jeżykowskie
– uczęszcza). Matka idzie więc drugi raz.
Potem trzeci i czwarty. Wreszcie, za pią-
tym podejściem, proboszcz zgadza się wy-
stawić zaświadczenie. Na kartce jest napi-
sane: „Ten dokument został wydany na
życzenie rodziców dziecka i nie uprawnia
do dopuszczenia dziecka do sakramentu
poza parafią Mielęcin. Proszę o kontakt
w sprawie dziecka, ucznia III klasy gim-
nazjum”. „50 zł poproszę” – mówi Masny
do matki dziewczynki.

– Po koleżdzie zapytałam księdza, o co
chodzi z tym zaświadczeniem – relacjo-
nuje Zofia Jeżykowska. – Odpowiedział,
że w Pyrzycach go znają i mogą dzwonić,
to on wyjaśni. Tyle że siostra zakonna,
która uczy wnuczkę, znając księdza, nie
ma ochoty z nim rozmawiać.

Niedługo później zmarła matka Jeży-
kowskiej. Zmarła w szpitalu w Szczeci-
nie, bliżej Krzemlina. Pogrzebu udzie-
łał ks. Krzysztof Rostkowski, proboszcz
tamtejszej parafii. – Świącąc świętce na
Wielkanoc ks. Masny powiedział w Mie-
lęcinie, że partyzancki ksiądz zrobił party-
zancki pochówek. Później w Nowielinie
powiedział, że pogański ksiądz dopuścił
się pogańskiego pochówku. Nie mogłam
tego zdzierżyć – relacjonuje Zofia Jeży-
kowska. – Napisałam zażalenie do kurii
szczecińskiej, w którym domagałam się
przepraszania dla ks. Rostkowskiego. Ten
zmarł w kwietniu 2020 r. Przepraszania
nie doczekał.

Co niełaska

U ks. Masnego, twierdzą parafianie,
wszystko kosztuje. Pochówek żony/
męża we wcześniejszej opłaconym grobie
małżonka na cmentarzu przykościel-
nym – 300 zł. Zaświadczenie dla dziecka →

→ potrzebne do pierwszej komunii/sakramentu bierzmowania – 50 zł. Tyle samo proboszcz liczy za otwarcie bramy przed parkingiem parafii w Mielęcinie. Ta została zamontowana przed laty przez wiernych (a konkretnie przez pana Jarka, który postawił ją po tym, jak proboszcz zakazał „rozjeżdżania” terenu parafii z dotychczasowej strony).

Parafianie nie zapomną tego ks. Masnemu. Jesionowej zmarł mąż, był pogrzeb. Kobieta była biedna, nie zapłaciła za otwarcie bramy. Proboszcz nie otworzył jej grabarzem, którzy nieśli trumnę do kościoła. Rodzina zmarłego wyklócała się z duchownym przez kraty. Wreszcie przenieśli zmarłego nad ogrodzeniem. – Podłóż tego człowieka nie ma granic – mówi pan Jarek, który montował bramę. – Już ze dwadzieścia kłódek przecinałem, żeby ludzie mogli się dostać do kościoła – dodaje.

Dziś bramy już nie ma. Kilka dni temu została zdjęta na wypadek, gdyby i tu, tak jak w Nowielinie, parafianie zamierzali zamknąć ją przed księdzem.

Pani Janina patrzy na to wszystko ze łzami w oczach. Nie może uwierzyć, że coś takiego mogło spotkać spokojną dotąd parafię. W same historie, owszem, wierzy. Sama ma jedną do opowiedzenia. – Jakiś czas temu zmarł mój mąż – mówi łamiącym się głosem. – Córka chciała go pochować w Pyrzycach, razem z jego rodzicami. Potrzebne było zaświadczenie od proboszcza Masnego o postawie wiary zmarłego. Zażył sobie 400 zł. Zapłaciłam, wyprosił mnie przed kościół, na schody. Po pół godziny wróciłam po zaświadczenie. Na karteczce było napisane, że mąż nie przyjmował sakramentów. „Jemu to i dziesięciu księży nie pomoże”, skomentował.

Sprzątanie kościoła też kosztuje. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wierni sami sprzątają swoją świątynię. Potem wpisują się do zeszytu. Tak było od lat, ale ksiądz Masny wprowadził nową zasadę. – Po każdym sprzątnięciu mamy wkładać do zeszytu 10 zł. Gdy zapytaliśmy dlaczego, powiedział, że za światło – opowiada Katarzyna Szalamej-Giergiej z parafii w Mielęcinie. – Było tak: z siostrą wysprzątałyśmy kościół. Ale pieniędzy nie włożyłyśmy. Na drugi dzień, w niedzielę, była msza za naszych rodziców. Ks. Masny wyczytał nas – mnie i moją siostrę – z ambony. Stwierdził, że jesteśmy potępione. Kazał wynieść się z kościoła.

Zła wola proboszcza dotknęła też dzieci kobiety. Ma ich troje: dwie dziewczynki i chłopca. Żadne z nich nie poszło do pierwszej komunii u ks. Masnego („Z wiadomych powodów”). Ale żeby w ogóle poszły, potrzebne było zaświadczenie od proboszcza. Każdorazowo, gdy pani Katarzyna prosiła go o wydanie, z plebanii wychodziła z płaczem. Bez dokumentów.

– Proboszcz powinien być człowiekiem, do którego ludzie idą po wsparcie, po ratunek, po dobre słowo. U nas nie możemy liczyć na nic prócz potępienia – kończy kobieta.

Co zrobić z proboszczem?

Ks. Masny, który dziarskim krokiem zmierzał do kolejnych kościołów, wydaje się być spokojny o swoje losy. Z dziennikarzami rozmawiać nie będzie. Na kartce wydrukował oświadczenie, w którym twierdzi, że stał się ofiarą napadu i nagonki. Wśród uczestników blokady nie widział osób zaprzyjaźnionych z Panem Jezusem (tych, którzy się

z Jezusem przyjaźnią, ale na mszę nie przyszli, sumuje krótkim dopiskiem: „użyteczni pajace”). „Ktoś inny porwał ich serca – kto?” – zapytuje w dokumencie ks. Masny i odpowiada (także odręcznym dopiskiem): „Diabeł, szatan”. Z zarzutami mieszkańców katerycznie się nie zgadza.

To nie pierwsza parafia ks. Masnego, w której wierni zbuntowali się przeciwko niemu. W 2006 r. mieszkańcy Jarosławska wysłali do arcybiskupa petycję z prośbą o natychmiastowe odwołanie proboszcza. Zarzuty były te same: „Poniża nas, obraża, wygania z kościoła nasze dzieci”. Chodziło też o niszczenie zabytkowego budynku kościoła.

Czy w takim razie kolejne przeniesienie ks. Masnego na inną parafię ma sens? Co w takiej sytuacji powinien zrobić biskup? – Jeżeli zarzuty się potwierdzą, może takiego proboszcza odwołać z dotychczasowej parafii, nie powierzając mu kolejnej – mówi kanonista, który prosi o anonimowość. – Może go mianować wikariuszem na innej parafii, księdzem do pomocy duszpasterskiej. A w ostateczności odesłać go bez żadnej funkcji do rodziców, jeżeli jeszcze żyją. Jest jeszcze coś: gdy zachowanie księdza stanowi przestępstwo kanoniczne, może i powinien zostać ukarany, a nie tylko odsunięty od pełnienia obowiązków.

Scenariuszy jest zatem kilka. Na który (i czy w ogóle) zdecyduje się arcybiskup Dzięga – nie wiadomo. Jego sekretarz na pytania „Tygodnika Powszechnego” nie odpowiedział.

© NORBERT FRĄTCZAK

Imiona niektórych parafian zostały zmienione na ich prośbę.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MUZEUM
PAMIĘCI
SYBIRU

Białystok

**W najbliższym numerze „Tygodnika”
znajdą Państwo specjalny dodatek powstały
we współpracy z Muzeum Pamięci Sybiru.**

Rozmawiamy w nim o pamięci i bolesnym dziedzictwie historii z dyrektorem placówki, Wojciechem Śleszyńskim, a także prezentujemy kilka relacji osób, które piekła Sybiru doświadczyły na własnej skórze.

Zapraszamy do lektury!

ZUZANNA

Radzik: *Kot i dziewczyna*



TRZYNAŚCIE LAT TEMU MOJA SIOSTRA, GDY przyjechała do mnie na wakacje, wyciągnęła ją z jerozolimskiego śmietnika. Małą, brzydką, z ledwo rozwartymi oczami. Kot to czy kret? – dumałyśmy, gdy wydobyła ją ze zwojów kupionej jako suwenir kafiji. Byłam zła, że się po nią schyliła, choć wychowano nas w domu, w którym zbierało się z ulicy wszystkie nie-szczęścia.

W moim bieda-studenckim życiu brakowało jeszcze tylko kota. Raz już jednego zgarnęłam tam z ulicy, w strasznym stanie. Dojazd taksówką w pierwszy dzień Pesach oraz koszt operacji (i tak życzliwie zaniżony) zmiotł z konta całe moje pieniądze na tamten miesiąc. A tydzień później jego małe ciało nie wytrzymało: zmarł mimo reanimacji przez wojskową sanitariuszkę, z którą mieszkalam w akademiku. A potem zostałam z kłopotem sama: martwy kot, fala upałów i obce miasto. Jak się grzebie zwierzę w obcym mieście? Najlepiej natychmiast. W mieście, którego skuta upałem ziemia jest nieprzyjazna, a ty... w sumie nie masz nawet łopatki.

W poszukiwaniu łopatki zadzwoniłam do Małgosi, która wzruszyła mnie deklaracją, że nie zostawi mnie z tym samej, choćbyśmy miały kopać łyżkami. Chwilę później właśnie łyżkami drążyłyśmy grób w parku za uniwersytetem. Nawadniana ziemia stawiała tam mniejszy opór. Rudy kot, który nie zdążył dostać imienia, spoczął pod drzewem oliwnym z widokiem na dolinę Jozafata. Na wzgórzu obok jest cmentarz z najlepszymi miejscami, bo stąd będzie widać przyjście Mesjasza, który wkroczy do świętego miasta od tej właśnie strony. „Ależ mój kot ma miejscówkę do zamartwychwstania” – mówiłam wtedy, o dziwo, bardzo gorsząc księży. Zapomniałam, jak na pierwszym roku teologii profesor tłumaczył nam, że zwierzęta będą zbawione, ale gąnkowo. Pies jako taki, ale nie twój Puszek. „Chyba nie miał psa, nie rozumie, o co chodzi” – fukali studenci, wychodząc z sali.

Kiedy pojawiło się następne brzydkie kreciátko, które trzeba było karmić butelką co dwie godziny, masować brzuszki i robić za kocią matkę – nie chciałam mieć kota. Ale już była, oczy robiły się coraz większe, stawiała pierwsze kroki. Zabierałam ją do kawiarni, kościoła i do synagogi, bo akurat był sezon jesiennych świąt i uroczystych obiadów. Zwiedzała świat na dnie koszyka, zakopana w swetry, ale najczęściej przywiązana do szyi chustą, bo weterynarz straszył, że porzucone kocięta, nawet odkarmione, umierają z rozpacz. Nie miałam siły na kolejny koci pogrzeb.

I choć nieplanowana i niezbyt chciana, sprawiła, że mieszkanie zmieniło się w dom. Nie знаła innych kotów, długo nie umiała się myć. W dzieciństwie upierała się pić nie z miski, tylko z kubka, tak jak ja. A jako dziedziczka genów kotów rodem z jerozolimskich śmietników, po których wala się zeschnięte pity, za frykas uważa kradzioną suchą bułkę. Tak sobie żyjemy. Z plakatem „Kot i dziewczyna, normalna rodzina” na ścianie w kuchni.

Nasza normalna rodzina ma też potężne problemy wychowawcze. Kocica terroryzuje gości, włączając cały arsenał strasznych dźwięków: prychania i przeraźliwego warkotu. „To nie jest kot, tylko diabeł” – mówią stali bywalcy, proponując wezwanie egzorcysty. Albo bardziej poetycko: „Bluma składa się z futra i furii”.

Jeśli kot ma siedem żyć, to ona wykorzystała już cztery. Pierwsze wtedy, gdy uniknęła śmierci w śmietnikowym kartonie. Potem kolejne, gdy pogarszająca się dyskropatia kręgosłupa nawracająco przykuwała ją do podłogi z bólu. Gdy w rozpacz błagałam o operację, i gdy w jej trakcie reanimowali ją na stole. Zawsze gdy wokół podnoszą się delikatne głosy, że może już cierpi za bardzo, ona wstaje i znów zaczyna oszczekiwać gołębie, napadać na gości i dziko bawić się ukradzioną mi gumką do włosów. Kruchy to stan, a w międzyczasie lekarze zaczęli nazywać moją kocią córkę staruszką.

Te trzy kilo furii i futra, które przeorały mi życie, zasługują na felieton z okazji urodzin. Bluma kończy 13 lat, więc chyba obchodzi bat micwę. Choć nie jest jasne, czy śmietnik, z którego pochodzi, był palestyński, czy izraelski. Jest jednak córką tego naszego małego przymierza. Trzynastu lat budowania życia wokół trudnego i chorego kota.

Tymczasem na granicy w Usnarzu stanęła dziewczyna z kotem. Kot i dziewczyna, jak my. My: Zuzanna i Bluma z Polski. Oni: Mariam i Fijuz z prowincji Parwan w Afganistanie. Tylko my z Blumą, choć znów gdzieś migrujemy, to obie z unijnymi paszportami. Będziemy się nazywać ekspatkami, bo jedziemy z własnej woli i świat nas nie odpycha od siebie. Jak ich.

© P

POŻEGNANIE

Drogim Państwu
Beacie i Fryderykowi Zollom
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Taty i Teścia
składają pozostający w modlitwie
PRZYJACIOŁKI I PRZYJACIELE
Z KONGRESU KATOLICZEK I KATOLIKÓW

weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy GRATIS „TP Historia. Wiślna 12”!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele” oraz „Moc mózgu”.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 37/2021



PRZEMOC W RODZINIE

Widać to lubi, skoro nie odchodzi

URSZULA NOWAKOWSKA

Przemoc domowa, której ofiarami są w większości kobiety, wciąż postrzegana jest w kategoriach złych relacji w rodzinie, patologii i alkoholizmu. Milczy się o naruszeniu praw człowieka i dyskryminacji ze względu na płeć.

W POLSCE ZASZŁY ZMIANY w podejściu do przemocy wobec kobiet, jednak wprowadzanie standardów międzynarodowych, zapisanych chociażby w Konwencji stambulskiej (dotyczy ona przeciwdziałania i ochrony kobiet przed przemocą) napotyka bariery.

Podstawową strategią zwalczania przemocy wobec kobiet jest nie tyle pociągnięcie sprawcy do odpowiedzialności, co „pomoc” wszystkim członkom rodziny. Dominuje przekonanie – promowane przez stowarzyszenie Ordo Iuris – że wzmocnienie więzi i poprawa komunikacji przyczynią się do poprawy sytuacji i „uratuja rodzinę”. Brakuje natomiast spójnej polityki państwa, promującej partnerski model rodziny, podważającej patriarchalne obyczaje i wartości leżące u źródeł przemocy wobec kobiet.

Prawdziwa ofiara

Stereotypy i uprzedzenia związane z rolami płciowymi mają ogromny wpływ na decyzje ustawodawcy i kształt naszego prawa. To właśnie nimi kierują się opoeni wdrożenia Konwencji stambulskiej do polskiego porządku prawnego. Stereotypy wpływają też na stosowanie prawa. Dotyczy to zarówno funkcjonariuszy policji (odpowiedzialnych za podjęcie decyzji o wszczęciu postępowania), jak i prokuratorów nadzorujących jego przebieg oraz decydujących o umorzeniu; a także sędziów orzekających w sprawach karnych i rodzinnych.

Stereotypy wpływają na ocenę zebranych dowodów, służą usprawiedliwianiu sprawców, łagodzeniu ich odpowiedzialności za popełnione czyny i przenoszeniu ciężaru winy za przestępstwo na same ofiary. Stoją za decyzjami sędziów rodzinnych orzekających na temat „winy za roz-

kład pożycia małżeńskiego”, w sprawie władzy rodzicielskiej, miejsca zamieszkania i kontaktów z dziećmi. Dyktują reakcję otoczenia na przemoc i wpływają na decyzje kobiet o jej ujawnianiu.

Jeden ze stereotypów dotyczy prawdziwej ofiary. Określa, jak ofiara powinna się zachowywać i wyglądać. Pokrzywdzone kobiety odbiegające od tego wizerunku poddaje się surowej ocenie i uznaje za mniej wiarygodne.

Na przykład: zgwałcono kobietę (podając wcześniej pigułkę gwałtu). Odzyskała świadomość, poszkodowana nie wiedziała, który z uczestników imprezy popełnił przestępstwo. Była wciąż odurzona środkiem chemicznym, źle się czuła. W uzasadnieniu wyroku napisano: „Doświadczenie wskazuje, że ofiara zgwałcenia stroni od sprawcy, obawia się go, stara się obmyć, wyrzucić ubranie”. Na niekorzyść pokrzywdzonej miał przemawiać także fakt, że zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa złożyła po kilku dniach.

W innej z badanych przez Centrum Praw Kobiet sprawie pokrzywdzoną uznano za „prawdziwą ofiarę” przemocy domowej, ale pomimo obrażeń w okolicach intymnych (udokumentowanych obdukcją lekarską) sąd uznał, że w niewystarczającym stopniu dowiodła, iż do „współżycia” doszło bez jej zgody.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że niektóre stereotypy dotyczące prawdziwej ofiary funkcjonują odmiennie wobec kobiet doświadczających przemocy seksualnej i domowej. Ofiara przemocy seksualnej powinna się bronić; kobieta doznająca „innych form przemocy domowej” powinna być raczej bierna. Jeśli się broni, jej zachowanie może być interpretowane jako przemoc wzajemna, która znosi odpowiedzialność sprawcy lub w najlepszym wypadku minimalizuje jego winę i karę. Z takimi komentarzami spotkało

się wiele klientek CPK, którym zarzucano, że nie „były dłużne” swoim partnerom.

Powódka „umie o siebie zadbać”

Również staranny wygląd może przemówić na niekorzyść kobiety. W jednej ze spraw adwokat oskarżonego konfrontował wizerunek pokrzywdzonej z wizerunkiem „prawdziwej ofiary”. Podnosił, że jest nie tylko zadbaną kobietą, ale także „bierze udział w grupie wsparcia, zapisala się na kursy tańca, wyjechała na wycieczkę”. Sędzia stwierdziła, że „jako kobieta, która wygląda na taką, co umie o siebie zadbać, chyba nie pozwoliłaby mężowi traktować się w sposób, który przedstawia na sali”.

Podważając wiarygodność kobiet, podnosi się, że „nie odeszły wcześniej”, „nie zgłaszały każdorazowo incydentu przemocy”, „nie wносиły oskarżenia i nie rozwiodły się”. Na jednej z monitorowanych przez CPK rozpraw kobieta, której mąż był trzykrotnie karany za znęcanie się, usłyszała: „Trudno uwierzyć, że mąż znęcał się nad panią przez dwadzieścia lat. Skoro tak było, to dlaczego pani się nie rozwiodła i nie starała się o zmianę mieszkania, tylko z uporem zakładała kolejne sprawy o znęcanie”. Zeznania innej pokrzywdzonej sędzia skwitował komentarzem: „Powódce niby działa się taka wielka krzywda, a finalnie pozew złożył mąż”.

W wielu monitorowanych przez CPK sprawach do podważenia wizerunku pokrzywdzonej jako prawdziwej ofiary wykorzystywany był zarzut „opóźnienia w zgłaszaniu przemocy”. W jednym z uzasadnień o umorzeniu postępowania napisano: „Oceniając opisany przez pokrzywdzoną stan faktyczny, nie sposób pominąć czasu, jaki upłynął od zdarzeń zrelacjonowanych przez pokrzywdzoną dotyczących znęcania się i wypro-

wadzenia się partnera, do chwili złożenia pisemnego zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa”. Podczas innej rozprawy rozwodowej sędzia lekceważąco odniosła się do słów powódki dotyczących przemocy: „To sprawa dla policji, a nie dla sądu, i skoro [powódka – przyp. red.] nie powiadomiła odpowiednich służb, to sąd nie będzie brał pod uwagę jej twierdzeń”.

Takie wypowiedzi świadczą o braku wiedzy na temat psychologicznych aspektów relacji między sprawcą i ofiarą występujących w przemocowym związku.

Na celowniku

Kobiety „prześwietla się” badając, czym kierowały się składając zawiadomienie o przestępstwie. Czy aby oskarżenie nie jest aktem zemsty, chęcią uzyskania jakiejś korzyści od mężczyzny, obroną własnej reputacji? Kobieta zgwałcona musi wykazać, że zachowanie sprawcy wypełniło znamiona przestępstwa (przemoc, groźba bezprawna lub podstęp) i udowodnić jego winę. Dodatkowo zmuszona jest bronić swojej reputacji i wiarygodności oraz wykazać, że na oskarżeniu nic nie zyskuje.

Z zarzutami o fałszywe oskarżenia spotykają się m.in. kobiety-ofiary przemocy jednocześnie wnoszące sprawę o rozwód, ustalenie miejsca pobytu dzieci lub ograniczenie ojcu dziecka władzy rodzicielskiej. Prokuratorzy i sędziowie sądów karnych, pomimo dowodów na stosowanie przemocy, umniejszają ich wagę. Oceniają zebrany materiał dowodowy przez pryzmat toczącej się sprawy rodzinnej. Powszechne jest sprowadzanie przemocy w rodzinie do konfliktu okołorozwodowego (co ma uzasadniać odmowę założenia bądź zamknięcie Niebieskiej Karty, odmowę wszczęcia postępowania lub jego umorzenie).

W sprawie jednej z klientek CPK, nad którą znęcał się mąż, prokurator – umarzając sprawę – napisał: „Nadto analizie nie może umknąć postępowanie cywilne dotyczące wspólnych dzieci, podczas którego każde ze skonfliktowanych rodziców stara się przedstawić drugą stronę w negatywnym świetle”. W innej sprawie, także pomimo mocnych dowodów (zeznania świadków, obdukcje lekarskie, trzy wcześniejsze wyroki za znęcanie się nad rodziną) sędzia nie reagował, kiedy próbowano podważyć wiarygodność zeznań pokrzywdzonej i świadków, spro-

wadząc toczącą się sprawę do „konfliktu o mieszkanie”.

Kobiety oskarżające męża o przemoc, ale niewnoszące sprawy o rozwód, również są podejrzane. Jedna z nich usłyszała: „widać to lubi, skoro nie odchodzi”. I jeszcze: „Nie warto jej sprawę się zajmować, bo i tak pewnie wycofa zeznania”. Wiele kobiet ma podobne doświadczenia. Sędziowie i prokuratorzy nierzadko wyrażają zdziwienie, że kobieta nie wniosła sprawy rozwodowej, skoro – jak twierdzi – mąż się nad nią znęcał.

Wiele kobiet w toku postępowania karnego czuje się, jakby to one zasiadały na ławie oskarżonych. Są upokarzane ostentacyjnym okazywaniem braku zaufania. Przejawia się ono w sposobie i treści zadawanych pytań, w komenta-

■ Kobieta zgwałcona musi wykazać, że zachowanie sprawcy wypełniło znamiona przestępstwa, i udowodnić jego winę. Dodatkowo broni swojej reputacji i wiarygodności.

rzach do ich wypowiedzi, ale także w decyzjach o powoływaniu biegłych, którzy mają ocenić wiarygodność ich zeznań pokrzywdzonych, skłonności do konfabulacji, stanu zdrowia psychicznego, a nawet cech charakteru.

Prawo do zazdrości

Z doświadczenia CPK wynika, że taktyką obronną wielu sprawców przemocy jest powoływanie się na przemoc wzajemną. Prowokacją może być zazdrość. Kobiety są oskarżane o prowokowanie, kiedy to one okazują zazdrość i kiedy to sprawca jest zazdrosny. Mężczyzna, który mówi, że partnerka dawała mu powody do zazdrości, spotyka się ze współczuciem. Okoliczności te traktowane są jako łagodzące jego winę i karę. W jednym z wyroków rozwodowych, mimo drastycznej przemocy doznanej przez kobietę i wyroku skazują-

cego za przemoc, sąd uznał obopólną winę stron. Winą kobiety było, że „nie unikała zachowań, które mogły mężowi dawać podstawy do zazdrości”.

W badanych sprawach, w których mężczyźni usprawiedliwiali złość, a nawet agresję fizyczną ograniczaniem ich wolności przez zazdrosne i oskarżające ich o zdradę żony lub partnerki, nikt nie badał, czy mężczyzna dawał podstawy do takiego odbioru rzeczywistości. Nie analizowano ich zachowania, nie sugerowano, aby owo zachowanie zmienili i nie dawali partnerce podstaw do zazdrości.

Podczas jednej z rozpraw monitorowanych przez CPK pod adresem pokrzywdzonej i świadków padały pytania: „Czy piliście państwo alkohol?”, „Czy można powiedzieć, że pani nadużywała alkoholu?”. Można było odnieść wrażenie, że spożywanie przez pokrzywdzoną alkoholu jest traktowane jako prowokacja i usprawiedliwienie przemocy.

Polska nie robi nic, aby przeciwdziałać stereotypom, chociaż wymaga tego od nas ratyfikowana przez nasz kraj Konwencja Rady Europy dotycząca przeciwdziałania i zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. Tymczasem to właśnie stereotypy podtrzymują nierówności pomiędzy kobietami i mężczyznami, są przejawem dyskryminacji ze względu na płeć i pozbawiają kobiety prawa do rzetelnego i sprawiedliwego procesu.

URSZULA NOWAKOWSKA jest prawniczką, założycielką fundacji Centrum Praw Kobiet



**Jeśli doświadczasz przemocy,
skontaktuj się z nami:
całodobowy tel. interwencyjny
600 070 717**

sekretariat@cpk.org.pl
kom. 509 790 232
porady.prawne@cpk.org.pl
porady.psychologiczne@cpk.org.pl

www.cpk.org.pl



Urszula Nowakowska

Dlaczego milczała pani tak długo?

MAŁGORZATA NOCUŃ

Z eleganckiej, wykształconej kobiety powoli stawałam się zapuszczoną „ofiara przemocy”. „Żoną alkoholika”. Sprzedawałam zabawki i ubranka syna, żeby starczyło na życie. Mój syn oglądał pijanego ojca leżącego na sofie.

URSZULA NOWAKOWSKA, PRAWNICZKA, ZAŁOŻYCIELKA FUNDACJI Centrum Praw Kobiet, uważa, że przemoc ma kobiecą płęć. Wśród ofiar przeważają kobiety (ponad 90 proc.), a wśród sprawców – mężczyźni.

Kamila Ferenc, prawniczka z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, nie ma wątpliwości – patriarchalny model rodziny rodzi przemoc. Osoba krzywdzona posiada słabą pozycję. Sprawca wie, że może pozwalać sobie na coraz więcej, jego ofiara nie ma narzędzi, ani zewnętrznych (niezależność finansowa), ani wewnętrznych (poczucie własnej wartości), żeby się bronić.

Kiedy kobieta staje się ofiarą przemocy?

– Jeśli czuje, że została upokorzona, zadano jej ból. Miało miejsce coś więcej niż „zwykłe nieporozumienie” – mówi Ferenc. Przemoc to nie tylko cios. To także słowo i gest.

Jolanta. Bici biją

Miałam kilkanaście lat, kiedy postanowiłam, że nigdy nie urodzę dziecka. Jestem po czterdziestce i nie żałuję, że nie zostałam matką.

Pochodzę z inteligentnej, dobrze sytuowanej rodziny. Mama i tata robili karierę zawodową, dużo czytali. Na wakacje jeździliśmy za granicę – w czasach PRL-u był to prestiż, którego w szkole mi zazdrośczone. Koleżanki i koledzy nie wiedzieli, że ojciec przychodzi do domu pijany, a matka przygotowuje mu do spania owinięty w folię materac. Nieprzytomny wypróżniał się pod siebie.

Mama godziła pracę zawodową z opieką nad domem. Zakupy, gotowanie, sprzątanie, pranie – wszystko było na jej głowie. Była zmęczona i sfrustrowana. Kiedy traciła cierpliwość, podnosiła na mnie rękę. Dostawałam w twarz. Mocne uderzenie, skóra piekła, zostawał na niej czerwony ślad. Dostawałam przy koleżankach, w miejscach publicznych.

„Mama jest zdenerwowana, nie rozumiesz?” – krzyczała. I już wiedziałam, że zaraz dostanę.

Pamiętam, że tata bywał czuły. Potrafił mnie rozpieszczać, kupować prezenty. Ale kiedy zamknę oczy, widzę go śmiejącego, zataczającego się, bełkoczącego. Alkoholizm to fizjologia. Nie wierzę w inteligentne upijanie się.

Najgorsza była niepewność. Wracasz do domu i nie wiesz, co w nim zastaniesz. Ojciec dziś wróci? A jeśli wróci, to będzie leżeć posikany czy tylko lekko podchmielony usiadzie przed telewizorem? Setki razy pytałam matki, dlaczego nie chce się rozwieść. Nigdy nie odpowiadała. Dziś wiem, że po prostu go kochała.

Ojciec miał kobietę na boku. Wiedziała o tym całe miasteczko. Znałam ją, spotykałam na ulicy i myślałam sobie: „Zabierz go w cholerę”. Poczulałam ulgę, kiedy usłyszałam, że ojciec się wyprowadza. Życie stało się bardziej przewidywalne. Dom miał już inny zapach.

56 Urszula Nowakowska
**WIDAĆ TO LUBI,
SKORO NIE
ODCHODZI**

58 Małgorzata Nocuń
**DLACZEGO
MILCZAŁA
PANI TAK DŁUGO?**

60 Rozmowa
z Witoldem Naturskim
**W EUROPIE NIE
DYSKRYMINUJEMY**

62 Kuba Benedyczak
**KRZYWDY
POLSKIEGO FACETA**

64 Rozmowa z Ewą
Woydyłło-Osiatyńską
**PRZEMOC,
UPIORNY RELIKT
PRZESZŁOŚCI**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 37/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Małgorzata Nocuń, Marcin Żyła | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmieńska, Marta Filipiuk-Michniewicz | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | PROJEKT OKŁADKI I SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu KOREKTA: Katarzyna Domin, Maciej Szklarczyk

WSPÓŁWYDAWCA



PARTNER STRATEGICZNY



Komisja
Europejska

PARTNER



Centrum
Praw
Kobiet

Czasem zastanawiam się, co do ojca czuję. To nie tylko obrzydzenie, są jeszcze lęk, trochę miłości. Boję się, że zachoruje i będzie cierpiał, jest w podeszłym wieku. W moim domu sprawcą przemocy był ojciec, ale winna jest także matka, nie chciała mnie bronić. Nie zastanawiała się, jak bardzo cierpię. Żyję w związku partnerskim. Na pierwszej randce powiedziałam partnerowi, że nie założę rodziny. Zaakceptował to, ale musi czuć stratę, on dzieci uwielbia.

Anna. Ból fantomowy

Mam ataki paniki: serce bije mocno, oddech staje się płytki, oblewam się potem, drżą mi dłonie. Mówię do siebie: „Przestań. Przecież wszystko co złe już się stało, to się już nie powtórzy, to już za tobą”. Siedzę w milczeniu, staram się uspokoić. Pomagają leki przepisane przez psychiatrę.

Tęsknota i nienawiść – jak pogodzić te sprzeczne uczucia żywione do jednego człowieka? A ja tak właśnie czuję. Nienawidzę byłego męża i za nim tęsknię. A może nie tyle tęsknię za nim, co za marzeniami o szczęśliwym rodzinnym życiu. Winię się, że jestem rozwódką, a moje dziecko wychowuje się bez taty. Zanim się rozstaliśmy, nasłuchiwałam się, żeby jeszcze dać mu szansę, „zawalczyć o małżeństwo”, „postarać się”. Że „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza”. Kilka lat walczyłam. Kiedy kolejny raz podniosłam na mnie rękę, powiedziałam sobie „dość”.

Pierwsze lata małżeństwa były jak bajka. Mąż bawił się z synem. Bez okazji przynosił mi kwiaty. Zaczęło się niewinnie. Wypijał wieczorem kieliszek wina albo puszkę piwa. Zwracałam mu uwagę, mówił, że musi odreagować. Stresował się pracą. „Przecież Francuzi codziennie piją wino, a Niemcy codziennie sięgają po piwo. Nie przesadzaj”, uspakajał. Coraz częściej wyczuwałam od niego alkohol i oszukiwałam samą siebie. „Musiało ci się wydawać”, „Przecież był w pracy, na pewno nie pił”. Z czasem dawał mi coraz mniej pieniędzy na utrzymanie domu. Mówił, że zapłacił za gaz, a ja otwierałam list z upomnieniem: „Należność nie została uiszczona w terminie, prosimy o wpłatę kwoty...”. Zaczęły się kłótnie. Tkwiłiśmy w zakłamaniu. Udawałam przed sobą, rodziną i przyjaciółmi, że jesteśmy dobrym i zgodnym małżeństwem.

Z eleganckiej, dobrze wykształconej kobiety powoli stawałam się zapuszczoną i zaniedbaną „ofiara przemocy”. „Żoną

alkoholika”. Sprzedawałam zabawki i ubranka syna, żeby starczyło na życie. Mój syn oglądał pijanego ojca leżącego na sofie. Ojca zataczającego się. Zarzyganego. Słyszał, jak krzyczy i klnie. Kilkuletnie dziecko nauczyło się „wyczuwać nastroje taty” i ukrywać przed jego alkoholowym szałem w swoim pokoju.

Kilkakrotnie sama odwoziłam go na odwyk. Chodziłam z nim do terapeuty. Przemyślałam oko, kiedy krał mi ostatnie pieniądze. Doświadczyłam każdego rodzaju przemocy: fizycznej, psychicznej, ekonomicznej, słownej i seksualnej. Czułam się nikim. Kiedy na moim ciele pojawiły się siniaki, zrozumiałam, że to nigdy się nie skończy. On zapije się na śmierć na oczach moich i syna. Żeby chronić siebie i dziecko, zwróciłam się do policji z prośbą o założenie Niebieskiej Karty. Powiedziano mi, że takie rodziny jak nasza nazywa się „dysfunkcyjnymi”, albo „patologicznymi”. Prawniczka powiedziała mi: „Mam dla pani radę. Musi pani z całej mocy trwać w swoim postanowieniu. Być odporną na sugestie rodziny, która będzie przekonywać do walki o małżeństwo. Nie relatywizować swoich krzywd, nie liczyć, że mąż się jeszcze zmieni, albo że kolejna terapia w czymś pomoże. I niech panią ktoś w tym wspiera”.

Od kilku lat mieszkam z synem sama. Chodzę na terapię. Rany goją się powoli. Od ataków paniki nie uwolnię się już do końca życia. I czuję jeszcze coś: ból fantomowy. Mąż jest już w moim życiu nieobecny, ale pustka, którą pozostawił, boli jak odcięta kończyna.

Maria. Biedna żona

Poznaliśmy się na studiach. Mogliśmy rozmawiać godzinami. Fascynowały nas te same filmy i lektury. Decyzję o ślubie podjęliśmy po kilku miesiącach znajomości. Z dumą pokazywałam pierścienek zaręczynowy, a koleżanki pukały się w głowę. Nie żal ci młodości? Kariery?

Podczas stażu w dużej prywatnej firmie uznano mnie za wybitnie zdolną. Ale nie cieszyła mnie praca w korporacji, prestiż i pieniądze. Chciałam mieć własny dom, inny od domu rodzinnego. Nie wiem, czy moi rodzice się kochali. Nauczyli się ze sobą funkcjonować: nie było kłótni i awantur, choć tata popijał. Marzyłam o rodzinie z prawdziwego zdarzenia: trójka dzieci, wspólnie spędzany czas. Na początek wynajęte mieszkanie, za jakiś czas dom za miastem.

Zaszłam w ciążę. Z mężem zaczęliśmy kłócić się o drobnostki. Kto zrobi zakupy, pranie, posprząta. Po pewnym czasie o pieniądzu. Mąż zarabiał dużo, ale pensję przeznaczal na swoje potrzeby. Lubił dobre ubrania, imprezy. Kiedy urodził się syn, praktycznie nie łożył na jego utrzymanie. Mówił mi: „idź i zarób!”. Kończyłam studia, pracowałam dorywczo, opiekowałam się dzieckiem. Brakowało mi nawet na pieluszki. Czułam się jak biedna żona bogatego męża. Chodziłam w jednych butach i starych spodniach. Potem przyszła przemoc słowna: „Co ty w ogóle potrafisz?”, „Kim ty w ogóle jesteś?”. Rozmawiałam na ten temat z moimi przyjaciółkami. „Czemu się nie rozwiedziesz?” – pytały. Powiedziałam prawdę: „Kocham go”.

Synem nie opiekował się wcale. Dom traktował jak hotel: zjawiał się, kiedy chciał, jadł obiad, wrzucał brudne ubrania do prania. Kiedy coś się zepsuło, pytał: „Nie mogłabyś czegoś z tym zrobić?”. Mama nie chciała słuchać o moich problemach. „Przecież wiesz, jak to się załatwia. Daj mu” – powiedziała mi. Widocznie przez te wszystkie lata tak radziła sobie z ojcem. Zaczęłam się zmuszać do seksu. Myślałam, że nie musi mi być przyjemnie, byle życie było trochę lepsze. Wkrótce mąż przestał prosić o seks. Mówił, że mam obowiązek. W końcu powiedział: „Mam kogoś, odchodzę”. Spakował walizki, wyprowadził się. Pograżyłam się w jeszcze większej rozpacz. Musiało minąć sporo czasu, żeby nauczyć się żyć bez niego. Byłam ofiarą uzależnioną od sprawy.

Kobietę w równym stopniu, co mąż czy partner, krzywdzi otoczenie. Każda z bohaterek tego tekstu była nakłaniana przez najbliższą rodzinę do trwania w toksycznej relacji. W polskiej kulturze ważniejsze jest „nie rozbijanie rodziny”, „sakramentalne tak”, niż ocalenie godności, zdrowia, a niejednokrotnie życia kobiety. Pytam Kamilę Ferenc, co w pierwszej kolejności ma uczynić kobieta, w której rodzinie rozkręca się spirala przemocy.

Ferenc: – Powinna zadbać o bezpieczeństwo swoje i innych członków rodziny. Tymczasowo zmienić miejsce zamieszkania, złożyć zeznania na policji, poprosić o założenie Niebieskiej Karty. Poinformować o swojej sytuacji sąsiadów i przyjaciół. Wszystko, by nie usłyszeć w sądzie: „Dla czegoś milczała pani tak długo?”.

Imiona bohaterek tekstu zostały zmienione.

©© MAŁGORZATA NOCUŃ



JULIA ZABRODZKA / FORUM

„Moje siostry będą bronić” – happening przeciwko przemocy ze względu na płeć pod siedzibą Ordo Iuris. Warszawa, 13 lutego 2021 r.

W Europie nie dyskryminujemy

WITOLD NATURSKI, P.O. DYREKTORA PRZEDSTAWICIELSTWA KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE:

**Akceptacja różnorodności jest standardem cywilizacji zachodniej.
Te standardy ewoluują wraz z naszymi społeczeństwami.**

MARCIN ŻYŁA: Przemoc – i w rodzinie, i w życiu publicznym – rodzi się, gdy brakuje wolności i równouprawnienia. W Polsce dotyczy to wielu grup: dzieci, kobiet, osób LGBT. Dlaczego?

WITOLD NATURSKI: Każdy przypadek przemocy i dyskryminacji, niezależnie przeciwko komu skierowany, należy potępić. Jeśli chodzi o Polskę, to dane, którymi dysponuje Komisja Europejska, nie pokazują drastycznych różnic w porównaniu z innymi krajami Wspólnoty. Z badania dotyczącego przemocy wobec kobiet, przeprowadzonego kilka lat temu przez Agencję Praw Podstawowych Unii Europejskiej (FRA) wynika nawet, że Polki rzadziej są ofiarami agresji niż inne Europejki (poniżej 20 proc.).

W swoich raportach Agencja Praw Podstawowych UE podkreśla konieczność podejmowania przez państwa członkowskie działań służących zachęcaniu ofiar przestępstw do ich natychmiastowego zgłaszania. Chodzi szczególnie o molestowanie i napaści. Szybka reakcja i zgłoszenie jest niezbędne nie tylko ze względu na

natychmiastowe podjęcie działań przez odpowiednie służby, ale i ze względu na konieczność uzyskania przez ofiarę informacji na temat jej praw oraz pomocy prawnej, psychologicznej itd. Wprowadzając nowe przepisy lub nowelizując obowiązujące, ustawodawcy powinni brać pod uwagę szczególną kategorię, jaką jest przemoc domowa.

Najczęściej ofiarami przemocy padają kobiety. W Polsce są one wciąż często dyskryminowane na rynku pracy czy w życiu rodzinnym. Czy Polka ma szansę stać się pełnoprawną obywatelką?

Tragiczna specyfika przemocy polega na tym, że jest ona skierowana przeciwko komuś słabszemu. Nie można jednak mówić, że przez to kobiety stają się obywatelkami drugiej kategorii w społeczeństwie – to teza raczej publicystyczna.

Dane pokazują, że Polki są lepiej wykształcone niż mężczyźni, choć nie przekłada się to jeszcze na równe szanse na rynku pracy. Średnio w Europie pra-

cjuje 11 proc. mniej kobiet niż mężczyzn, większość zarabia mniej niż panowie zatrudnieni na tych samych stanowiskach. I znowu – Polska jest tu raczej pozytywnym przykładem, bo według Eurostatu różnice płacowe nie przekraczają tutaj 10 proc., podczas gdy średnia europejska to prawie 15 proc. Kolejny temat to obecność kobiet w zarządach i na stanowiskach kierowniczych – i tutaj Polska znowu ma się czym pochwalić, bo przy średniej unijnej 34 proc. u nas wskaźnik ten jest na poziomie 44 proc., wyprzedza nas tylko Łotwa (45 proc.).

Komisja Europejska przedstawiła w 2021 r. pakiet działań „Unia Równości”, który obejmuje Strategię na rzecz równouprawnienia płci na lata 2020-2025. Głównym jej celem jest m.in. zwalczanie przemocy na tle płciowym, zniwelowanie różnic w wynagrodzaniu kobiet i mężczyzn na tych samych stanowiskach, zapewnienie równego udziału w różnych sektorach gospodarki. Bo przemoc ma niestety często podłoże ekonomiczne.

Warto przypomnieć, że dyskryminacja, która wielokrotnie staje się punktem wyjścia do przemocy, jest zakazana zarówno na mocy prawa krajowego, jak i europejskiego. Przedstawicielstwo KE w Polsce stara się być centrum wymiany poglądów i wiedzy w tym zakresie. W 2018 r. organizowaliśmy konferencję pt. „Jak (nie) działa polskie prawo antydyskryminacyjne?”, która nawiązywała do publikacji „Unijny zakaz dyskryminacji a prawo polskie”.

Współpracujemy również z organizacjami pozarządowymi w celu popularyzacji wiedzy o prawach podstawowych. Do tej pory odbyły się dwie edycje konsultacji online, w których wziąć mogli udział wszyscy obywatele; pierwsze w czerwcu 2020 r., kolejne dokładnie rok później w ramach „Tygodnia Równości” – serii wydarzeń poświęconych różnorodności i jej akceptacji.

Który z krajów uważa Pan za „wolny od przemocy” w największym stopniu?

Nie ma w Unii kraju wolnego od przemocy – pokazuje to tegoroczny raport FRA. Gdyby ktoś mnie zapytał w telefonie, które z państw członkowskich jest najbliższe ideału, to szukałbym gdzieś w Skandynawii. Ale to samo badanie FRA pokazuje, że właśnie tam liczba osób określających się jako ofiary przemocy jest wyższa niż np. w Polsce.

W Polsce stworzono instytucje, których celem jest ochrona ofiar przemocy. Problemem jest brak ich sprawczości. Jakie wzorce mogłyby pomóc, żeby system naprawdę bronił pokrzywdzonych?

Do przemocy najczęściej uciekają się mężczyźni, ich ofiarami zaś najczęściej są kobiety. Dlatego unijna dyrektywa ustanawiająca tzw. normy minimalne w zakresie praw, wsparcia i ochrony ofiar przestępstw przewiduje, że kobiety będące ofiarami przemocy muszą mieć warunki do przerwania jej spirali poprzez dostęp do wymiaru sprawiedliwości, specjalistycznego wsparcia oraz wykwalifikowanego personelu.

W art. 18 dyrektywy przewidziano wprowadzenie specjalnych środków, które mają chronić ofiary przed ponownym znęcaniem się czy odwetem. W Polsce od niespełna roku obowiązuje tzw. ustawa antyprzemocowa, która zmusza sprawcę przemocy fizycznej zagraż-

jącej życiu lub zdrowiu domowników do bezzwłocznego opuszczenia mieszkania.

Przemoc to nie tylko bicie, gwałt. To także nieważniące słowa, wrogie gesty, kpiny. Czy Pana zdaniem wiemy o tym w wystarczającym stopniu?

W tym temacie jest nadal wiele do zrobienia. Jednak tutaj odwołam się do niecodziennego już nieco pojęcia poprawności politycznej, której pozytywną stroną jest niewątpliwie alarmowanie o słowach, które mogą stygmatyzować ludzi. Przypomnijmy sobie, jak kiedyś mówiono o osobach LGBT, niepełnosprawnych, cudzoziemcach, szczególnie tych o odmiennym kolorze skóry. Edukacja i powielanie pozytywnych standardów w mediach przynoszą efekty. A to przenosi się na przeciwdziałanie przemocy.

Przedstawicielstwo Komisji Europejskiej organizowało między innymi warsztaty dla młodzieży szkół średnich pt. „Różni+Równi=Europejczy”, których celem było wyjaśnianie korzyści płynących z różnorodności społeczeństw UE i jej charakteru jako zbioru tych zróżnicowanych społeczności obejmujących przedstawicieli różnych grup etnicznych, narodowych czy religijnych. Byliśmy w różnych miastach – dużych jak Łódź i mniejszych jak Pułtusk lub Pszczyna. We współpracy z Fundacją Ocalenie podejmowaliśmy podobne działania dotyczące migrantów i uchodźców. Z Helsińską Fundacją Praw Człowieka szkoliliśmy prawników w zakresie reprezentowania przedstawicieli grup narażonych na dyskryminację. Kontynuujemy te działania i obecnie przy współpracy z łódzką organizacją pozarządową Fabryka Równości.

Jak wyeliminować przemoc z życia publicznego?

To przede wszystkim pytanie, a zarazem apel do polityków. To ludzie, których wybieramy, i z założenia powinni dawać dobry przykład. Bez ich zaangażowania w rugowanie z przestrzeni publicznej przemocy słownej wiele się nie zmieni. Prywatnie mogę powiedzieć, że warto doceniać tych polityków, którzy mimo bardzo określonych poglądów zachowują klasę, nie dyskredytują innych punktów widzenia, ale merytorycznie argumentują swoje racje.

Jedno jest jednak niezmiennie. Prawo zakazuje dyskryminacji. Akceptacja róż-

norodności jest standardem cywilizacji zachodniej – pamiętajmy, że te standardy ewoluują wraz z naszymi społeczeństwami. Postawy się zmieniają i to, co było uznawane za normę i standard sto lat temu, normą i standardem już nie jest. Dawniej dyskryminowanie kobiet w życiu publicznym było normą społeczną, obecnie jest nietolerowane! Dyskryminowanie kogoś ze względu na przyrodzone i neutralne cechy też jest uznawane za absurdalne.

Na łamach katolickiego tygodnika warto wspomnieć, że drugie przykazanie miłości wprost mówi o tym, jaki stosunek powinien mieć każdy chrześcijanin do drugiego człowieka, znajduje swoje odzwierciedlenie w dokumentach i prawodawstwie Unii Europejskiej. Wynika to oczywiście nie tylko z chrześcijańskich korzeni Europy, ale przede wszystkim z uniwersalności takiego pojęcia.

Rolą mediów jest pokazywanie takich postaw. Dlatego Komisja Europejska coraz większą wagę przykładła do promowania wysokich standardów dziennikarstwa, wolnej prasy. Wielokrotnie mówiła o tym wiceprzewodnicząca Věra Jourová. W najbliższych miesiącach możemy spodziewać się konkretnych inicjatyw w tym zakresie.

Może osoby publiczne powinny uczyć się kultury dyskusji?

Tutaj najwięcej uwagi trzeba poświęcić chyba młodemu pokoleniu, które wchodzi w życie publiczne. Przedstawicielstwo Komisji Europejskiej w Polsce od lat współorganizuje tzw. debaty oksfordzkie, które uczą młodzież argumentowania, prezentacji poglądów, otwierania się na różne punkty widzenia. Wspieramy też młodych ludzi, szczególnie spoza dużych miast, którzy mają ambicje, chcą zmienić swoje otoczenie, są otwarci na innych. Nasza Europejska Akademia Młodych Liderów Wsi miała już kilka edycji, współpracujemy też z sołtysami.

W tym roku odbędzie się trzecia edycja Szkoły Europejskiej, gdzie młodzi ludzie mogą porozmawiać z osobami zawodowo związanymi z instytucjami UE, dyplomatami, ekspertami. To także nauka debaty, w której jest miejsce na różne poglądy i opinie. Nie ma za to to przestrzeni na agresję.



Mężczyzn doświadczających przemocy jest więcej niż 14 proc. widniejące w statystykach

Krzywdy polskiego faceta

KUBA BENEDYCAK

Facet-ofiara, facet, który nie potrafi się bronić, facet słabszy i uderzony przez kobietę jest w oczach polskiego społeczeństwa niemęski, żaloszny. A nade wszystko – śmieszny.

W POLICYJNYCH STATYSTYKACH z 2020 r. „tylko” 14 proc. ofiar przemocy to mężczyźni. W ciągu ostatnich dwóch lat mężczyźni stanowili zaledwie kilkanaście procent wszystkich dzwoniących na Niebieską Linie, a jedynie 5 proc. identyfikowało siebie jako osoby doznające przemocy (najczęściej w rodzinie).

Skalę zjawiska trudno oszacować. Jak mówi psychoterapeuta Pogotowia Niebieska Linia Piotr Wiśniewski, nie ma wątpliwości, że liczba mężczyzn doświadczających przemocy jest większa, ale przestrzega przed popadaniem w drugą skrajność. Gdyby w Polsce ujawnili się wszyscy mężczyźni poddawani przemocy, nie oznacza to, że z pięciu procent zrobiłoby się kilkadziesiąt.

Dlaczego? Bo przemoc nadal stosują głównie mężczyźni, co dla prezesa Niebieskiej Linii, Luisa Alarcona Ariasa, stanowi przedłużenie patriarchalnego układu naszego społeczeństwa.

Prawo silniejszego

– Jednym z warunków zaistnienia przemocy jest asymetria sił – tłumaczy Arias. – Powoduje ona, że samoobrona jednej ze stron staje się niemożliwa. A w patriarchacie to mężczyźni posiadają przewagę fizyczną, ekonomiczną i zawodową, więc w zdecydowanej większości to oni mogą stosować prawo silniejszego. Kobiетom ten „przywilej” przysługuje z rzadka.

Zatem jedyne, co wiemy na pewno, to fakt, że męskich ofiar przemocy jest więcej niż 14 proc. oraz że facetów gotowych jak Kuba i Łukasz stanąć przed lustrem

i przyznać „jestem ofiarą przemocy” nadal nie ma zbyt wielu.

Łukasz to tyczkowaty trzydziestoparolatek z małego miasteczka pod Łodzią. Kiedy miał rok, matka wyrzuciła go przez okno pierwszego piętra. Za głośno płakał. Spędził miesiąc w szpitalu, opiekowała się nim „ciocia” pielęgniarka, która bezskutecznie próbowała odebrać matce prawa rodzicielskie. Wkrótce zrobili to dziadkowie. Łukasz trafił do domu dziecka.

Niestety, gdy skończył dziewięć lat, wrócił do matki wciąż gnębiącej jego, jego siostry i tatę, a po śmierci taty – również ojczyma. Mama nie wyrzuci już Łukasza przez okno, za to każe mu klęczeć na grochu, „za karę”, nie da jedzenia, czasem zgasi na nim papierosa. – Mam taki jeden ślad po papierosie, na który staram się nigdy nie patrzeć, bo wiem, że od razu bym się rozryczał – mówi Łukasz.

Nieco łagodniejsza jest historia starszego, ale wysportowanego i atletycznego zbudowanego Kuby. Tata alkoholik po prostu nazywał go „chujem do lania” i bił w ramach pijackiej rozrywki. Rzucił nim o ścianę lub urządzał pobudkę skózanym pasem.

Czarny pas judo

Mężczyźni mają o wiele większe opory przed przyznaniem wobec siebie, otoczenia czy nawet konsultanta Niebieskiej Linii, że padli ofiarą przemocy. Tym bardziej o wiele rzadziej szukają wsparcia. Przecież facet-ofiara, facet, który nie potrafi się bronić, facet słabszy i uderzony przez kobietę jest w oczach polskiego społeczeństwa niemęski, żaloszny, a nade wszystko śmieszny. Żona wyzywająca czy szturchająca męża na ulicy wzbudza salwy śmiechu.

Ze strachu przed ośmieszeniem i stygmatem niemęskości, mężczyźni nie chcą zgłaszać się na policję. I niestety, niestety, intuicja ich nie zawodzi, ponieważ polskie sądy, policja i prokuratura nie rozumieją, że człowiek nie jest uwarunkowany wyłącznie siłą fizyczną.

– W o wiele większym stopniu determinują go procesy psychologiczne – mówi Arias. – Wśród mężczyzn, niezależnie od statusu społecznego, znajdują się tacy, którzy cierpią na deficyty emocjonalne i nie potrafią radzić sobie ze wstydem, lękiem, poczuciem winy i bezradnością, a tym samym uruchomić mechanizmy samoobrony. Miałem kiedyś takiego klienta. Żona biła go ładowarką

od telefonu, rzucała w niego krzesłami, wyzywała od pedałów i krzyczała, że powinien się zabić. Chociaż posiadał czarny pas judo, jego stany emocjonalne nie pozwalały mu na obronę.

Łukasz jako nastolatek nabiera sił, ale nie potrafi oddać matce. Pokornie znosi bicie i wyzywanie. Mówi, że nie potrafi uderzyć kobiety, a tym bardziej własnej matki. Tylko raz ją odepchnie, stanie wtedy w obronie siostry. W wieku osiemnastu lat połknie 250 tabletek, po czym pójdzie do pobliskiego baru, gdzie pracuje jego kolejna przyszywana ciocia. Zdąży jeszcze wypić jednego, po czym zemdleje. Przez miesiąc pozostanie w śpiączce. Po opuszczeniu OIOM-u trafi do szpitala psychiatrycznego, a po nim, nie mając się gdzie podziąć, wstąpi do zakonu.

Kuba ma nieco „łatwiej”. Dorastając we Wrocławiu, szybko zaczyna pływać i uprawiać sztuki walki. Głównie kick-boxing. W wieku piętnastu lat odda pianemu ojcu. Szybkie dwa ciosy, ojciec wali o ścianę i... wpada w szloch. Od tej pory nie tknie Kuby, za to zacznie chlać jeszcze bardziej i coraz częściej zalić się synowi, że odbierze sobie życie, bo nie potrafi przestać pić. Któregoś dnia zwyczajowo schodzi do piwnicy, żeby łyknąć małe co nieco w samotności. Nazajutrz sąsiad znajdzie go powieszzonego. Kuba zacznie uprawiać sport jeszcze intensywniej, czasem do utraty przytomności.

Demokratyczna przemoc

Piotr Wiśniewski mówi, że największą grupę ryzyka wśród populacji męskiej zagrożonej przemocą stanowią chłopcy, mężczyźni z niepełnosprawnościami i zaburzeniami psychicznymi, chorujący na depresję, a także ci, którzy w starszym wieku związku jako pierwsi utracili sprawność fizyczną.

Grupę uzupełniają „zwykli mężczyźni”, jak Łukasz i posiadacz czarnego pasa judo, emocjonalnie niezdolni do obrony przed przemocową kobietą. Psychiatra Edward Krzemiński dodaje do nich „typ Piotrusia Pana” – niedojrzałego partnera, który całe życie studiuje lub realizuje swoje pasje, zostawiając na barkach partnerki utrzymanie domu i dzieci. Wówczas kobiety sięgają po przemoc ze zwykłej beznadziei.

– Największa grupa mężczyzn, jaka się do mnie zgłosiła, aby opowiedzieć historię doznanej krzywdy, mówiła o przemocy instytucjonalnej i alienacji rodzi-

cielskiej. Wyznawali, że kobiety zmanipulowały otoczenie tak, aby wyrzucić ich z domu i oskarżyć o znęcanie się nad rodziną. Nierzadko sprowadzały do domu nowego partnera. Opowiadali też, jak latami bezskutecznie walczyły o prawo do widzenia dzieci. Ci najbardziej strauumatyzowani kończyli listy formułą: „nawet nasi nie odbierali rodzicom dzieci”.

– Kontrola, odciąganie od znajomych, wyśmiewanie, umniejszanie wyglądu, sprawności intelektualnej oraz seksualnej znajduje się w repertuarze obu stron – mówi Piotr Wiśniewski. Na moje protesty, że to przecież domeną matek pozostaje zaborcza miłość wobec syna, tworzenie z nim związku symbiotycznego i nadopiekuńczość, odpowiada, że to tylko jedna ze strategii przemocy, niekoniecznie zarezerwowana wyłącznie dla matek.

– To dziwny stereotyp, że kobiety, aby krzywdzić, uciekają się do podstępów – ironizuje Arias. – Nawet pokojowo nastawiony chomik może w określonych okolicznościach odgryźć palec. W państwach skandynawskich procent sprawców przemocy rozkłada się niemal po równo, bo tam, gdzie kobiety mają równe prawa, dobrze zarabiają, zdobywają wykształcenie i uzyskują wyższy status społeczny, patologie rozkładają się symetrycznie. Zdaniem Ariasa, jeśli tylko kobieta może i ma to wdrukowane w dzieciństwie, sięga po przemoc równie chętnie co mężczyźni. Przemoc to zjawisko demokratyczne. Niezależnie od dochodu, wykształcenia i płci.

Łukasz wytrzymuje w zakonie niecałe trzy lata. Niewątpliwą korzyścią jest to, że nauczył się tam gotować. Od tej pory jeździ po Polsce, łapie prace jako kucharz. Pomagają mu też różne zasiłki od państwa. Dość szybko zostaje szefem kuchni. Wchodzi w związek z kobietą mającą dziecko. Opiekuje się nim jak własnym. Wkrótce wpada w krąg przemocy, podobny do tego w dzieciństwie. Partnerka wyzywa go, rzuca w niego czym popadnie. Przeganą go z domu, nasyła na niego telewizję, oskarżając o znęcanie się nad nią i dzieckiem. Łukasz trafia na osiem miesięcy do więzienia. Obecnie Rzecznik Praw Obywatelskich rozpatruje kasację wyroku.

Kuba zakłada firmę transportową. Ożenił się i rozwiódł. Ma córkę. Nie sięga po używki. Kupuje motor i nadal uprawia sport w sposób ekstremalny. Nachodzą go stany depresyjne. Zaczyna spotykać się

z podobnymi sobie w grupie Dorosłych Dzieci Alkoholików (DDA).

Domek z kart

Kobiety odreagowują przemoc do wewnątrz. Najczęściej pojawia się depresja. Mężczyzna eksternalizuje doznana krzywdę. Po pierwsze, przy pomocy alkoholu, narkotyków i innych substancji psychoaktywnych. Edward Krzemiński mówi, że do jego gabinetu trafiają tabuny „poprzedmiotowych” mężczyzn.

– Piją dzień w dzień. Uciekają się do zachowań ryzykownych. Wsiadają na motor po zmroku, jadąc 150 kilometrów na godzinę, pod prąd, dzięki czemu na moment przestają czuć krzywdę. Kiedy mija niebezpieczeństwo, przychodzi chwilowe uczucie ulgi. Zachowania ryzykowne mogą też przybrać formy twórcze, na przykład uprawianie sportów walki – tłumaczy Piotr Wiśniewski.

Trzeci i najważniejszy sposób odreagowania przemocy to... przemoc. Mężczyzna, a zwłaszcza chłopiec, który jej doznał, prawie na pewno stanie się jej nośnikiem wobec rówieśników, partnerów, przechodniów, innych kierowców, sąsiadów.

– Wystarczy, że dziecko obserwuje przemoc rodziców wobec siebie – mówi Wiśniewski. Automatycznie zostaje wciągnięte w przemocowy kołowrotek. Tragedią jest, gdy przemoc stosuje równocześnie dwoje opiekunów. W ten sposób ucą dziecko, że między ludźmi nie istnieje inny model relacji.

Luis Arias opowiada o osobach przechodzących na terapię do Niebieskiej Linii. Szczerze wyznają, że nie mają pojęcia, czym zastąpić manipulację, kontrolę i wyszydzanie. To tak, jakby mieli budować dom bez materiałów budowlanych. Nie da się.

Łukasz jest dzisiaj szefem kuchni w województwie zachodniopomorskim, buduje nowy związek. Jest miły, chce wszystkim pomagać, ale nieustannie walczy (głównie z instytucjami) o odzyskanie dobrego imienia. Przysłała mi tonę nagrań dźwiękowych, podań i odpowiedzi z MOPS-u, urzędu gminy, Ministerstwa Sprawiedliwości i RPO. Na Facebooku prowadzi blog Zwalczamy Przemoc, gdzie edukuje i pomaga innym mężczyznom.

Kuba nadal prowadzi firmę, ale o teźniejszych chęciach mówić, żeby nie zapeszyć. ©



Kampania przeciwko odrzuceniu przez Radę Miasta Zakopane uchwały antyprzemocowej. Zakopane, 22 grudnia 2020 r.

Przemoc, upiorny relikwyt przeszłości

EWA WOYDYŁO-OSIATYŃSKA, PISARKA I TERAPEUTKA UZALEŻNIEŃ:

Wielu ludzi żyje w paradygmacie przemocy. Ale przemoc nie jest nam do niczego potrzebna. Podobnie jak cukier – zajadamy się nim, a moglibyśmy go wyeliminować z diety.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Zaproponowałam Pani rozmowę o życiu bez przemocy, chwilę później zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest to rozmowa o utopii.

EWA WOYDYŁO-OSIATYŃSKA: Zawsze istniały „wyspy bez przemocy”, czyli domy, w których grała muzyka i z których dochodził śmiech. Owszem, były też domy wypełnione krzykiem, trzaskaniem drzwiami i biciem. Ofiary płakały.

I dziś są środowiska, w których przemoc nie występuje. Są rodziny, w których nikt nikogo nie bije i nie obraża. A jeśli już ktoś komuś wyrządzi przykrość, to przychodzi i przeprosza.

W planie globalnym nie uciekniemy od przemocy.

W planie globalnym jest to zapewne trudne, choć niektóre kultury współistnieją bezkonfliktowo, pomimo dzielących je różnic. Życie bez przemocy możliwe jest więc nie tylko w kontekście indywidualnym. Realizuje się w kontekście lokalnym.

Istnieją szkoły i osiedla, na których przemoc nie występuje. Są nawet takie państwa. Spójrzmy na współczesną Japonię. W kraju tym wyznaje się szintoizm – religię opierającą się m.in. na kulcie przodków. Dziękuję się im, wyraża wdzięczność za to, że samemu jest się na świecie, prosi się o wstawiennictwo. Oprócz szintoizmu praktykuje się także buddyzm zen. „Zen” to ktoś, kto jest spokojny, potrafi opanować wstrząsy emocjonalne. O ludziach posiadających taką umiejętność mówi się „zen master”. Przeżywamy różnego rodzaju porażki, niepowodzenia. Ale wcale nie musimy w takiej chwili kogoś uderzyć, rzucić wulgarnym słowem, kopnąć w kosa na śmieci. Nie musimy nawet zacisnąć pięści.

Tylko jak to zrobić?

Na poziomie lokalnym łatwo zachęcać się do życia bez przemocy. Znam szkołę, w której nie ma przemocy. Nauczyciele nie krzyczą na dzieci, dzieci się nie biją. Kiedy uczeń sobie z czymś nie radzi, mówi mu się: „Oj, to trzeba będzie z tobą trochę popracować. Poproś mamę, żeby

jutro odebrała cię godzinę później. Nadrobimy zaległości”. Albo nauczycielka mówi: „Wiesz Marysiu, świetnie nauczyłaś się tabliczki mnożenia. Mieszkasz blisko Krzysia, spotkajcie się proszę kilka razy w przyszłym tygodniu, pomóż Krzysiovi opanować tę umiejętność”.

Tak postępuje się w dobrych szkołach. I to wcale nie jest nowa praktyka. Ja także do takiej szkoły chodziłam.

Przemoc najlepiej się sprzedaje.

Słowo „przemoc” zamieniłabym na słowo „sensacja”. Część naszego mózgu reaguje podobnie jak mózg zwierzęcy: wyłapuje zagrożenie, ewentualność wystąpienia niebezpieczeństwa. Na owo niebezpieczeństwo zostaje przekierowana uwaga. Można powiedzieć: „To nas ciekawi”. Czyasty atawizm.

Gazeta chcąc się sprzedać nie będzie umieszczać tekstów o spokojnym życiu w małej miejscowości. Tego nikt nie przeczyta. Przeczytamy informacje o tym, że w jakiejś miejscowości ktoś popełnił przestępstwo.

Cywilizacja polega na nauce pomnażania aspektu człowieczeństwa przez duże „C”. I to się dzieje. Weźmy za przykład słowo „empatia”. Przed wojną w powszechnym użyciu nie występowało. Teraz otrzymuję zaproszenia na wykłady dotyczące empatii – to znaczy, że pozytywne przemiany następują. Słowo „empatia” nabiera znamion obywatelstwa.

Istnieje szkoła, w której myśli się o dobru dzieci i nauczyciele przygotowują dla uczniów lekcje empatii. Na przykład jedno z dzieci jest proszone o podzielenie się z grupą smutną informacją. Dziecko mówi: „Mój kotek jest chory”. Pada prośba do innych dzieci: „Proszę, powiedzcie, co czuje Haneczka, której kotek jest chory”. Dzieci będą mówić: „Haneczka jest smutna”, „Haneczka się martwi”, „Haneczka się boi”. To jest empatia, współodczuwa się z drugą osobą. W tym kierunku zmierzamy, ale niestety są też siły wsteczne.

Czyli potrzebne nam są lekcje empatii?

Takie lekcje odbywają się np. w fińskich szkołach. Empatia uczy rozumienia uczuć. Na przykład złość można wyrazić w sposób agresywny, ale można wyrazić ją także w sposób asertywny.

Rzeczywiście. Wydaje się, że to łatwe.

Tak. Ale bardzo potrzebujemy funduszy na promocję „dobrych praktyk”. Misją telewizji publicznej powinno być mówienie o empatii. Powinniśmy o niej słyszeć także z kościelnej amfony. Niestety głównym nurtem debaty w Polsce zawładnęły siły, które stawiają sobie zupełnie odmienne cele.

Czasem myślimy, że konflikty i przemoc są nieodzowne. Wielu ludzi żyje w paradygmacie przemocy, przemoc wydaje się im niezbędna, choć *de facto* nie jest do niczego potrzebna. To jak z cukrem, zjadamy się nim, a moglibyśmy go wyeliminować z diety.

W obowiązującej interpretacji polskiej historii także przemycia się przemoc.

Niedawno odwiedziłam Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Chyba nie ma człowieka, który zwiedziwszy to muzeum nie doznałby wstrząsu. Wojna była doświadczeniem najgłębszej traumy, ekspozycja utrwała tę świadomość. Ale proszę spojrzeć: konflikt ten rozpętało kilku mężczyzn, kobiety nie brały w tym

udziału. Zwiedzający, wychowany w konserwatywny sposób, ale jednocześnie potrafiący krytycznie myśleć, musi stamtąd wyjść jako feministka. Dojść do przekonania, że świat rządzony jedynie przez mężczyzn jest światem brutalności, przemocy, zagłady. Ta ekspozycja nie pokazuje bohaterstwa, lecz potworność wojny. Żołnierze, snajperzy, czołgi, samoloty. Na polu walki widać mężczyzn. Gdzie są kobiety? Uciekają. Trzymają tobołczek z dzieckiem, tobołczek z jedzeniem.

Czy ma Pani poczucie, że ogromna nadreprezentacja mężczyzn w sferze publicznej sprawia, iż przemocy jest więcej? Niewybrednych żartów, unieważniających słów...

Podzielam pani obserwację. W innych krajach mężczyźni również należą do sfery władzy, ale w życiu publicznym jest coraz więcej kobiet. Ustępowanie miejsca jest trudnym procesem.

Wiktor Osiatyński, mój mąż, mówił, że w dziejach ludzkości nie było przypadku, by władza się posunęła. Można ją jedynie zmienić, ale by to się stało, muszą nastąpić procesy społeczne, które sprawiają, że osoby domagające się reprezentacji w różnych gremiach będą silne i będą posiadać wsparcie.

Tak często używane słowo „tradycja” jest kuszące. W Polsce hołduje się koncepcji świata, w której ogranicza się rolę kobiety w życiu publicznym. Słowo „tradycja” jest kuszące: dotyczy sfery emocjonalnej, uczuciowej. Musimy zrozumieć, że to od nas zależy, jaką tradycję chcemy pielęgnować. Jest tradycja pana i władcy. W niej kobieta zastanawia się, ile może mieć prywatności. „Na co mąż jej pozwoli”. Ale jest też tradycja silnej kobiety. To jest kwestia świadomości, nie wyboru.

Część naszego społeczeństwa jest zdania, że przemoc to element tradycji. Mnie bito, więc i ja biję żonę, męża, dziecko.

Istnieje pojęcie „pozytywnego wzmocnienia”, pochodzące z teorii uczenia się. Otóż lepiej się uczymy, kiedy otrzymujemy nagrody. Nagroda jest bodźcem do utrwalenia pozytywnego nawyku. Jeśli powiemy dziecku: „Pięknie posprzątałeś swoje biurko, spisałeś się na medal. Może dziś przygotujesz nam kolację?”, gwarantuję, że dziecko po usłyszeniu tych słów zabierze się za przygotowanie kanapek. Ta metoda działa o wiele lepiej niż komu-

nikat: „Jak tego nie zrobisz, to dostaniesz w pysk”. Albo: „Jak tego nie zrobisz, to mi się w domu nie pokazuj”.

Musimy zrozumieć, że przemoc jest upiornym reliktem przeszłości. Choć i tak dokonał się olbrzymi postęp. Polska od 76 lat nie toczyła żadnej wojny. Nie było takiego czasu w dziejach.

Często nie umiemy reagować na przemoc.

W cywilizowanych krajach stworzyliśmy system ochrony prawnej, powołaliśmy odpowiednie instytucje: policję, pomoc społeczną, sąd, a nawet telefon zaufania. Teraz należy sobie zadać pytanie o poziom tych służb i ich sprawczości.

W zachodnim świecie, jeśli w rodzinie występuje przemoc, to policja izoluje sprawcę od ofiar. W Polsce funkcjonuje zalecenie, by nie rozbijać rodzin. Dlatego służby nie funkcjonują według wzorca zachodniego. Rodziny żyjące w Wielkiej Brytanii oburzają się, kiedy z powodu występującej w domu przemocy powołane do tego służby odbierają im dziecko. Ale jeśli dziecko jest świadkiem przemocy – rodzice nie muszą się bić, wystarczy, że się wyzywają – to znaczy, że należy je umieścić w bezpiecznym miejscu. W takim środowisku jedynie nauczy się przemocy. Do tego dochodzi rola „tradycji”, problem, który już poruszałyśmy. Sprawa ona, że dzieci i kobiety znajdują się na niższym poziomie ochrony społecznej.

W procesie kształcenia społeczeństwa ważny jest także pozytywny przykład. Moja córka jest lingwistką. Wraz z koleżanką przygotowała kalendarz dla dzieci. W każdym okienku symbolizującym miesiąc znajduje się słowo, które najczęściej źle wymawiamy. Na przykład: „włączać”. Na dole zostały wytłumaczone zasady gramatyczne. Pani nauczycielka chciała im pogratulować. Powiedziała: „Jak dobrze, że dzieci uczą się nie mówić...” i tu miała zamiar podać nieprawidłową formę. Moja córka położyła palec na ustach. Powiedziała: „Ciii. Tylko pozytywne przykłady”.

© © Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

DR EWA WOYDYŁO-OSIATYŃSKA jest pisarką i terapeutką uzależnień. Opublikowała m.in.: „Żal po stracie. Lekcje akceptacji”, „Wybieram wolność, czyli rzecz o wyzwaniu się z uzależnień”, „Zaproszenie do życia”, „Rak duszy”.

Z KABULU DO KRAKOWA

ALISHER SHAHIR, MASOOMA SULTANI,
AFGAŃSCY DZIENNIKARZE EWAKUOWANI DO POLSKI:

Dwie noce spędziliśmy przy kabulskim lotnisku wśród wystrzałów. Na rękach mieliśmy pięciomiesięcznego syna. Po tym, co przeżyliśmy, musieliśmy wyjechać za wszelką cenę.

PAWEŁ PIENIAŻEK: Rozmawiamy w Krakowie, do którego przyjechaliście parę dni temu, po tym, jak po odbyciu kwarantanny opuściliście ośrodek dla uchodźców. W ciągu ostatnich kilkunastu dni wiele się wydarzyło. Wróćmy do tamtej soboty, 14 sierpnia. Talibowie błyskawicznie zajmują kolejne prowincje, są bardzo blisko Kabulu. Amerykanie i ich zagraniczni sojusznicy za kilka dni mają wycofać się z Afganistanu...

ALISHER SHAHIR: Wieczorem oglądaliśmy wiadomości w telewizji i przeglądaliśmy media społecznościowe. Śledziliśmy zdobycze talibów w sąsiednich prowincjach.

Myśleliście, że zdobędą też Kabul?

AS: Tak, ale nie sądziliśmy, że upadnie w jeden dzień, a prezydent Aszraf Ghani ucieknie... Zanim położyliśmy się spać, powiedziałem żartobliwie do żony: „Jak się obudzimy, w mieście będzie pełno talibów”.

Coś się zmieniło przez noc?

MASOOMA SULTANI: Wszystko wyglądało jak wcześniej. Talibów nie było. Dlatego Ali poszedł do swojej redakcji, a ja na spotkanie z kolegą do kawiarni. Za-

mówiliśmy po kawie i ciastku. Sprawdzaliśmy procedury i możliwości aplikowania o kanadyjską wizę. Spełnialiśmy warunki, ale było już za późno. Talibowie mogli wkroczyć do miasta w każdej chwili, więc nie było już czasu, żeby aplikować. Nagle zapanowało poruszenie w kawiarni i na ulicy. Spojrzałam na mój telefon i wyświetliło mi się mnóstwo nieodebranych połączeń, głównie od rodziny. Internet działał bardzo słabo, za sięg zanikał.

AS: Sieci telekomunikacyjne ledwie dawały radę. Wszyscy do siebie dzwonili, próbowali zrozumieć, co się dzieje.

MS: Jak już w końcu udało mi się połączyć, to po kolei Ali, moje siostry i mama wypytywali, gdzie jestem. Potem udało mi się włączyć Facebooka. Wszyscy pisali o jednym: talibowie nadchodzą. Sytuacja zmieniała się gwałtownie. Ledwie przeczytałam, że znajdują się na skraju miasta, a już wyświetliła mi się informacja, że są w mieście. A po chwili zbliżali się do centrum.

Co się działo w kawiarni?

MS: Ja i mój kolega byliśmy zupełnie zaskoczeni. Miałam swobodnie założony hidżab na głowie, że odsłaniał mi włosy. Po przeczytaniu tych informacji od razu go poprawiłam, żeby nic spod niego nie



wystawało. Powiedziałam koledze, że musimy natychmiast stąd wyjść. Talibom nie spodobałoby się, że zamężna kobieta przebywa w kawiarni z obcym mężczyzną. Mogliby nas za to wychłostać. Wrzuciłam w pośpiechu telefony i komputer do torby. Szybko zapłaciliśmy i wyszliśmy.

Samochody w mieście stały już wtedy w korkach.

MS: Chcieliśmy złapać taksówkę, ale nie było żadnej pustej. Nasz dom znajduje się daleko od tej kawiarni. Kierowcy, którzy mieli wolne miejsce w samochodach, nie chcieli jechać w tamtym kierunku, bo również stamtąd nadciągali talibowie.



Masooma i Alisher ze swoim synkiem. Kraków, 2 września 2021 r.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale nareszcie ktoś zgodził się mnie zawieźć. Gdy dojechałam do domu, zadzwoniłam do Alego, żeby się dowiedzieć, gdzie się znajduje.

AS: Powiedziałem, że próbuję dostać się do domu.

MS: Przyjechałeś jakieś pół godziny po mnie. W tym czasie talibowie byli już koło kawiarni, w której jeszcze niedawno siedziałam.

Ali, a co Ty robiłeś przez ten czas?

AS: Rano życie toczyło się jak dotychczas. Jedynie nie mogłem wypłacić pieniędzy z banku. Poszedłem tam przed pracą, ale stało w kolejce z trzysta osób. Więc zre-

zygnowałem. Zresztą i tak wkrótce ogłoszono, że banki się zamykają.

W biurze coś się zmieniło?

AS: Też bez zmian. Wszyscy pracownicy, niezależnie od płci, stawili się tego dnia. O dziewiątej pojawiła się informacja, że talibowie stanęli u bram Kabulu. Wówczas telefony moich kolegów i koleżanek się rozdzwoniły. Ich bliscy błagali, żeby jak najszybciej wrócili do domów. Zostaliśmy jednak, żeby śledzić wiadomości. Bałem się o Masoomę, więc dzwoniłem do niej, ale nie odbierała. Z resztą rodziny miałem kontakt i wiedziałem, że są bezpieczni.

Godzinę później dostaliśmy potwierdzenie, że talibowie są w Kabulu. Byliśmy jak porażeni, nie rozumieliśmy, co się dzieje. Jedynym komunikatem z pałacu prezydenckiego był tweet o tym, że sytuacja jest pod kontrolą. Nikt już w to nie wierzył. Ulice stanęły, pozamykano biura, markety, sklepy, bazy. Ludzie po prostu pobiegli do swoich domów.

Przed jedenastą mieliśmy potwierdzenie od trzech źródeł w pałacu prezydenckim, że prezydent Ghani uciekł z kraju. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Choć mieliśmy trzy źródła, to nie chcieliśmy tego publikować. Wydawało się to nieprawdopodobne i nie chcieliśmy rozpowszechniać

→ nieprawdziwej informacji, szczególnie takiego kalibru.

Co działo się w Waszej redakcji?

AS: Zbieraliśmy komputery, niszczyliśmy dokumenty, bo nie chcieliśmy, żeby wpadły w niepowołane ręce. Nagle usłyszeliśmy strzelaninę na ulicy. Wszyscy, którzy byli w redakcji, zaczęli z niej uciekać. Nawet nie zdążyłem zamknąć pokryw laptopa na biurku. Na ulicy talibowie strzelali w powietrze. Ludzie byli przerażeni. Wielu z nich nigdy w życiu nie widziało taliba z bliska. Przez ponad dwadzieścia minut próbowałem złapać taksówkę, aż wreszcie udało mi się dojechać do domu.

Tam była już Masooma.

MS: Byłam w takim szoku, że nawet nie mogłam płakać. Ali próbował mnie uspokoić. Mówił, że wszystko będzie dobrze.

Ale sam w to nie wierzyłeś?

(Ali kręci przecząco głową)

MS: Oczywiście, że nie! Chciał mnie tylko uspokoić. Po kilkunastu minutach przyszli do nas mój tata, mama, brat, siostry. Jesteśmy dziennikarzami, więc uznali, że to my będziemy mieć najwięcej bieżących informacji. Wypytywali, co się dzieje. Obawiali się o nasze bezpieczeństwo, my zresztą też.

Dlaczego czuliście się zagrożeni?

AS: W gazecie „Subhe Kabul”, w której pracowałem, prowadziłem rubrykę, gdzie opisywałem trudne doświadczenia ludzi w trakcie rządów talibów w latach 90. Dodatkowo mój znajomy ze studiów dołączył do talibów. Wiedział o mnie prawie wszystko. Ostatnio pisał do mnie dziwne wiadomości. Miał pretensje, że krytykuję talibów, i wzywał do przestrzegania prawa szariat. Naszemu wspólnemu znajomemu powiedział, że przekazał nasze nazwiska ugrupowaniu. Wiedziałem, że jeśli talibowie przejmą władzę, to prędzej czy później sięgną po te listy.

MS: Obawialiśmy się też z powodu naszej aktywności w mediach społecznościowych, bardzo często na zdjęciach występowałam bez hidżabu. Udzielaliśmy wywiadów, gdzie byliśmy przedstawiani jako taka barwna para. Przede wszystkim jednak chodziło o to, że pracowaliśmy w mediach. Do tego w ostatnich latach



„Wtedy zobaczyliśmy, jaki ścisk panuje przed lotniskiem”. Kabul, 18 sierpnia 2021 r.

zajmowałam się monitoringiem mediów dla amerykańskiej firmy.

Co postanowiliście zrobić?

MS: Szukaliśmy sposobu na opuszczenie Afganistanu. Pisaliśmy do naszych znajomych z kraju i zagranicą, żeby nam pomogli. Wszyscy mówili, że pracują nad naszą sprawą, ale nie było żadnej szybkiej i pozytywnej reakcji. Gdy potem zobaczyliśmy zdjęcia z kabulskiego lotniska, to pomyślałam, że dostanie się na samolot jest po prostu niemożliwe. W domu spędziliśmy noc, ale następnego dnia ukryliśmy się w innym mieszkaniu. Wielu sąsiadów wiedziało, że mamy do czynienia z mediami. To mogło być niebezpieczne.

We wtorek dostaliście potwierdzenie z polskiej ambasady w New Delhi, że trafiliście na listę ewakuacyjną.

MS: To stało się dzięki tobie, Paweł. Musiała być szesnasta, gdy zadzwonił pracownik placówki. Następnie wysłał maila z informacją, gdzie i kiedy mamy się stawić.

Samolot miał odlecieć o szóstej rano następnego dnia.

MS: Wróciliśmy do naszego domu. Spakowaliśmy trochę rzeczy. Wzięliśmy z Alim ubrania na trzy-cztery dni. A dla naszego Kianusha – mleko, pampersy i odzież. Bardzo długo szukaliśmy taksówki, pytaliśmy też krewnych, którzy mają samochody, czy zawieźliby nas na lotnisko. Wszyscy jednak odmawiali, bo bali się talibów, szczególnie że było już po dwudziestej drugiej.

Talibowie ogłosili godzinę policyjną.

AS: Powiedziałem naszemu przyjacielowi, że mamy samochód, więc my go zabierzemy z domu, pojedziemy razem, zostawię mu kluczyki, a on odstawi pojazd na nasz parking. Ale też nie chciał.

MS: Powiedziałam Alemu, że musimy coś znaleźć, bo to nasza jedyna szansa, żeby wyjechać. Nie chciałam jej stracić. Byłam gotowa nawet iść na piechotę na lotnisko, mimo że jest daleko i musieliśmy iść godzinami.

AS: Jak zadzwoniłem do jednej służby taksówkarskiej, to zażyczyli sobie sto dolarów.

MS: Dotychczas za trasę na lotnisko trzeba było zapłacić 150, maksymalnie 300 afgani [równowartość ok. 6,5 i 13 złotych – red.]. Nigdy nie było tak drogo. A my nie mieliśmy tylu pieniędzy. Cała nasza gotówka to 1150 afgani [ok. 50 zł – red.]. Reszta była w banku. Wcześniej nie myśleliśmy o wybieraniu większej gotówki, bo sytuacja nie wyglądała tak źle.

AS: Przez godzinę szukałem taksówki. Jeden kierowca zgodził się pojechać za 300 afgani.

Wyruszyliście po dwudziestę trzeciej.

MS: Gdy przejeżdżaliśmy koło talibów, łapałam Alego za rękę i mocno ściszałam. Płakałam. Bardzo się baliśmy, że nie uda się nam dotrzeć na lotnisko. Dlatego pojechał z nami mój młodszy brat. Umówiliśmy się, że jeśli talibowie będą chcieli nas aresztować, to wyblagamy ich, żeby zostawili naszego syna Kianusha bratu i puścili ich obu wolno.

Dotarliście na lotnisko około północy. Mieliście znaleźć bramę Abbey i przez nią dostać się do części wojskowej lotniska.

MS: Myśleliśmy, że ci wszyscy ludzie tłoczący się przed lotniskiem nie mają potrzebnych dokumentów, żeby wylecieć. Skoro więc my mamy wszystko, co potrzebne, to będzie jak dawniej. To znaczy zostaniemy przepuszczeni, w środku przejdziemy przez bramki, odprawimy się i po sprawie. Kiedy zobaczyliśmy, jaki ścisk panuje przed lotniskiem, to oddaliśmy bagaże mojemu bratu, który taksówką wrócił do domu. Zabrałismsy tylko tę walizkę z rzeczami Kianusha.

AS: Cały czas musieliśmy trzymać go na rękach i pilnować, żeby nie zginił go



ZDJEŃCIE Z TELEFONU MASOOMY I ALISHERA WYKONANE NA LOTNISKU W KABULU X3

„Musieliśmy pilnować, żeby nie zgniótł go tłum”. Masooma z synem, 18 sierpnia.



„Straciliśmy wiarę, że uda się wejść”. Masooma (w bordowej chuście) i Alisher (z synem) przed bramą Abbey w grupie Afgańczyków, którzy też znaleźli się na polskiej liście ewakuacyjnej, 18 sierpnia.

tłum. Ludzie nie zwracali na siebie uwagi. Gdy talibowie strzelali, to tłum się rozbiegał. Niektórzy padali, byli trатовani albo przewracali się na nich inni ludzie. Wiedzieliśmy, jak kobieta upadła na drut kolczasty, żyletkowy. Wszędzie było mnóstwo krwi, a jej dziecko płakało.

Od razu udało Wam się znaleźć wejście, przez które mieliście się dostać?

MS: Nie wiedzieliśmy, gdzie znajduje się brama Abbey, bo nigdy wcześniej nie byliśmy na lotnisku wojskowym. Stąd te nazwy były obce. Taksówkarz podwiózł nas pod jakąś bramę. Było tam może z trzysta osób. Większość z nich to młodzi mężczyźni bez rodzin. Nie mieli dokumentów, ewentualnie jakiś papier w ręce. Byliśmy tam może przez dwadzieścia minut. Próbowaliśmy się dowiedzieć, czy znajdujemy się w dobrym

miejscu, ale nie było to łatwe. Afgański żołnierz [z armii rządowej – red.] stał na bramie, ale nie odpowiadał na żadne pytania. Milczał. Znajdujący się tam ludzie też nic nie wiedzieli.

Szukałam informacji w internecie, dzwoniłam i wysyłałam wiadomości, ale nikt nie potrafił mi pomóc. Dopiero dziennikarka Jagoda Grondecka [znajdująca się wtedy w Kabulu – red.] wysłała nam lokalizację. Byliśmy pewni, że jesteśmy w złym miejscu, ale nie wiedzieliśmy, jak się dostać do tego na mapie. Jeden z taksówkarzy powiedział, że zabierze nas do właściwego wejścia. To nie było jakoś daleko, ale chciał od nas 300 afgani.

Zostało Wam już tylko 650 afgani.

MS: Gdy dotarliśmy do drugiego wejścia, zobaczyliśmy mnóstwo ludzi. Taksówkarz powiedział, żebyśmy dali mu pieniądze i natychmiast wychodzili z auta, bo jesteśmy na miejscu. Na zewnątrz ciągle strzelano w powietrze. Powiedziała mi, żeby dał nam minutę, przestaną strzelać i wysiadzimy. Odpowiedział, że tutaj cały czas strzelają, więc mamy wysiadać. Wysiedliśmy. Usiadłam obok samochodów, trzymałam Kianusha na rękach i płakałam. Te wystrzały były tak blisko nas, strasznie głośne. Przy każdym z nich się wzdygałam. Okropne.

To też nie było właściwe wejście?

MS: Pytaliśmy wszystkich dookoła, czy to Abbey Gate. Nie wiedzieli. Mówili tylko, że to „brama amerykańska”.

AS: Rozmawialiśmy z Jagodą i pokazała nam dokładną lokalizację. Pokazała nam jednemu kierowcy, bo wciąż nie wiedzieliśmy, jak tam dokładnie trafić. Twierdził, że świetnie zna to miejsce, więc nas zawiezie. Ale to też nie było to wejście, tylko główna brama prowadząca na lotnisko cywilne.

MS: Zaczęliśmy protestować, że zawiózł nas w złe miejsce. Żądał pieniędzy i kazał natychmiast wysiadać. Groził, że w innym razie powie talibom, że nie chcemy mu zapłacić. Daliśmy mu 300 afgani i wysiedliśmy. Tam była straszna kolejka. Stali też talibowie z bronią i biczami. Wszystkim kazali siedzieć. Nam też. Bez dyskusji to zrobiliśmy. Wreszcie podeszliśmy do kolejnego taksówkarza. Za 200 afgani obiecał nas zawieźć do bramy, której szukamy. Tak też się stało.



→ Co zrobiliście z ostatnimi 50 afgani?

MS: Następnego dnia kupiliśmy wodę. Potem nie zostało nam już nic. Prosiłiśmy inne rodziny ewakuujące się do Polski, żeby kupiły nam wodę, a my oddamy im na miejscu. Oczywiście dostaliśmy ją od nich – i to za darmo. Byłam strasznie głodna, ale nie mieliśmy nic do jedzenia. Przede wszystkim zależało mi na wodzie. To było najważniejsze.

Dużo było ludzi czekających na lot do Polski?

AS: Było tam może z piętnaście osób. Mężczyźni stanęli w kole, a ich rodziny usiadły w środku.

MS: To była bardzo mała grupa. Myśleliśmy, że może to wszyscy i tak mało nas leci do Polski. Jagoda była w kontakcie z przedstawicielami Polski, wejście było blisko, ludzi też nie było tak dużo. Wydawało się, że wszystko pójdzie sprawnie.

AS: Mieliśmy jednak czekać, bo dojeżdżały do nas kolejne rodziny, a ktoś z Polski miał podejść do bramy koło siódmej i nas wprowadzić. Godzinę przed wyznaczonym czasem ruszyliśmy do bramy. Panował tam już straszny tłok.

Przy bramie jednak nikogo nie dostrzeżliście.

AS: Krzyczeliśmy „Polska”, ale nikt się nie zjawił. Brytyjski żołnierz powiedział, że jeśli chcemy wejść do środka, musimy mieć potwierdzenie ze środka. Ktoś musi nas konwojować. Nie możemy wejść samodzielnie.

MS: Pokazałam mu wszystkie dokumenty. Płakałam ja i Kianush. Powiedział, że bez kogoś z Polski nie może nic zrobić. Poprosił, żebyśmy odeszli. Mniej więcej w tym samym czasie zagraniczni wojskowi stojący przed lotniskiem poprosili talibów, żeby przegnali ludzi, bo w tym tłumie nie mogą znaleźć tych, którzy muszą wejść do środka.

Jak to?

MS: Jeden z Afgańczyków współpracujący z zagranicznymi wojskami wszedł na bramę i przez megafon zwrócił się do talibów, którzy stali w pobliżu, żeby przyszli im pomóc. Wówczas podjechali talibowie znajdujący się niedaleko. Byli uzbrojeni i z biczymi. Strzelali w powietrze, odpychali też ludzi. Jeden zaczął bić Alego po plecach. Zamachnął się też na



„Brytyjscy żołnierze pozwolili nam wejść za swoje pozycje”. Poranek 19 sierpnia przed bramą.



„Okolo siódmej pojawili się Polacy. Polska żołnierka wzięła Kianusha i połała mu głowę wodą, bo wyglądał już bardzo źle”. Żołnierze polskich sił specjalnych na lotnisku, 19 sierpnia.

mnie, lecz Ali zaczął na niego krzyczeć, dlaczego chce bić jego żonę i dziecko. Płakałam tak głośno, prosiłam, żeby przestali. Musiałam powstrzymać Alego, bo był bardzo zły i jeszcze wdałby się z nimi w bójkę.

AS: Oni byli straszni. Pchali wszystkich. Nie patrzyli, czy to kobieta, czy dziecko.

MS: Nie mogłam zrozumieć, co takiego złego zrobiliśmy, że musimy się z czymś takim mierzyć. Powiedziałam Alemu, żebyśmy wrócili do domu. Kupimy tyle jedzenia, ile się da, zamknijemy drzwi na wszystkie zamki i nie będziemy wychodzić na zewnątrz. Prosiłam, żebyśmy wró-

cili, bo z dzieckiem na rękach nie prze-
pchamy się do środka. Ali odpowiedział, że jeśli za jakiś czas sytuacja się nie uspokoi, to wrócimy do domu.

AS: W tym momencie nie wierzyliśmy, że uda nam się wejść na lotnisko.

MS: Talibowie bili, strzelali, mieli gdzieś życie innych. Tylu ludzi było rannych. Jedną z osób z naszej grupy uderzyli karabinem i złamali jej rękę. To nas przestraszyło jeszcze bardziej. Nie chcieliśmy, żeby coś nam się stało, a przede wszystkim Kianushowi.

AS: Do tego było gorąco. Staliśmy w pełnym słońcu. Bez jedzenia i praktycznie bez wody.

MS: Od czwartej rano do czternastej Kianush nie pił mleka. Ciągłe płakał. Był już tak zmęczony, że wydawał dźwięki, jakich dotychczas nie słyszeliśmy. Od słońca miał poparzoną głowę.

Co zrobiliście po tym, jak talibowie Was odepchnęli od wejścia?

MS: Usiedliśmy przy ulicy. Jagoda pojechała do miasta, żeby zabrać kolejne osoby. My wraz z innymi rodzinami, które miały lecieć do Polski, trzymaliśmy się razem. Kontaktowaliśmy się z ambasadą w New Delhi i z innymi osobami, żeby nam pomogły i żeby przypadkiem o nas nie zapomniano.

Ściemniało się i mieliście spędzić kolejną noc przy lotnisku.

MS: Byliśmy wszyscy razem na parkingu niedaleko. Jagoda powiedziała, że nasz lot może być w nocy, więc lepiej się odsunąć. Mniejszymi grupami chodziliśmy, żeby sprawdzać sytuację przed bramą. W nocy pojawiła się już informacja, że lot będzie dopiero o szóstej rano.

AS: Nie spaliśmy od wyjścia z domu.

MS: Zamiast tego ciągle myśleliśmy, jak się dostać do środka, bo czuliśmy, że utknęliśmy. Ali i inni chodzili i sprawdzali sytuację, a następnie mówili nam, co się dzieje. Gdzieś o drugiej w nocy poszli w stronę bramy, wrócili i powiedzieli, że nie ma już tam talibów. Że można swobodnie dojść do bramy. To była szansa.

AS: Mieliśmy doświadczenie z minionej nocy. Że jeśli przyjdziemy później, to znowu przegapimy samolot, bo w międzyczasie odleciał przynajmniej jeden. Gdy zobaczyłem, że talibowie zwinęli posterunek, od razu wróciłem i powie-

działem Masoomie: „Wstawaj, idziemy”. Inni nie chcieli tego robić, bo do szóstej było jeszcze dużo czasu. Powiedziałem, że zanim tam dotrzemy, akurat będzie szósta.

Tłum był niewyobrażalny. Ledwie łapaliśmy powietrze. Kianusha musiałem unosić nad sobą. Przebijaliśmy się przez trzy godziny, aż dotarliśmy w pobliże bramy, gdzie stali brytyjscy żołnierze. Znaleźliśmy się tam o szóstej rano, czyli tak, jak nas proszono. Wysłałem grupie wiadomość, że jesteśmy na miejscu i jest szansa, żeby wejść. Pokazaliśmy brytyjskiemu żołnierzowi wszystkie nasze dokumenty. Powiedział, że jeśli tylko zobaczy kogoś z Polski, to od razu ich zawoła i powie, że ich pasażerowie są tutaj.

MS: Kianush strasznie płakał. Prosiłszy tych żołnierzy, żeby pozwolili nam usiąść blisko nich, bo nasze dziecko było wykończone, do tego nie dało się oddychać. Pozwolili nam przejść za swoje pozycje, ale nie przez bramę, i usiąść na ziemi.

AS: Powiedzieli, żebyśmy czekali na polskich żołnierzy. Oni pojawili się około siódmej. Powiedziałem: „Dzięki Bogu!”.

MS: Wtedy płakaliśmy już wszyscy, Kianush, Ali i ja. Polska żołnierka wzięła naszego synka i połała mu głowę wodą, bo wyglądał już bardzo źle. Nie mogłam powstrzymać płaczu, choć mówili nam, że jesteśmy bezpieczni i wszystko jest dobrze.

Po przejściu przez bramę czuliście ulgę?

MS: Wciąż nie byłam pewna, że uda nam się dotrzeć do Polski. Wszyscy byli bardzo mili. Uspokajali nas. Prosiłam, żeby zabrano nas jak najszybciej. Ale czekaliśmy na resztę.

AS: Przed ósmą byliśmy na lotnisku, ale samolot mieliśmy dopiero po szesnastej.

Byliście już jednak pewni, że się wydostaniecie z kraju?

MS: Po starcie bałam się, że może talibowie zestrzelą samolot. Dopiero jak byliśmy wysoko w powietrzu, powiedziałam sobie: „Teraz już nas nie dosięgną”.

© Rozmawiał w Krakowie

PAWEŁ PIENIAŻEK

ALISHER SHAHIR urodził się w 1993 r. w prowincji Ghazni. Ukończył dziennikarstwo i komunikację na Uniwersytecie Kabulskim. Pisał dla mediów ogólnokrajowych, zajmując się tematami politycznymi, społecznymi i śledczymi. W ostatnim czasie pracował w dzienniku „Subhe Kabul”. W 2020 r. został uznany przez Afgańskie Centrum Dziennikarzy za jednego z pięciu najlepszych dziennikarzy w kraju. Był także współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”: w minionych latach towarzyszył autorom „TP”, Pawłowi Pieniążkowi i Agnieszce Pikulickiej-Wilczewskiej, podczas ich podróży po Afganistanie, był też współautorem tekstów Pawła Pieniążka.

MASOOMA SULTANI urodziła się w 1996 r. w prowincji Wardak. Ukończyła dziennikarstwo na Uniwersytecie w Kabulu. Pracowała w mediach ogólnokrajowych, jak również w organizacjach działających na rzecz praw afgańskich dziennikarzy, a szczególnie dziennikarek, jak Afghan Journalists Safety Committee (Afgański Komitet ds. Bezpieczeństwa Dziennikarzy). Była także aktywistką na rzecz praw kobiet. W latach 2019-2021 zajmowała się monitoringiem mediów dla amerykańskiej Hoplite Group.

KIANUSH SHAHIR, syn Alishera i Masoomy, urodził się 21 marca 2021 r.

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Pomóż Masoomie i Alisherowi zadołować się w Polsce.

Wpłać dowolną kwotę na projekt Fundacji Tygodnika Powszechnego mający na celu ich aktywizację zawodową w naszym kraju w ramach dostępnego bezpłatnie serwisu specjalnego poświęconego Afgańczykom. Współfinansuj honoraria za teksty, tłumaczenia i multimedia, których twórcami będą bohaterowie wywiadu. Dołącz do zbiórki pod adresem powszech.net/pomagam



Ostatni bastion

WOJCIECH JAGIELSKI

Po 20 latach wojny Amerykanie opuścili Afganistan, a do władzy wrócili talibowie. Ich rządowi opiera się tylko podkabulska dolina, od lat uchodząca za twierdzę buntowników.

WYGLĄDA NA TO, ŻE SIĘ ZACZEŁO. ZATAKOWALI NAS W NOCY OD PÓŁNOCNEJ STRONY, OD PRZEŁĘCZY CHAWAK, A TAKŻE OD POŁUDNIA, U WEJŚCIA DO DOLINY... – mówi mi w minionym tygodniu Fahim Daszti.

Daszti, mój stary znajomy, jeszcze niedawno redaktor naczelny tygodnika „Kabul Weekly”, po wkroczeniu talibów do stolicy porzucił dziennikarstwo i został rzecznikiem ruchu oporu w dolinie Pandższiru.

– Odparliśmy wszystkie natarcia, ze 150 talibów położyliśmy trupem, raniliśmy dwustu, a pół setki wzięliśmy do niewoli. Zdobyliśmy też wiele broni. Wydaje się, że robili rozeznanie bojem, sprawdzali naszą obronę. No to się przekonali. Jeśli chcą wojny, będą ją mieli – mówił mi Fahim.

Niezdobyta dolina

Rozmawialiśmy w środę 1 września – dzień po tym, jak nocą z 30 na 31 sierpnia Afganistan opuścili ostatni amerykańscy żołnierze. Dwa tygodnie wcześniej, w błyskawicznym pochodzie, zajmując niemal bez walki prowincję po prowincji, talibowie wkroczyli do Kabulu, z którego uciekli prezydent i ministrowie z rządu wspieranego przez Amerykanów.

Tylko nieliczni – jak wiceprezydent Amrullah Saleh i minister obrony Bismillah Chan Mohammadi oraz kilku generałów z rządowego wojska – nie uciekli za granicę, lecz schronili się w ich rodzinnym Pandższirze. Saleh ogłosił nawet, że po ucieczce prezydenta Aszrafa Ghaniego do Dubaju i drugiego wiceprezydenta Sarwara Danesza do Stambułu to on jest pra-



wowitym przywódcą afgańskiego państwa.

Tam, w Pandższirze, Amrullah Saleh i Bismillah Chan przystali do Narodowego Frontu Oporu, który utworzył Ahmad Massud, syn najślawniejszego z afgańskich komendantów partyzantów Ahmada Szaha Massuda, który pod koniec zeszłego stulecia walczył z rodzinnej doliny przeciwko armii sowieckiej (w latach 1979-89), potem przeciw talibom (w latach 1996-2001). Ani jednym, ani drugim nie udało się podbić Pandższiru.

Dopiero naślani przez Al-Kaidę zamachowcy-samobójcy, udający dziennikarzy, zabili Massuda seniora w bombowym ataku. Doszło do niego 9 września 2001 r., na dwa dni przed powietrznymi zamachami Al-Kaidy na Nowy Jork i Waszyngton. Wydając wojnę Ameryce, Al-Kaida chciała wcześniej zgładzić najgroźniejszego przeciwnika, który mógłby zagrozić w Afganistanie jej samej oraz jej do-brodziejom, talibom.

Ahmad, syn Ahmada

Ahmad Massud, jedyny syn Ahmada Szaha, w chwili śmierci ojca miał 12 lat.

Musiałem go widywać wcześniej w domach Massuda w Afganistanie, a kilka tygodni po zamordowaniu jego ojca odwiedziłem go w tadżyckiej stolicy Duszanbe. Potem wyjechał on z Tadżykistanu na naukę do Iranu, a później do Wielkiej Brytanii, gdzie studiował politykę zagraniczną w King's College w Londynie, a także sztukę wojenną w sławnej akademii Sandhurst.

Do Afganistanu wrócił dopiero pięć lat temu. Przed dwoma laty ogłosił, że wskrzesza ruch polityczny, założony przez jego ojca jeszcze w połowie lat 80. XX w., podczas wojny z Sowietami. Sojusz Północny, bo tak się nazywał, miał upominać się o prawa mniejszości i zabiegać w Kabulu o większe prawa dla prowincji. Teraz niespodziewany triumf talibów sprawił, że zamiast stać się partią polityczną, odrodzony Sojusz Północny znów stał się tym, czym był kiedyś – partią zbroijną.

– Życie wybrało Ahmadowi taki los. Do polityki popchnęli go mieszkańcy Pandższiru, którzy widzą w nim przywódcę, spadkobiercę ojcowskiej legendy – mówił mi teraz Fahim Daszti, dziś prawa ręka Massuda juniora, a przed laty przyjaciel



Szkolenie wojskowe afgańskiego ruchu oporu w prowincji Pandższir. Afganistan, 30 sierpnia 2021 r.

Murami obronnymi tej zamieszkałej przez ćwierć miliona ludzi doliny są góry Hindukuszu, które na północy sięgają 4-5 tys. metrów wysokości. Przełęcz Chawak, prowadząca na północny zachód (do Kunduzu, Balchu i równiny nad Amu-Darią i Pjandżem) leży na wysokości 3,5 tys. metrów. Kolejna przełęcz, Andżoman, wiodąca do Badachszanu i na Pamir – na wysokości 4,5 tys. metrów. Na południu, od strony Kabulu i równiny Szomali, bramą do doliny jest łatwy do obrony (lub zamknięcia) przesmyk między zboczami. Przez przełęcz na wschodzie wiodą górskie szlaki do Nuristanu, a także Czitralu i Swatu, już po pakistańskiej stronie granicy. Z kolei w niedalekiej odległości na zachód od Pandższiru, na wysokości prawie 4 tys. metrów, przełęczą Salang biegnie najważniejsza droga kraju, spinająca afgańską północ z południem.

Położenie geograficzne Pandższiru sprawia, że niezwykle trudno go zdobyć. Za to ci, którzy panują nad Pandższirem, szachują stolicę i afgańską „drogę życia”.

Lew z Pandższiru

Jak trudno jest podbić Pandższir, przekonał się już Aleksander Macedoński, który z położonej nad Amu-Darią Baktirii, przez przełęcz Chawak i właśnie Pandższir, wytyczył szlak swojej kolejnej wojennej wyprawy – na Indie. Jednak trudy przeprawy i walki, jakie musiał toczyć z broniącymi dostępu do doliny góralami, zmusiły go do rewizji planów. Mieszkańcy Pandższiru odpierali potem najazdy Czyngis-chana i Tamerlana. Brytyjczycy, którzy w XIX stuleciu próbowali podbić Afganistan, do Pandższiru woleli nawet się nie zbliżać.

Kiedy w latach 80. XX w. Afganistan najeżdżała armia sowiecka, początkowo poddał jej się cały kraj – z wyjątkiem Pandższiru. Dowodzeni przez młodego, ledwie 30-letniego wtedy Ahmada Szaha Massuda mieszkańcy doliny odpierali kolejne desanty, inwazje i operacje pacyfikacyjne czerwonoarmistów, a Massud, nazwany już „Lwem z Pandższiru”, podejmował zuchwałe rajdy, by unieruchamiać „drogę życia” przez Salang, będącą dla Rosjan głównym szlakiem zaopatrzeniowym.

Kiedy w 1989 r. wykrwawiony w 10-letniej wojnie Kreml odtrąbił odwrót z Afga-

nistanu, Massud, któremu z Pandższiru było najbliżej do Kabulu, w 1992 r. zajął stolicę, wyprzedzając innych partyzanckich komendantów. Pokonani w wyścigu po władzę nie uznali jego zwycięstwa i w Afganistanie wybuchła nowa wojna, domowa.

Massud długo odpierał nieprzyjacielskie szturm. Uległ dopiero jesienią 1996 r., gdy pod Kabulem stanęło nowe partyzanckie wojsko: talibowie. Poddał im stolicę, a sam wycofał się do Pandższiru, skąd w pojedynkę walczył przeciwko talibom przez następne pięć lat.

Tadżycy kontra Pasztuni

Jesienią 2001 r., w odwecie za gościnę, jakie talibowie udzielili Al-Kaidzie, Amerykanie najeżdżali Afganistan, a partyzanci z Pandższiru, uchodzący za najwaleczniejszych i najwytrwalszych, stanęli u ich boku – i choć już osieroceni, bo bez swojego „Lwa”, znów jako pierwsi wkroczyli do Kabulu, przejmując rządy.

Nie na długo jednak, bo Amerykanie, którzy postanowili zostać w Afganistanie na dłużej, kazali Pandższirczykom podzielić się władzą z innymi, przede wszystkim z najliczniejszymi – bo stanowiącymi prawie połowę ludności kraju – Pasztunami. Pasztunowie uważają się za założycieli i prawowitych właścicieli afgańskiego państwa – to oni wydali spośród siebie prawie wszystkich królów, emirów i prezydentów.

Tymczasem mieszkańcy Pandższiru – to niemal wyłącznie Tadżycy. W dziejach Afganistanu tylko dwóm Tadżykom (stanowią łącznie jedną czwartą ludności, a zamieszkują głównie na północy, a także w Kabulu i jego okolicach, jak właśnie Pandższir) udało się stanąć na czele państwa. Habibullah Ghazi ogłosił się emirem w 1929 r., gdy w kraju wybuchło zbrojne powstanie i obaliło króla Amanullaha Chana. Rządził nieco ponad pół roku, po czym został obalony i zabity.

Kolejny Tadżyk, Burhanuddin Rabbani, objął władzę w 1992 r. – jako drugi z przywódców mudżahedinów (Massud był u niego ministrem obrony, ale tak naprawdę to on sprawował rzeczywistą władzę). Po pół roku, zgodnie z umową, Rabbani miał ją przekazać kolejnemu z partyzanckich przywódców. Odmówił, powołując się na niepewną sytuację w kraju i w rezultacie w Afganistanie wybuchła wspomniana już wojna domowa, →

i gorliwy stronnik jego ojca. W tamtym zamachu, w którym zginął Ahmad Szah, Fahim został ciężko ranny.

Nazajutrz po wejściu talibów do Kabulu młody Massud opublikował w amerykańskim dzienniku „Washington Post” i na francuskim portalu „La Règle du Jeu” (jedną z jego twarzy jest słynny filozof Bernard-Henri Lévy, przyjaciel ludzi z różnych stron świata walczących o wolność) swoje orędzie. Wzywał w nich Zachód, aby udzielił mu wsparcia.

„Piszę te słowa z Pandższiru, gotów, aby pójść w ślady ojca i na czele mudżahedinów znów bić się o wolność – napisał 32-latek. – Nie idzie nam o wolność Pandższiru, ale całego Afganistanu. Dziś triumfuje w nim tyrania, a ludzie stracili ducha. Ale my, tu w Pandższirze, nigdy się nie poddamy”.

Górska twierdza

Pandższir – wąski i przepastny wąwóz, przecięty wartką rzeką-imienniczką, skalisty i długi na 100 kilometrów, a położony tylko dwie-trzy godziny drogi na północny wschód od Kabulu – od wieków uchodzi za niezdobyty twierdzą.

→ którą przerwali dopiero w 1996 r. talibowie, w większości Pasztuni.

Dolina w cieniu Kabulu

Po obaleniu talibów Amerykanie uznali, że władzę w Afganistanie powinno się oddać Pasztunom – Hamidowi Karzajowi (prezydentowi w latach 2002–14), a po nim Aszrafowi Ghaniemu (pełnił ten urząd od 2014 r.). Mieszkańcy Pandższiru, niemal wyłącznie Tadzycy, musieli się z tym pogodzić. Pocięchą miały być awanse ich politycznych przywódców na najważniejsze urzędy – wiceprezydenta (był nim m.in. Ahmad Zia Massud, brat Ahmada Szaha), ministra dyplomacji, obrony, bezpieczeństwa, wywiadu, przewodniczącego parlamentu, dowódcze stanowiska w wojsku i policji.

Ponadto Pandższir został wyniesiony do godności prowincji, a na jego gubernatorów wybierano wyłącznie tubylczych polityków. Nigdy nie rozłożyły tam obozu żadne zachodnie wojska, które aż do tegorocznego lata były obecne w pozostałych regionach Afganistanu. We wrogim talibom Pandższirze nie było takiej potrzeby. Amerykanie, którzy rozbrajali wszystkie inne partyzanckie armie, nawet im sprzyjające, patrzyli też przez palce, jak pandższirskie wojsko chowa swoje arsenały w górskich kryjówkach.

Pandższirczyki nigdy nie ufali bowiem pasztuńskim prezydentom Karzajowi i Ghaniemu. Podejrzewali ich, że prędzej czy później dobiją targu z talibami – swoimi, było nie było, rodakami-Pasztunami. Kiedy dwa lata temu prezydent USA Donald Trump, pragnący za wszelką cenę wycofać wojska spod Hindukuszu, zaczął układać się z talibami za plecami kabulskiego rządu, Pandższir zaczął się jawnie zbroić i szkolić nowe partyzanckie wojsko.

Próba sił

Objawszy rządy w Kabulu, talibowie posłali swoje wojska także pod Pandższir. Nie szturmowali jednak doliny. Także Pandższirczyki ograniczali się do obrony górskiej reduty, usiłując utrzymać kontrolę nad częścią sąsiadującej z nią prowincji Parwan. Do zbrojnych wystąpień przeciw talibom dochodzi w pobliskich Bağlanie, Kunduzie, a także Dajkundi, ale ich motorem są lokalne partyzantki.



Ahmad Massud, marzec 2021 r.

Dziś przywódcy pandższirskiego ruchu oporu twierdzą, że mają pod bronią kilka tysięcy ludzi – w tym oficerów i żołnierzy z afgańskiej armii rządowej, a także dawnych mudżahedinów – oraz że nowi ochotnicy z bronią wciąż napływają z całego kraju.

– Nie potrzeba nam wielkiego wojska. Takie, jakie mamy, wystarczy do obrony Pandższiru. Tym bardziej że talibowie też nie mają nawet 100-tysięcznej armii, a teraz, objawszy rządy, będą musieli rozdzielić swoje siły, aby obsadzić nimi cały kraj – mówi mi Fahim Daszti.

– Nie chcemy wojny, chcemy rozmów – dodaje niedawny dziennikarz, a teraz bojownik. – I nie idzie nam o rządowe stanowiska, jakie talibowie oferują Massudowi, ale o to, jakim państwem ma być Afganistan. Nie chcemy państwa, w którym ten, kto rządzi w stolicy, dyktuje innym, jak mają żyć. Jesteśmy za samorządem, za decentralizacją władzy i za tym, aby każdy z ludów mieszkających w Afganistanie miał udział w rządach i zapewnione równe prawa.

Jednak talibowie mają zupełnie inną wizję państwa. Nie zamierzają urządzić żadnych wyborów, a całą władzę chcą powierzyć rządowi w stolicy (jeszcze nie zdecydowali, czy pozostanie nią Kabul, czy też zostanie przeniesiona do Kandaharu, ich kolebki). Ale woleliby też uniknąć konieczności szturmowania Pandższiru. „Traktujemy to jako ostateczność” – przyznał jeden z ich rzeczników Suheil Szahin.

Ciąg dalszy trwa

Talibowie nie chcą bowiem ryzykować. Massud junior jest wprawdzie w trudniejszej sytuacji niż przed laty jego ojciec. Tym razem marsz na Kabul talibowie zaczęli od północnych prowincji, odcinając Pandższir od dawnych lądowych szlaków zaopatrzeniowych z Tadżykistanu, a ukształtowanie terenu uniemożliwia zaopatrzenie samolotami – w Pandższirze są jedynie lądowiska dla śmigłowców. Z pomocą dla

Pandższirczyków nie spieszą też dawni ich sprzymierzeńcy i dobrodzieje. Ani Rosja (wraz z Uzbekistanem i Tadżykistanem), ani Iran, ani Indie (zaopatrujące Massuda seniora podczas jego wojny z talibami) nie zamierzają – przynajmniej na razie – angażować się w kolejną afgańską awanturę. Nic nie wiadomo, aby gotowy do udzielenia mu pomocy miał być Zachód.

Niepewny wynik bitwy o Pandższir grozi jednak talibom utratą lauru zwycięzców, pogromców armii Zachodu. Mogłoby to oznaczać również dla nich początek kłopotów na szerszą skalę – wielu Afgańczyków nie jest zadowolonych z ich władzy, a ich pierwsza przegrana mogłaby być zachętą do buntu.

Rozmowy talibów z Pandższirczykami, prowadzone w miasteczku Czari-
kar, u bram doliny, nie szły dobrze. Na nic zdały się próby mediacji, podejmowane przez byłego prezydenta Karzaja oraz doktora Abdullaha (niegdyś osobistego lekarza, tłumacza i sekretarza Massuda seniora, którego drogi z dawnymi towarzyszami broni bardzo się w ostatnich latach rozeszły). Nic nie wskórał ambasador Rosji, poproszony przez talibów o pomoc, ani delegacja Pandższirczyków (m.in. stryjowie Ahmada Massuda: Ahmad Zia i Ahmad Wali), którzy wybrali się do Islamabadu, by zawrzeć pokój z Pakistanem, mecenasem talibów.

– Talibowie nie chcą się układać, tylko oczekują z naszej strony kapitulacji i posłuszeństwa – mówi Fahim Daszti. – To do niczego nie prowadzi. Zwłaszcza że nie czekając na ich zakończenie, talibowie zaczęli wojnę. Mówią, że jesteśmy otoczeni, że nie mamy szans. A niech sobie mówią. Po każdym odpartym natarciu przysyłają do nas starszyznę z Golbaharu i Dżabal-us Seradżu, a my wydajemy jej trupy poległych talibów. Rannych nie mają jak leczyć, bo w kabulskich szpitalach brakuje lekarzy.

Szef delegacji talibów muħa Amir Chan Mottaki powiedział pandższirskiej starszyźnie, że sama musi przekonać swoich przywódców, żeby wyrzekli się wojny, złożyli broń, a talibowie obejmą ich amnestią. Tak właśnie, przekupując i zastraszając lokalne starszyzny, talibowie wygrali afgańską wojnę. Wierzą, że tym sposobem skruszą także opór niezłomnego dotąd Pandższiru.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Tekst ukończono 2 września



CASEAZATMIFTACHOV.ORG

Azat Miftachow w sądzie.

Wyższa matematyka wiórów i opiłków

ANNA ŁABUSZEWSKA

Wybitny rosyjski matematyk Azat Miftachow, skazany w ustawionym procesie, został skierowany do łagru IK-17 w obwodzie kirowskim.

JEGO DRAMAT ROZGRYWAŁ SIĘ W CIENIU spektakularnych wydarzeń, związanych z powrotem do Rosji Aleksieja Nawalnego. W styczniu tego roku, gdy uwaga światowych mediów przykuła była do aresztowania głównego opozycyjnego rosyjskiego polityka, przed sądem stanął człowiek nieznany poza środowiskiem naukowym. Azat Miftachow, 27-letni doktorant Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, został oskarżony o rzekome podpalenie biura partii rządzącej Jedna Rosja. Usłyszał wyrok 6 lat łagru. Dwoje pozostałych oskarżonych otrzymało wyroki w zawieszeniu. Miftachow nie przyznał się do winy. Obrona wniosowała o uniewinnienie.

Z poparciem dla Miftachowa wystąpili rosyjscy matematycy; pod ich listem podpisy złożyło 2,5 tys. osób. Petycję w sprawie jego uwolnienia na stronie Change.org podpisało 87 tys. osób. Apel w jego obronie opublikowali matematycy z USA, Kanady i wielu krajów Europy. Daremnie.

MIFTACHOW ZOSTAŁ ZATRZYMANY na początku 2019 r. w związku z podejrze-

niami o przygotowywanie materiałów wybuchowych. Policjanci wzięli go w obrot, biciem próbowali uzyskać przyznanie się do winy. Nie uległ presji. Został po tygodniu zwolniony i zaraz znów zatrzymany – pod zarzutem „chuligaństwa dokonanego w porozumieniu z innymi osobami”; jego rzekomy czyn miał być „motywowany nienawiścią na tle politycznym”.

Chuligaństwo miało polegać na tym, że wraz z Andriejem Jejkinem i Jeleną Gorbań 30 stycznia 2018 r. Miftachow rozbił szybę w siedzibie Jednej Rosji w moskiewskiej dzielnicy Chowrino i wrzucił do środka petardę. Straty wynikające z nadpalenia kawałka linoleum oceniono na 48 tys. rubli (2,7 tys. zł). W tym czasie biuro było puste. Wszyscy troje byli aktywistami ruchu anarchistycznego. W akcie wandalizmu miały brać udział jeszcze dwie inne osoby, które nie stanęły przed sądem, gdyż opuściły Rosję.

Oskarżenie zbudowano na zeznaniach „utajnionego świadka”, używającego pseudonimu „Andriej Pietrow”, który twierdził, że rozpoznał Miftachowa po charakterystycznych brwiach. Co za traf-

Pietrow zmarł w styczniu na serce (według portalu Mediazona w sprawie Miftachowa zeznawało dwóch takich zakonspirowanych świadków i obaj już podobno nie żyją). Gorbań i Jejkin twierdzili, że Miftachow nie miał nic wspólnego z podpaleniem. On sam przed sądem konsekwentnie powtarzał, że sprawa jest uszyta, a rzekome dowody sfabrykowane. Nie wypierał się przy tym zaangażowania w ruch anarchistyczny. Jego zdaniem właśnie to stało się powodem zainteresowania jego osobą ze strony władz.

„Antyfaszyści i anarchiści to ideologiczni przeciwnicy obecnego reżimu. Władze są zaniepokojone, że młodzież się jednoczy – mówi obrońca praw człowieka Lew Ponomariow. – W każdym nowym pokoleniu wyrastają ludzie, którzy są zdolni do protestu i oporu. To nie jest liczna grupa, 5 proc., może 10 proc., ale licząca się. Ci młodzi ludzie, których wsadza się dziś do więzienia, to przyszli polityczni liderzy Rosji”.

Skazanie Miftachowa miało być sygnałem dla młodych ludzi, którzy mają poglądy odmienne od zaangażowanego putinizmu. Klasyczny straszak.

W CZERWCU SĄD odrzucił apelację i utrzymał srogi wyrok. Młody obiecujący matematyk trafił do łagru IK-17. Wcześniej, w marcu, francuska uczelnia Université Paris-Saclay ogłosiła, że przyznała mu status honorowego doktoranta i zaprasza go po odbyciu kary. Siedząc w areszcie śledczym, gdzie spędził ponad dwa lata, Miftachow napisał dwie rozprawy naukowe.

W łagrze został skierowany do ciężkiej pracy fizycznej w tartaku. Według jego żony Jeleny Gorbań (ich ślub odbył się w czerwcu, w areszcie), zadaniem Azata jest ręczne wyciąganie opiłków z piły ramowej. Wiadomo, że na ogół w tartakach znajdujących się w koloniach karnych takie prace są zautomatyzowane. Czemu zatem tak niebezpieczne zajęcie musi wykonywać ktoś, kto po dwuipółletnim pobycie w areszcie na pewno nie jest okazem tężyzny fizycznej? Krewni Azata podejrzewają, że to sposób wywarcia nacisku na skazańca, który przez cały czas trwania procesu z godnością się bronił, powtarzał, że sprawa jest dęta, i że nie ma zamiaru współpracować z katami.

Jak widać, system nie odpuszcza. Wobec tych, którzy nie chcą przygiąć karku, stosuje coraz bardziej wymyślne tortury. ©P

Po co nam archiwa społeczne?

ANNA MARYJEWSKA

Nie trzeba być zawodowym archiwistą, aby zająć się archiwistyką społeczną. Archiwa prowadzą najczęściej amatorzy-pasjonaci, których działania z czasem stają się coraz bardziej profesjonalne.

Małgorzata i Andrzej Bieńkowski z fundacji Muzyka Odnaleziona najbliższej znani są środowisku skupionemu wokół muzyki wiejskiej. Bez ich archiwum społecznego dzisiaj młodym tworzącym tę muzykę nie byłoby łatwo. Dzięki starannie opracowanym, wydany w książkach i na płytach, udostępnionym w internecie archiwaliom młodzi mogą czerpać wiedzę od mistrzów.

– Ostatnio nagrywaliśmy 88-letnią śpiewaczkę o świetnym głosie, 100 kilometrów od nas – mówi mieszkający na wsi w Radomsku malarz i etnograf prof. Andrzej Bieńkowski, założyciel Archiwum Muzyki Wiejskiej. Jego żona Małgorzata wyjaśnia: – Najważniejsze dla Andrzeja, oprócz malarstwa i pracy pedagogicznej, były zawsze spotkania z muzykantami, nagrania. Archiwizacja pojawiła się w momencie, w którym szeroko zaczęliśmy korzystać z naszych zbiorów – postanowiliśmy wydawać książki i płyty.

Zachować świadectwa

Jadwiga Stefańska, założycielka i prezeska Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów w Orzechowie, jest z wykształcenia pedagogiem i PR-owcem. Przez wiele lat pracowała w domach kultury i w prasie lokalnej.

– Rozpoczęte w 2017 r. gromadzenie skanów zdjęć i dokumentów, wystawa i wywiady zaktywizowały mieszkańców na tyle, że już bez zachęt sami zaczęli przynosić archiwalia, zarówno do szkoły, jak i do mnie – wspomina zbieranie dokumentów związanych z historią swojej wsi i wystawę „Strach zdjęć”, eksponowaną teraz w foyer kina społecznościowego.

Akcję prowadziło Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów w Orzechowie we współpracy ze Szkołą Podstawową, Miłosławskim Centrum Kultury i sołectwem Orzechowo.

W Gdańsku prężnie działają Stowarzyszenie Arteria i grupa Metropolitanka, które prowadzą archiwum społeczne poświęcone historii kobiet pracujących kiedyś w Stoczni Gdańskiej: księgowych, suwnicowych, izolatorek, spawaczek, le-karek, magazynierek.

– Rozmawiamy z nimi, oglądamy ich pamiątki i dyskutujemy o tym, co dla nich znaczyły – mówi Anna Miler, politolożka i kulturoznawczyni, która oprowadza po Stoczni, przybliżając zwiedzającym zebrane w archiwum wspomnienia pracownic. W tym roku opowiada spacerowiczom o bohaterkach Solidarności. – Nagrywamy wywiady po szesnastej lub w weekendy. To nasza pasja.

Na rzecz ruchu archiwistyki społecznej działa Centrum Archiwistyki Społecznej, instytucja powołana w lutym 2020 r., współprowadzona przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Fundację Ośrodka Karta. Dzieli się wiedzą, inspiruje i wspiera inicjatywy z całej Polski. Pomaga w tworzeniu nowych archiwów społecznych, aby zachować jak najwięcej świadectw życia społecznego i trwale je zabezpieczyć.

Święto archiwistów

– Odkrywamy dla społeczeństwa fascynujący dorobek archiwów społecznych – tysiące nieznanych dotąd historii, zdjęć, dokumentów życia codziennego. Uważamy, że taka oddolna, partycypacyjna praca z historią ma ogromną moc zmiany społecznej. Chcemy to pokazać

podczas IV Kongresu Archiwów Społecznych – mówi Katarzyna Ziętał, dyrektorka Centrum Archiwistyki Społecznej. – Kongres odbędzie się 24-25 września w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, stacjonarnie i online, a jego hasło to „Otwórz archiwum, uruchom społeczność!”. To wielkie święto archiwistów społecznych i pasjonatów lokalności.

Spotkanie będzie okazją do prezentacji najciekawszych działań i wymiany doświadczeń pomiędzy archiwistami społecznymi z całej Polski, dyskusji o wyzwaniach stojących przed tym środowiskiem, wreszcie – debaty, jak ruch oddolnego dokumentowania historii realnie wpływa na zmiany społeczne wokół nas.

– Archiwiści społeczni działają w tryście miejscowościach, we wszystkich województwach. Czasem jako soliści, częściej – w strukturach organizacji lub instytucji. Tworzą ponad sześćset archiwów. Metody ich pracy są autorskie i silnie zakorzenione w ich środowiskach. Pukają do drzwi sąsiadów, dzięki czemu docierają do unikatowych dokumentów. Nagrywają wspomnienia starszych osób, odwiedzają lokalne stowarzyszenia. Są inicjatorami i twórcami projektów artystycznych i edukacyjnych, angażując społeczność we wspólne działania. Przyczyniają się do ożywienia życia kulturalnego i integracji mieszkańców. Ich działania wykraczają więc poza ramy słownikowej definicji „archiwista” – mówi Joanna Łuba, wicedyrektorka Centrum Archiwistyki Społecznej.

Debata i warsztaty

W ramach Kongresu prezentowane będą projekty realizowane wspólnie z mieszkańcami oraz różne podejścia do dokumentowania mikrohistorii. Dzięki



FOT. MACIEK JAZWIECKI / CENTRUM ARCHIWISTYKI SPOŁECZNEJ

Jedna z fotografii w zbiorach fundacji Muzyka Odnaleziona

spotkaniom i warsztatom uczestnicy będą mogli poznać narzędzia do tworzenia i rozwijania archiwów, wymienić się doświadczeniami oraz nawiązać współpracę z osobami angażującymi się w prowadzone lokalnie działania z zakresu archiwistyki społecznej.

Kongres rozpocznie się debatą „Po co nam archiwa społeczne?”. O korzyściach z nich płynących i wyzwaniach, jakie przed nimi stoją, dyskutować będą: Magdalena Grzebałkowska – pisarka i reporterka; prof. Robert Traba – historyk i działacz społeczny; Alicja Wancierz-Gluza – współtwórczyni Ośrodka Karta; oraz Katarzyna Zietał – dyrektorka Centrum Archiwistyki Społecznej. Debatę poprowadzi Justyna Dźbik-Kluge.

W drugim dniu spotkania przedstawiciele archiwów społecznych opowiedzą o tym, jak ich działania przyczyniają się do budowania wspólnoty lokalnej i wzmacniania więzi społecznych. Będzie można poznać działalność: Łatającego Archiwum Dolnego Śląska, Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”, Cyfrowego Archiwum Łódzian Miastograf.pl, Archiwum Społecznego Sulejówka, Wirtualnego Muzeum Historii Żydów w Białowieży, Archiwum Historii Audiowizualnej Warmii i Mazur,

Dźwiękowego Archiwum Kcyni oraz Jednoróżecznego Archiwum Społecznego.

W programie znalazły się też warsztaty, m.in. na temat tworzenia archiwów społecznych i twórczych działań wokół nich.

Każdy ma historię do opowiedzenia

– Kongres to jedyne takie wydarzenie, gdzie spotykają się – również online – archiwiści społeczni z całej Polski, a także po prostu osoby zainteresowane historią lokalną i aktywnością w swoich społecznościach. Obok siebie zasiadają dokumentaliści muzyki wiejskiej oraz przedstawiciele archiwów opozycji demokratycznej w PRL. Wszyscy chcą dokumentować ważne dla siebie tematy. I to jest w tej dziedzinie najpiękniejsze – mówi Katarzyna Zietał.

Archiwistka społeczna Jadwiga Stefańska pracuje teraz wraz z grupą pasjonatów historii nad publikacją o powstaniu wielkopolskim 1918-1919 w parafii Czeszewo, w której skład wchodziło także Orzechowo.

Swoje zbiory ma szansę powiększyć także archiwum społeczne w Gdańsku. – Podczas istnienia Stoczni przewinęło się przez nią prawie 150 tys. ludzi,

a każdy człowiek ma swoją historię do opowiedzenia – podkreśla Anna Miler.

– Gdzie ma szukać repertuaru młody muzyk? Nasza przyszłość to wspieranie właśnie młodych, zarówno jeśli chodzi o repertuar, jak i nagrania z nimi – mówi Małgorzata Bieńkowska. – Niech działają, grają, jest ich coraz więcej – dodaje prof. Andrzej Bieńkowski. ©

ANNA MARYJEWSKA jest muzealniczką, redaktorką, bibliotekarką, w Centrum Archiwistyki Społecznej zajmuje się rozpowszechnianiem wiedzy na temat pracy archiwistów społecznych oraz popularyzacją zbiorów fotograficznych.

IV Kongres Archiwów Społecznych odbędzie się w dniach 24-25 września. Udział w wydarzeniu jest bezpłatny. Aby uczestniczyć w nim online, należy zarejestrować się na stronie kongres.cas.org.pl.

ORGANIZATOR:

 **centrum archiwistyki społecznej**



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Sportu

IV KONGRES ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY, DZIEDZICTWA NARODOWEGO I SPORTU

REDUTA POD WYSOKĄ

Mogłoby się wydawać, że o kampanii 1939 roku wiemy niemal wszystko.
Ta historia pokazuje, jak wiele jest jeszcze do ustalenia.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

BYŁO KILKA MINUT PO DZIEWIĄTEJrano, 2 września 1939 r., gdy kapral Antoni Samujło dostrzegł wyłaniające się zza wzgórza sylwetki czołgów – kilka, kilkanaście, po chwili kilkadziesiąt.

Walka trwała już od paru godzin. Do armaty, którą dowodził Samujło, kończyła się amunicja. Kilka niemieckich maszyn na przedpolu płonęło. Leżący obok niego przy celowniku 23-letni kapral Franciszek Dziuba – w cywilu pracownik poczty w Rozwadowie koło Stalowej Woli – zaliczył tego dnia już kilka trafień. Kolejny atak ruszył prosto na nich.

Nieopodal nich bronili się ułani z Krasnika (wbrew nazwie, nie używający już

koni), a także ochotnicy w góralskich spodniach z parzenicami i przybyli z południa żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza. Od tego, czy utrzymają swoje pozycje, zależał los południowego skrzydła polskiej Armii „Kraków”.

Na podhalańskiej flance

Cofnijmy się o kilka tygodni. Latem 1939 r. polskie dowództwo uzupełniało plany wojenne. Po tym, jak III Rzesza podporządkowała sobie Słowację, przewidywano, że atak na Polskę może nastąpić także od południa. Sformowano pospiesznie trzy jednostki, nazwane Brygadami Górskimi Strzelców. Górskie były głównie z nazwy: włączono do nich

ściągnięte ze wschodu oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza (formacji przewidzianej do osłony wschodnich rubieży) i bataliony Obrony Narodowej (terytorialne oddziały złożone z młodych ochotników i starszych rezerwistów), wzmocnione nieliczną artylerią.

Komendę „Pododcinka nr 1 Sucha” – pod tą nazwą ukryto dowództwo 1. Brygady – objął dawny legionista, płk Janusz Gaładyk. Podlegały mu dwa pułki piechoty KOP (jeden obsadzał dolinę Soły; zasłynął później obroną Węgierskiej Górki) oraz bataliony ON z Żywca i Zakopanego. Gdy wybuchła wojna, brygadę wsparli ochotnicy: robotnicy budujący „zakopiankę” i miejscowi górale,



którzy zgłosili się, by bronić rodzinnych domów.

Przeciwnik był silniejszy. 1 września przez Orawę i Podhale ruszyły setki czołgów Wehrmachtu: 2. Dywizja Pancerna, 4. Dywizja Lekka (zmotoryzowana) i maszerująca za nimi 3. Dywizja Górską. Tego dnia płk Gaładyk telefonował do sztabu Armii „Kraków”: „Cała dolina Orawy pełna setek czołgów, samochodów pancernych i transportowych, sunących na Jabłonkę, Spytkowice i Czarny Dunajec. Nie zrozumcie mnie źle, 1. Pułk KOP spełni rolę Leonidasa, ale myślcie o swoim skrzydle i tyłach”.

Czarna Brygada

Dowódca brygady nie przesadzał. Mógł przeciwstawić Niemcom zaledwie garść armat i karabinów przeciwpancernych, a kierunek ataku już pierwszego dnia wojny groził – w razie przełamania obrony – że przeciwnik rychło pojawi się pod Krakowem, na tyłach rozwiniętej na Śląsku i pod Częstochową Armii „Kraków”. Świadomy zagrożenia, jej dowódca gen. Antoni Szylling natychmiast wysłał na południe swoje odwody, w tym ten najsilniejszy: 10. Brygadę Kawalerii.

10. Brygada – w 1939 r. jedyna w pełni zmotoryzowana wielka jednostka Wojska Polskiego (tworzenie drugiej, Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, przerwał wybuch wojny) – jednostką kawaleryjską była tylko z nazwy. Tworzyły ją pułki ułanów i strzelców konnych (konnych też tylko z nazwy), dywizyjony rozpoznawczy, przeciwpancerny i artylerii, kompanie czołgów i tankietek, saperzy i działa przeciwlotnicze – łącznie kilkadziesiąt pojazdów pancernych i ponad

4,5 tys. ludzi, w pełni zmotoryzowanych i wyróżniających się ubiorem: pancerniackie kombinezony, hełmy niemieckiego wzoru (pozostałe z I wojny światowej) i czarne skórzane kurtki, od których przyjęła się nazwa „czarna brygada” (na marginesie podkreślmy, że wbrew pokutującym przez lata opiniom, w 1939 r. w jednostkach kawalerii Wojska Polskiego koń był wprawdzie w użyciu, ale jako środek transportu; żołnierze tych jednostek walczyli pieszo, a sporadyczne szarże związane były np. z próbami przebicia się z okrążenia).

Tamtego dnia dowódca „czarnej brygady” płk Stanisław Maczek otrzymał rozkaz: nie wypuścić wroga z górskich dolin, nie przepuścić za linię Myślenice-Dobczyce. Już 1 września po południu małopolskimi drogami mknęły na Podhale kolumny pojazdów. Na czele, jako pierwszy, szwadron dział przeciwpancernych porucznika Wiesława Kiersza. Wśród nich – działon kaprala Samujły.

Trzy szturm Wysokiej

Po zajęciu pierwszego dnia wojny Spytkowic, żołnierze wiedeńskiej 2. Dywizji Pancernej kierowali się na północ, w stronę Jordanowa. Drogę zagrodzili im kopiści i górale. „Dobre wojsko te dwa baony KOP, a nawet ci pełni zapалу, choć niemal z gołymi rękami górale, za starzy lub za młodzi do wojska regularnego, a ochotą zapelniający kompanie Obrony Narodowej” – pisał we wspomnieniach Maczek. I dodał: „Nie zawiedli”. *Kriegsschüler*, „uczniami szkoły wojennej”, nazwą potem Niemcy broniących Wysokiej żołnierzy z kompanii szkolnej KOP kpt. Jana Batorskiego.

Obrońcy obrzucają z bliska niemieckie czołgi granatami i butelkami z benzyną – w 1939 r. użyto tej broni, która zasłynęła później jako „koktajle Mołotowa”. A przede wszystkim: trafiają w cel pociski armat, notując trafienia karabiny przeciwpancerne wzór 35 (to jedna z legend tej kampanii, wciąż wzbudzająca niekończące się dyskusje pasjonatów). Na konto rekordowego tego dnia działania, dowodzonego przez plut. pchor. Józefa Mroza, strzelającego z dobrze ukrytego stanowiska między zabudowaniami wsi Wysoka, zapisano aż 13-14 trafień (według innego źródła – osiem).

Czołgi cofają się, przegrupowują, wznowiają natarcie, przejeżdżają przez linie obrony KOP, ale odbijają się od głównej linii, której bronią żołnierze 10. Brygady. Część czołgów rusza w stronę armaty Samujły. Przy celowniku leży Dziuba. Aby lepiej zamaskować armatę, zdjęli płytę pancerną, nie są więc chronieni. Dziubę, który od ukończenia gimnazjum pracował na pocztę, powołano do wojska z rezerwy. Teraz, poruszając pokrętłami, mierzy do kolejnych czołgów. Wiele uszkadza, pięć rozbija. Gdy ginie prowadzący natarcie niemiecki oficer, atak się załamuje.

Trzeci szturm rusza z dwóch kierunków. Czołowy atak kieruje się na rozpoznane polskie stanowiska; spada na nie ogień artylerii i czołgowych dział. Jeden z batalionów pancernych rusza inną drogą: osłonięta zasłoną dymną kolumna objężdża polskie pozycje, przekracza dolinę strumienia i atakuje z flanki. Na skrzydło głównej linii polskiej obrony w jednej chwili wypada kilkadziesiąt pojazdów.

Niemieckie czołgi z 2. Dywizji Pancernej ruszają w stronę Spytkowic, w tle płoną góralskie chaty. Zdjęcie wykonane prawdopodobnie w rejonie wsi Jabłonka, 1 września 1939 r.





Unieruchomiony niemiecki czołg w dolince potoku we wschodniej części Wysokiej. 2 września 1939 r.

U góry: zniszczona armata przeciwpancerna. Jej obsługą dowodził kpr. Antoni Samujło, a celowniczym był kpr. Franciszek Dziuba. Na stoku Wysokiej, 2 września 1939 r.

Polski sukces taktyczny

→ Na skraju polskiej linii stoi jedna tylko armata Samujły, z resztkami amunicji – zabrakło czasu, by uzupełnić ją po poprzednim starciu. Na nią wypada kilka tuzinów maszyn wroga. Choć Niemcy koncentrują na niej ostrzał, jej obsługa walczy: otwiera ogień, strzela do potężnej sylwetki czołgu Panzer IV.

Tak ich ostatnie chwile zapamięta dowódca, porucznik Kiersz: „Na armatę kpr. Samujły skupia się ogień artylerii i szeregu czołgów. Po kolei padają drzewa rosnące w rejonie działu. W jakiś czas pada jeden ze strzałów artyleryjskich kilkanaście kroków przed st. ul. Dziubą (kpr. Samujło został ciężko ranny w brzuch i w nogę) [i] gdy chmura dymu ustępuje, oddaje on ostatnim pociskiem strzał celny do najbliższego czołgu. Natychmiast potem trafia pocisk artyleryjski w jego armatę i pada on trupem”.

Ginie Dziubę (przełożony zapisał błędnie jego stopień), pada śmiertelnie ranny ułan Stanisław Broś, amunicyjny. Ciężko rannego Samujłę znosi dowódca szwadronu wraz z ułanem Jakubem Młodzińskim – jedynym z obsługi tej armaty, który wychodzi z bitwy cało. Przeżył ją także dowodzący kompanią szkolną KOP kpt. Batorski, ciężko ranny ponoć aż jedenastoma odłamkami.

Niemieckie czołgi prą dalej. 300 metrów wyżej, pod szczytem wzgórza, ustawiono kolejne stanowisko ułanów: dwa cekaemy, których ogniem kieruje kapral Wincenty Dziechciarz. Strzelają celnie: ich przeciwpancerne pociski eliminują trzy czołgi. Gdy obsługa jednego z cekaemów ginie, Dziechciarz ją zastępuje i trafia kolejne dwie maszyny. Po chwili i on ginie.

Mimo poświęcenia żołnierzy kpr. Samujły i drużyny kpr. Dziechciarza – oraz innych – Niemcy odrzucają obrońców, zajmują Wysoką i wkrótce Jordanów. Ale

placą za to wysoką cenę: 35 zabitych (kilku kolejnych umrze z ran), kilkakrotnie więcej rannych i 45-50 unieszkodliwionych czołgów, w tym większość pod Wysoką (spora część wróci do służby po naprawie gasienic i uzupełnieniu załóg). To rzadki w 1939 r. przypadek, gdy straty niemieckie i polskie są porównywalne – wskutek przewagi technicznej przeciwnika i trudności w ewakuacji rannych zwykle straty polskie były kilkakrotnie większe.

Dla strony polskiej jednak kluczowe jest tu coś innego: bitwa pod Wysoką zatrzymuje Niemców na cały dzień. Także w kolejnych dniach brygada Maczka i strzelcy Gaładyka powstrzymują Niemców w beskidzkich dolinach, zajmując kolejne pozycje obronne pod Skomielną Białą, Lubniem i Mszaną Dolną. Opóźniając przeciwnika, osłaniają skrzydło armii, dając jej czas na wycofanie się ze Śląska pod Kraków i zajęcie nowej linii obrony.

Zagadka kaprała Dziechciarza

Postacie Samujły i Dziuby na lata zniknęły w niepamięci. Najbardziej znanym bohaterem tego boju został bowiem Dziechciarz. Stało się to za sprawą Franciszka Skibińskiego, szefa sztabu 10. Brygady. Ten autor wydanych w 1979 r. w Polsce wspomnień „Pierwsza Pancerna”, obdarzony dobrym piórem, ukształtował obraz walk pod Wysoką (inaczej niż Maczek, Skibiński wrócił do kraju). Choć pamięć miał świetną, opisując po latach bitwę, którą pamiętał z perspektywy sztabu, scalał kilku ułanów w jedną postać kaprała Dziechciarza, który w jego relacji miał zniszczyć ogniem armaty siedem czołgów.

Rozwiania wątpliwości wokół najbardziej znanego bohatera walk pod Wysoką nie ułatwiła plotka, że Dziechciarz przeżył. Była to plotka poniekąd prawdziwa, bo w 10. Brygadzie było dwóch Wincentych Dziechciarzy. Jeden poległ na Wysokiej, drugi dożył podobno spokojnej starości. Przeżył też Antoni Samujło – ciężko rannego wynieśli kole-dzy – jednak on nigdy nie wypowiadał się publicznie o bitwie.

Nie wyjaśniły sprawy dokumenty 10. Brygady – zachowane, ale w Londynie, w latach PRL niedostępnym dla krajowych badaczy. Tam, w jednej z teczek, leżał podpisany przez Maczka wniosek o odznaczenie Dziuby Virtuti Militari.

Sprawę odznaczenia dla zapomnianego pocztowca przypominano dopiero

niedawno. W kwietniu 2017 r., 78 lat od wybuchu wojny, nadany przez władze RP na uchodźstwie Order Wojenny Virtuti Militari o numerze 12139 przekazał rodzinie Franciszka Dziuby p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jan Józef Kasprzyk.

Cmentarny chaos

O ile zagadkę kaprała Dziechciarza rozwiązano – i przypomniano nazwiska innych bohaterów tamtego dnia – o tyle pozostała jeszcze jedna tajemnica: gdzie pochowano Dziubę i Brosia?

Wracający po walce do domów górale zastali zniszczone gospodarstwa i żołnierskie groby, rozrzucone po polach Wysokiej i Spytkowic. Potem, w latach 1940-41, zaczęło się porządkowanie grobów niemieckich: mogiły z całej południowej Polski przenoszono na zbiorowy cmentarz w Bielsku. Być może to zapoczątkowało legendę (opowiadaną w wielu miejscach wrześnieowych walk, także w okolicy Wysokiej) o ogromnych niemieckich stratach i wywożeniu ciał ciężarówkami. Pozostały polskie mogiły, rozsiane w miejscach walk.

Co działo się dalej i jak powstał istniejący dziś na Wysokiej cmentarz wojenny – jeden z dwóch w Małopolsce odrębnych cmentarzy wojennych z 1939 r., podobnych do założen znanych z I wojny światowej (drugim jest uroczysko Osikówka w Puszczy Niepołomickiej; pozostałe wpisane w cmentarze parafialne bądź w kwatery z Wielkiej Wojny) – prześledził dr Piotr Sadowski, autor monografii bitwy jordanowskiej, odtwarzający losy żołnierzy Maczka, w tym listę poległych. Jego śladem prześledźmy archiwa.

Zniszczenia i straty czasu wojny, w tym także groby wojenne, ewidencjonowano w Małopolsce po raz pierwszy tuż po 1945 r.: w rozsyłanych przez urzędy wojewódzkie ankietach zapisywali je wójtowie i sołtysi. Dziś są często wartościowym źródłem, opisującym losy nawet małych miejscowości – o ile się zachowały (tu: tylko częściowo). Niektóre wypełniano skrupulatnie, inne niekoniecznie – bywało, że poległych, których dało się jeszcze zidentyfikować, spisano jako bezimiennych.

Najdokładniejsze informacje zapisano – to częsta sytuacja w przypadku żołnierzy września 1939 r. – w parafialnych księgach (choć i tu nie zanotowano wszystkich poległych). Szczęśliwie był



ZBIORY RODZINY FRANCISZKA DZIUBY

Franciszek Dziuba, zdjęcie z lat 30.

wśród nich Wincenty Dziechciarz, pochowany „na wzgórzu zwanym Dział” wraz ze swym podkomendnym. Zapisano przy nich: „udokumentowani metalowymi tabliczkami” (czyli tzw. nieśmiertelnikami). Niestety nie wszyscy żołnierze je otrzymali (prawdopodobnie nie dostał ich KOP), ale kilku udało się rozpoznać dzięki dokumentom lub relacjom ludności. Jest i kolejna zagadka: z jednego z grobów podniesiono dwa ciała (spalone) i pochowano w Jordanie, przypuszczalnie przy pierwszowej mogile; ich nazwisk nie ustalono. Spekulowano też, że mogło ich być nie dwóch, lecz sześciu lub siedmiu.

Grób pod boiskiem?

Nie udało się wyjaśnić sprawy, gdy w 1949 i 1950 r. prowadzono komasację wrześnieowych mogił, przenosząc do Wysokiej szczątki poległych żołnierzy polskich (jak się potem okazało, nie tylko ich). Nie szukano chyba dokładnie: wmurowana w 1955 r. tablica zawierała tylko 15 nazwisk, innych przeoczono – zapewne przez zaniedbanie urzędników. I zapewne wtedy zaginęła bezpowrotnie część dokumentów żołnierzy, złożonych w urzędzie parafialnym – ostatni raz widziano je w 1949 r.

Z pomocą przychodzą relacje – wspomnienia najstarszych mieszkańców pamiętających wojnę lub przynajmniej ekshumacje z 1949 r. – oraz dokumenty: zbierane w kraju materiały ZBoWiD (te przyniosły nazwisko partyzanta, pochowanego tu w 1945 r.), sowieckie (w nich odnaleziono nazwisko Polaka służącego w Armii Czerwonej, zmarłego w 1945 r.

w pobliskim szpitalu polowym) i wyciągnięte z londyńskich archiwów akta r.o. Brygady. Dzięki badaniom dr. Sadowskiego i staraniom rodzin poległych znamy dziś nazwiska 28 z 35 żołnierzy spoczywających na Wysokiej.

Ale wiemy też o sześciu poległych, których na cmentarzach „brakuje” – są wśród nich kapral Dziuba i ułan Broś. Czy przeniesiono ich, jako „spalonych”, do Grobu Nieznanego Żołnierza w Jordanie, czy też spoczywają jako NN na Wysokiej? Czy może pochowano ich w nieznanej do dziś mogile, gdzieś między gospodarstwami? Wskazywało takie miejsce kilku świadków, ale poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

Pojawił się kolejny trop: zdjęcie żołnierzy Wehrmachtu, kopiących lub zakopujących dół w pobliżu rzędu niemieckich grobów. Wskazówka wydała się obiecująca: opis wykonany przez niemieckiego żołnierza i widoczny na zdjęciu teren wskazywały na okolice dworu w Wysokiej – w miejscu, gdzie obecnie jest boisko. Choć dziś to zaskakuje, zdarzało się chowanie obok siebie żołnierzy polskich i niemieckich. Bywało, że po ekshumowaniu w 1940 r. Niemców pamięć o pochowanych w sąsiedztwie Polakach zanikała. Kolejne stare zdjęcia ujawniły jednak, że to nie Wysoka – chodzi o inne miejsce, w Radłowie (także na szlaku 2. Dywizji Pancerniej, lecz daleko od Wysokiej).

Gdzie zatem pochowano Franciszka Dziubę i Stanisława Brosia? Ta zagadka czeka na wyjaśnienie.

■ ■ ■

Wydawać by się mogło, że o wydarzeniach kampanii 1939 r. wiemy już niemal wszystko. Tymczasem przypadek Wysokiej nie jest wyjątkowy: braki w dokumentacji i zaniedbania z czasów PRL-u sprawiają, że wielu żołnierzy tamtego września pochowano bezimiennie. Jest jednak nadzieja, że dokładne poszukiwania mogą przywrócić im tożsamość i opowiedzieć ich historię.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

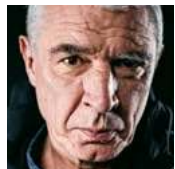
Korzystałem z prac Piotra Sadowskiego „Jordanów 1939” (Pcim 2019) i Jerzego Majki „Brygada Motorowa płk. Maczka” (Rzeszów 2004).

Autor jest historykiem, pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji Oddziału IPN w Krakowie.

ANDRZEJ

Stasiuk:

Trochę z życia



LEJE OD TYGODNIA. WISI BURE NAD DOLINĄ i upuszcza szare strugi. Wszędzie brązowe ślimaki. Jeden nawet w samochodzie na kierownicy. Jakim cudem? Jakies zimne Macondo, bo na termometrze 12 stopni. Owce prawie nie wychodzą spod dachu.

Jak trochę ustaje, to wydreptują na krótki posiłek i zaraz z powrotem do suchego. I jeszcze te ślimaki łażą im po jedzeniu. No, jednym słowem – wieś. Gdy leje, to się siedzi jak na jakimś statku. Trzeba było nie wyrzucać telewizora czterdzieści lat temu, myślę wpatrzony w zasłonę dżdżu za oknem. Włączyłbyś sobie jakiś elegancki program i patrzył, jak ludzie żyją, a nie się gapił na ponurą aurę i na psie kupy, których nie da się przecież sprzątnąć, gdy spada piętnaście litrów na metr kwadratowy. Patrzyłbyś sobie na eleganckie kobiety i wytwornych mężczyzn, jak od siódmej rano z przejściem oddają się dyskusjom na temat współczesnego świata. Cali opaleni i ubrani od stóp do głów w najnowsze stroje. A tak – siedzisz jak dziad w brudnych belgijskich bojówkach i za całe towarzystwo masz ślimaki i melancholijne stadko owiec.

I jeszcze pompa się zepsuła. Z nieba się leje, a w domu ani kropli wody. Absurd istnienia. Będę podstawiał wiadra pod rynnę, myślę, i jakoś dam radę. Długie lata czerpałem wodę ze zwykłej studni i nosiłem do chałupy. Raz wpadł do niej kot i się utopił. Piliśmy tę wodę tygodniami. Miała dziwny zapach. No, ale kto w latach osiemdziesiątych minionego wieku przejmował się zapachem wody? Nie to co teraz. Wypłynął po jakimś czasie. Wyciągnąłem go i pochowałem. I dalej piliśmy tę wodę, aż zapach zniknął. A teraz przejmuję się jakąś pompą, że jej się sterownik na czerwono świeci, woda leci jak krew z nosa... No, ale w końcu przyjechali chłopcy z serwisu i mówię: „Zepsuła się”. A oni:

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu, pod sygn. akt I Ns 189/21 toczy się postępowanie z wniosku Heleny Łatawiec z udziałem Małgorzaty Melova, Piotra Kowalczyka, Gminy Grębów i Skarbu Państwa – Starosty Powiatu Tarnobrzkiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Wydrzy gm. Grębów, oznaczonej jako działka ew. o nr. 987/2 o pow. 0,1302 ha oraz o nr. 990/2 o pow. 0,15 ha.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszycy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

OGŁOSZENIE

„Siedemnaście lat ma”. „Jezu” – westchnąłem. Ale zleciało... Wykopałem wtedy sześć studni. Ręcznie. Za pomocą studniarzy, oczywiście. Żyłaści, drobni faceci, żeby mieścili się w szybie. Mieli kilofy i łopaty na krótkich styliskach, bo przecież tam w dole ciasno, wąsko, trochę więcej niż metr. Urobek wyjeżdżał na górę w wiaderku. Trochę to przypominało początek filmu „Aż poleje się krew”. Sześć studni. Największa miała siedem metrów.

Ach, to był ten legendarny czas, gdy podziwiałem różdkarzy. Chodzili w medytacyjnym skupieniu po łące z rozwidlonym patykiem w dłoniach i w końcu orzekali: „Tu. Na pięciu metrach jest”. Prawdą jest, że jako obdarzeni nadnaturalną mocą, nigdy nie chcieli pieniędzy. No więc kopaliśmy. Im głębiej, tym robiło się bardziej sucho. Głina, il i łupek. W tej siedmiometrowej było sucho jak na Saharze. Studniarz krzyknął z głębi: „Gaz idzie!”. „Jaki?” – zapytałem. Wyciągnął zapalniczkę, przyłożył do szczeliny i pstryknął. „Niepalny” – zawołał. Poczulem podziw i szacunek. Ale miałem już trochę dosyć nadprzyrodzonej mocy oraz archaicznych i bohaterkich zawodów. Poprosiłem banalnych geologów. Przyjechali z mapami i powiedzieli: „Mniej więcej na 30 metrach jest woda. Trzeba się tylko przebić przez flisz i mamy warstwę wodonośną. Jakies trzy dni wiercenia”. Przyjechała maszyna i wierciła. Woda była na 29 metrach. Odetchnęliśmy, bo dom bez wody to jest trudna sprawa.

Trochę jak teraz. „Jaką pan chce pompę? – zapytali chłopcy z serwisu. – Czeską czy holenderską?”. „A która ma szansę mnie przeżyć” – spytałem z kolei ja. „Holenderska, oczywiście. Ale jest droższa” – odpowiedzieli. „Dobrze. Niech będzie ta holenderska” – zgodziłem się skwapliwie.

A zaraz potem się okazało, że komin jest zatkany. Chciałem rozpać, bo ten deszcz, ślimaki i 12 stopni sprawiły, że się jakoś tak piwnicznie zrobiło. Jakbym na statku i zarazem w jakiejś pieczarze siedział. Dymilo się na cały dom, więc jak w pieczarze i przy ognisku. Dość prądawnie, jednym słowem. Zawsze lubiłem zapach bukowego dymu. Ale zima przecież nadejdzie zaraz po jesieni, więc zadzwoniłem do pana Mariusza, jedynego kominiarza w okolicy, któremu niestraszny jest nasz dach – stromy, wysoki i śliski.

Swoją drogą, studniarze i kominiarze mają ze sobą coś wspólnego. Ich zawody są pierwotne i starodawne. Zstępują w głąb ziemi w poszukiwaniu wody. Wspinają się na dachy, by utorować drogę ogniovi i ciepłu. Pan Mariusz nie odebrał, ale oddzwonił po godzinie: „Co tam, panie Andrzejku?”. „A nic. Zatkał się. Wie pan, buczyna nie do końca sucha” – odpowiedziałem. „No tak – odparł pan Mariusz. – I ten wylot komina trzeba w końcu ocieplić”. „Wiem. W końcu ocieplę – powiedziałem z lekkim poczuciem winy. – No, ale teraz prawie nie ciągnie...”. „No tak – odpowiedział pan Mariusz. – Tylko że ja teraz w Grecji jestem...”.

Pomyślałem, że to trochę dziwne, że kominiarze jeżdżą do Grecji. W tych swoich czarnych strojach, przeleciało mi przez głowę: „No to niech pan tam siedzi jak najdłużej. Tu leje, jest 12 stopni i wszędzie łażą ślimaki”.

©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 37/2021

W ruchu

**XXIII MAŁOPOLSKIE
DNI DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO**



By wreszcie powrócić do domu

BARBARA SADURSKA

NA POČĄTKU LUTEGO 1943 ROKU NAD MARCÓWKĄ WISIAŁY ciężkie chmury. Od trzech dni śnieg sywał z góry, z dołu i z boku. Marcówka była wtedy najwyżej położonym przysiółkiem Zembrzyc i jak zawiąło drogę, to człowiek był jak odcięty od świata. Dla jednych to było przekleństwo, dla innych wręcz przeciwnie. Jedno było pewne, że podczas tej burzy lepiej nie wychodzić z chałupy.

– Kto by się w taką pogodę pchał na świat, temu żadne przeszkody nie staną na drodze – zakaszła babka i wtedy młodsza pani Maria powiedziała:

– Zaczęło się – i złapała się za brzuch.

– Bartusiu – zwróciła się starsza pani Maria do mojego ojca, a on bez słowa wstał i wyszedł. Pan Franciszek, mąż pani Marii, i pan Jurek, ich jedyny syn, zrobili to samo.

Nie było mężczyzn całą noc, a była to noc tak straszna, że będę ją pamiętała całe życie. Na zewnątrz wył wiatr, a w chałupie krzyczała młodsza pani Maria, bo dziecko nie chciało się urodzić i dobrze, że była z nami starsza pani Maria, bo ona sama urodziła pięcioro dzieci i jeszcze przed wojną chodziła pomagać kobietom przy porodach. Nie przejmowała się, że jest wielką panią ze dworu w Jaszczurowej, tylko jak która dziewczyna miała ciężki poród, to ona brała swoją torbę i jechała nieraz nawet kilkanaście kilometrów. No, mówiąc wprost, miała doświadczenie w tych sprawach i jak jej synowa powiedziała, że się zaczęło, to doskonale wiedziała, co ma robić.

No i w taką noc, straszną zimową noc urodziła się nasza panienka Marysia. Małeńka taka i słaba. Wyglądała jak kociątko i pierwsze, co sobie pomyślałam, to że nie przeżyje. Ale ona najpierw rozdarła się na całe gardło, a potem przyssała się do młodszej pani Marii.

– W czepku urodzona – powiedziała moja babka i wtedy było już wiadomo, że ta dziewczynka przeżyje i że się z niej doczekamy wielkiej pociechy.

To był czterdziesty trzeci rok, we dworze w Jaszczurowej panoszyli się Niemcy i wszyscy w Zembrzycach wiedzieli, że Thetschlom grozi kara śmierci, bo najpierw pan Franciszek Thetschel odmówił podpisania volkslisty, a potem pan Jurek, czyli młody pan Thetschel, uciekł z niemieckiej niewoli i do końca wojny działał na fałszywych papierach.

– I przez te papiery mało co nie wpadł – powiedział jego ojciec ochryłym głosem.

– Ale nie wpadł – dogadała mu pani Thetschlowa. – A ty nie kracz, bo jeszcze się Marysia przestraszy i straci pokarm.

Pan Franciszek spojrział na synową, na wnuczkę i nic już nie powiedział.

To był prawdziwy cud, że młodzi państwo Thetschlowie, pan Jurek z panią Marią, znaleźli nas w Marcówce. Chodzili po domach i pytali ludzi, gdzie się ukrywa Franciszek Thetschel z żoną, ale ludzie wiedzieli, że mają nie mówić i nikt im nie powiedział. A młodsza pani Maria była już wtedy w dziewiątym miesiącu i nie chciała rodzić z dala od rodziny. Więc przyjechali i pytali, i kiedy już całkiem stracili nadzieję, a pan Jurek zaczął szukać noclegu w Zembrzycach, wtedy na drodze, ot, tak po prostu, spotkał swoją siostrę, Zosię. Szła przez Marcówkę i niosła jedzenie, bo u nas było bardzo biednie i czasem naprawdę nie było co jeść. I to Zosia

przyprowadziła Jurka i młodszą panią Marię i to dzięki niej u nas w chałupie urodziła się nasza panienka Marysia.

– Skoro jej niestraszna zawierucha, bieda, wszy i gruźlica, to ona niczego się nie ulęknie. Zobaczcie, będzie skakała przez płotki i przeskoczy każdy płot – tak powiedziała moja babka, siedząc w kącie i kaszląc w szmatkę.



MATERIAŁY PRASOWE MIK

Fragment rozdziału
„Pałac Thetschlów w Jaszczurowej”
z książki „W ruchu” Barbary Sadurskiej

84 Barbara Sadurska
BY WRESZCIE POWRÓCIĆ DO DOMU

85 Rozmowa
z Joanną Nowostawską-Gyalóky
MAŁOPOLSKA W RUCHU

86 **MAŁOPOLSKA W KADRZE**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 37/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmńska, Marta Filipiuk-Michniewicz | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLaSu

KOREKTA: Katarzyna Domin, Maciej Szklarczyk

Na okładce: Kira Pietrek, MIK, plakat XXIII Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego

PARTNERZY: małopolski
instytut
kultury

MIK

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA



KLAUDYNA SCHUBERT / MATERIAŁY PRASOWE MIK

Fragment witrażu Józefa Mehoffera w budynku Kasy Oszczędności Miasta Krakowa, 1932 r.

Małopolska w ruchu

JOANNA NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY

Wiele osób jest spragnionych nie tylko swobody przemieszczania się, ale przede wszystkim możliwości spotkania z innymi. A to kluczowy aspekt Dni Dziedzictwa.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Dlaczego tym razem Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego są „w ruchu”?

JOANNA NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY: W zeszłym roku pandemia nas unieruchomiła, a Dni Dziedzictwa musiały odbyć się w formie filmów pokazywanych online. Dla wszystkich członków naszego zespołu stało się oczywiste, że w tym roku musimy ruszyć się z domu, bo to chyba nasze wspólne marzenie. Pojawiło się tylko pytanie – czym właściwie jest ruch, o którym chcemy opowiedzieć.

Urasta u Was do metafory świata, który nie może ustać w miejscu.

Podróżowanie, które od razu przyszło nam do głowy, to tylko jeden z aspektów ruchu. Dlatego szybko pomyśleliśmy o innych jego rodzajach, np. w kontekście przekazywania na odległość słów i myśli

– stąd budynek Poczty Polskiej w Krakowie. Albo ruch, obrót pieniędzy, a więc budynek Komunalnej Kasy Oszczędności Miasta Krakowa. Czy przyjmowanie i organizowanie życia gości w letnisku założonym przez niezwykle operatywne małżeństwo, Marię i Franciszka Thetschlów w Jaszczurowej pod Wadowicami.

Franciszek Thetschel, syn Franza i Heleny, odziedziczył majątek po rodzicach, którzy przybyli tu, podobnie jak wielu obywateli Galicji, za interesami. Kupili folwark z browarem i gorzelnią, rozbudowali go i unowocześnili, wzniesli wspólnie pałac. Następne pokolenie nienagannie prowadziło folwark i otwarty przez siebie pensjonat, by przekazać schedę następcom. Ale przyszła wojna, a tuż po niej nacjonalizacja majątków. Wszystko stracone. I jeszcze nakaz wyjazdu daleko od majątku, w ich przypadku na tzw. Ziemię

Odzyskane... Dzieje rodziny Thetschlów niczym w soczewce skupiają losy podobnych im rodów.

Ale są też lokomotywy, stacje kolejowe...

Sposoby przemieszczania się w różnych epokach to fascynujący temat, bo same środki lokomocji mocno determinowały życie milionów ludzi w różnych epokach. Rozwój kolei w naszym regionie przebiegał powoli i etapami przez całą drugą połowę XIX wieku i początek XX. To miało znaczący wpływ na rozwój poszczególnych miejscowości.

Główni bohaterowie książki Barbary Sadurskiej „W ruchu”, która towarzyszy tej edycji, to postaci fikcyjne.

Ale prawdopodobne! A realia, w których żyją, są oddane bardzo wiernie.





MATERIAŁY PRASOWE MIK

Poczta Główna w Krakowie
w kadrze z filmu „Bądźmy w kontakcie!”

Małopolska w kadrze

SĄ MIEJSCA, DO KTÓRYCH PAŃSTWA nie możemy zaprosić, bo na przykład trwa remont albo kondycja obiektu na to nie pozwala. Niekiedy chcemy też opowiedzieć o budynku, którego już nie ma, jednak pamięć o nim dalej żyje. Dlatego ponownie zdecydowaliśmy się wyruszyć w teren z kamerą.

Najpierw na szlak, który doprowadzi do Babiogórskiego Ośrodka Historii Turystyki Górskiej na Markowych Szczawinach. Tu poznamy historię zdobywania jednej z najbardziej fascynujących gór Beskidów – Babiej Góry. Opowiemy, kim byli pierwsi wędrowcy, z jakimi warunkami się mierzyli i gdzie szukali schronienia.

Później udamy się do gmachu krakowskiej Poczty Główniej. Ten doskonale znany wszystkim krakowianom budynek na rogu ulic Wielopole i Westerplatte dziś stoi u progu wielkiej zmiany. Wkrótce stanie się hotelem, choć w pomieszczeniach od strony ulicy Wielopole będzie nadal funkcjonował Urząd Pocztowy Kraków. Poczta, jaką znamy sprzed lat, z listami, przesyłkami i centralą telefoniczną, przestaje być potrzebna. Choć zmienia się funkcja, budynek pozostaje jednym z najciekawszych zabytków architektury Krakowa. Kamera pokaże wnętrza powstałe w XIX wieku jeszcze za c.k. monarchii, przebudowane w międzywojniu.

- **11 września 2021 (sobota), 10.00**
premiera filmu „Tu byłem” o Muzeum Turystyki Górskiej na Markowych Szczawinach w Zawoi
- **18 września 2021 (sobota) 10.00**
premiera filmu „Bądźmy w kontakcie!” o Poczcie Główniej w Krakowie

Filmy dostępne na kanale YT i FB Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie.

→ **Nie są to też herosi swoich epok.**

Autorka celowo wybrała na narratorów ludzi prostych – dzięki temu można opowiadać o wielu rzeczach z zupełnie innej perspektywy, niż to znamy z podręczników do historii. Tam wszystko jest nadmuchane, pełne patosu, co wymusza nabożny stosunek do przeszłości. A nam chodziło o pokazanie codziennego życia naszych przodków. Bo przecież w większości nie pochodzimy z możnych rodów – nasi protoplaści najprawdopodobniej byli chłopami, służącymi albo rzemieślnikami. A o ich świecie wiemy bardzo niewiele.

Bo też rzadko zostawiali po sobie dokumenty pisane – dzienniki czy listy.

To prawda, dlatego musieliśmy sięgnąć po literaturę, sfabularyzować ich biografie. I tu Basia naprawdę wykonała kawał porządnej roboty. Dzięki niej udało się rozbić wiele schematów myślenia.

Zapewne taka perspektywa nie wszystkim przypadła do gustu.

Gospodarze niektórych miejsc opisywanych w książce z pewnością byli lekko zaskoczeni. „Trochę mało o tym naszym obiekcie... Inaczej to sobie wyobrażaliśmy” – słyszałam kilka razy.

Nie ma u Barbary Sadurskiej chronologicznej historii – kiedy miała miejsce budowa, przebudowa, odbudowa...

Czyli tego wszystkiego, co zappełnia drobnym drukiem powszechnie ignorowane tablice informacyjne.

No właśnie! Chcieliśmy zupełnie inaczej opowiedzieć o tych wspaniałych miejscach, pomijając chronologię i faktografię, którą łatwo sprawdzić w internecie. Ważniejszy dla nas był duch tych miejsc, ich klimat i ludzie go tworzący.

Te opowieści są też bardzo plastyczne.

To znowu ogromna zasługa Basi, która umie pisać obrazami. Zanurzając się w jej opowieści, wchodzimy jednocześnie w przestrzeń, możemy ją zobaczyć, ale też usłyszeć i poczuć.

Np. Park im. Henryka Jordana w Krakowie – czytając książkę Basi, odkryłem, że nic nie wiedziałem o tym miejscu, a bywam tam często z córką. Parki jordanowskie to w ogóle fenomen, a mało osób zdaje sobie sprawę,

skąd się wzięły. Henryk Jordan pochodził z niegdyś znaczącej, ale niezbyt zaможnej rodziny o tradycjach patriotycznych. W 1861 r. za udział w narodowych manifestacjach groziło mu wyrzucenie ze szkoły, a był zdolnym młodzieńcem. Dlatego maturę zdał w Trieście. Studia rozpoczął w Wiedniu i kontynuował w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po ich ukończeniu wyjechał do Niemiec, potem do Stanów Zjednoczonych, by zdobyć praktykę w zawdzie lekarza, ginekologa i położnika. Początkowo zarabiał na życie grając na fortepianie w restauracjach. Z tych pieniędzy otworzył własną praktykę lekarską, pojechał też w podróż naukową po placówkach medycznych Ameryki.

Pod koniec XIX w. pojawiały się tam pierwsze, rewolucyjne jak na tamte czasy, idee odnośnie zdrowia. Coraz powszechniejsze stawało się przekonanie, że ruch i dbanie o kondycję ma wielki wpływ na nasze zdrowie i życie. Jordan zafascynował się przede wszystkim gimnastyką szwedzką dla dziewcząt, stała się ona jego pasją. Dlatego później postanowił powalczyć o przeniesienie na krakowski grunt parku gier i zabaw ruchowych. I był to pierwszy tego typu park w Europie.

Odnioł prawdziwy sukces.

Tak, i to nie tylko jeśli chodzi o otwarcie parku, sfinansowanego zresztą z własnych funduszy. Był naprawdę znakomitym lekarzem. Przyjmował porody kobiet bogatych i biednych. Pochwalił go nawet sam cesarz! Otrzymał od niego tytuł radcy dworu, a także Order Żelaznej Korony III klasy. Odtąd nazywano go „Bocianem Habsburgów”, bo przyjmował wiele porodów na cesarskim dworze.

Wróćmy jednak do jego najbardziej znanego dziś dziecka – parku.

Czy sam w nim bywał?

Ponoć codziennie. Pod wieczór za jeźdźcą z żoną dorozką i doglądał, jak ćwiczą dzieci i młodzież – wizytował wszystkie dwanaście boisk (a boiskami wówczas nazywano po prostu przestrzenie do wykonywania różnych ćwiczeń ruchowych), potem także trzynaste, utworzone na Błoniach. Najdłużej zatrzymywał się przy ósmym, gdzie chłopcy grali w futbol – kolejny pomysł, który podpatrzył i przywiózł z podróży,

w tym przypadku z niemieckiego Brunszwiku w 1890 r.

I też się przyjął.

Gra stała się na tyle popularna w całej Galicji, że już po paru latach zaczęto rozgrywać mecze między drużynami z różnych miast. Pierwszy odbył się na Błoniach, Kraków grał przeciwko Lwowowi. Oczywiście na początku nie było ani strojów, ani specjalnego obuwia – zdarzało się grać nawet w lakierkach. Młodzi zawodnicy szybko jednak zaczęli kombinować na własną rękę, np. obcinając nogawki spodni.

Czyli polski futbol zrodził się przy krakowskich Błoniach.

I nie tylko futbol. Szybko zaczęła pojawiać się infrastruktura do uprawiania innych sportów. Po wiele z gimnastycznych urządzeń Jordan sam jeździł za granicę. Jednak w całym tym przedsięwzięciu nie aspekt organizacyjny był najważniejszy. Wiedział, że dzieci najchętniej ćwiczą nie dla uprawiania samego sportu, lecz dla zabawy. Dlatego tak ważne było wymyślenie poszczególnych gier, do których czasem potrzebowano rekwizytów. Naczelnym ogrodnikiem parku miał pod swoją pieczę specjalny schowek, gdzie trzymał najróżniejsze sprzęty, które można było wypożyczać. Szkoda, że się nie zachowały, podobnie jak same budynki parkowe czy arcyciekawy błądźnik – labirynt, w którym dzieci mogły krążyć, by znaleźć drogę do celu. Mamy nadzieję przywrócić tę zabawę na Dni Dziedzictwa.

W zeszłym roku pandemia pokrzyżowała Wam plany.

Ubiegłej wiosny nie mogliśmy, po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat, zaprosić ludzi do zwiedzania naszego regionu. Najzgorzalsi fani zasypywali nas pytaniami o kolejny termin, a my byliśmy bezradni. Ostatecznie stanęło na wersji internetowej – nakręciliśmy jedenaście filmów o ciekawych miejscach związanych z muzyką.

Trafiłiśmy z kamerą do dworu Ignacego Jana Paderewskiego w Kąsnej Dolnej, do synagogi w Bobowej i do przepelnionego muzyką dawną Biecha. W Zakopanem opowiedzieliśmy o Atmie, ukochanym domu Karola Szymanowskiego, o pracowni lutniczej rodziny Mardulów, o kształcącej lutników Szkole Plastycznej im. Antoniego Kenara i o Czerwonym

Dworze, w którym mieszkał sam Artur Rubinstein. W Krakowie odkryliśmy muzyczną historię Starego Teatru oraz słynnego Pałacu pod Baranami. To oczywiście namiastka prawdziwych odwiedzin, ale z drugiej strony dzięki kamerom mogliśmy zobaczyć miejsca zazwyczaj nieosiągalne, jak również zarejestrować wiele szczegółów, które zazwyczaj umykają uwadze podczas tradycyjnego zwiedzania.

Wszystkie miejsca, które można odwiedzić w czasie Dni Dziedzictwa, mają swoich gospodarzy.

Gospodarzy i przewodników. Nasi goście rzadko obcytują się przed podróżą w literaturze fachowej, o szperaniu w archiwach nie wspominając. A dzięki przewodnikom możemy w pełni poczuć klimat danego miejsca – nie tylko poznać jego historię, ale również usłyszeć mnóstwo bezcennych opowieści. Mało kto dziś np. prowadzi dzienniki podróży albo szuka materiałów informacyjnych – zazwyczaj robimy jedynie zdjęcia. A szkoda, bo sporo tracimy.

Przywracacie wspaniałą i niestusnie zapomnianą praktykę krajoznawstwa.

Łatwość w zdobywaniu informacji w internecie, a także ich potężna ilość nie sprzyja uważności i zaangażowaniu, które kiedyś towarzyszyło wycieczkom i zwiedzaniu. Zresztą w tym roku jednym z udostępnianych obiektów jest Muzeum Turystyki Górskiej na Markowych Szczawinach w Zawoi – miejsce mocno związane z PTTK. To instytucja szczególnie mi bliska, za młodu byłam nawet prezeską szkolnego oddziału!

Czyli jesteście żywym dowodem, że takie inicjatywy owocują w przyszłości miłością do swoich małych ojczyzn.

Dlatego od początku stawiamy na edukację dzieci i młodzieży.

Jeszcze 10-15 lat temu krajoznawstwo trochę trąciło myszką – rozklekotane autokary, kanapki z jajkiem i zakurzone gabloty...

Ta forma zwiedzania jest cały czas żywa. Ale dostrzegam też zainteresowanie innym podróżowaniem, odkrywaniem bliskiego dziedzictwa wśród ludzi młodszych. Wszystko zależy od podejścia. Wgryzając się w lokalną historię

można odkryć mnóstwo fascynujących wątków, aktualnych tu i teraz. Np. historia transportu zbiorowego – w tym roku pokazujemy drogę żelazną nr 103 i stację w Regulicach – uruchamia wątki klasowe, opowiada o przemianach społecznych i ekonomicznych czy o problemach z wykluczeniem wolniej rozwijających się regionów. Używamy tych miejsc i narosłych wokół nich narracji jako wytrychów do zrozumienia dzisiejszego świata i nas samych.

Można poczuć ciągłość pokoleniowych doświadczeń.

Bo tak naprawdę mniej różnimy się od naszych przodków, niż się nam to często wydaje.

Dni Dziedzictwa odbywają się już od 23 lat – całe pokolenie zdążyło dorosnąć wraz z Wami.

I to dosłownie. Dziś współpracujemy z wieloma osobami, które swoją przygodę z historią regionu zaczynały z nami jako dzieci naszych gości albo wolontariusze Dni Dziedzictwa. Potem skończyły studia – historię sztuki, architekturę, turystykę – i wrócili do nas z nowymi pomysłami.

Zatoczyliście pokoleniowe koło.

I jesteście gotowi na kolejną rundę.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



JOANNA NOWOSTAWSKA-GYALÓKAY ukończyła filologię węgierską na UJ. Pracowniczka Małopolskiego Instytutu Kultury, od ponad dziesięciu lat członkini zespołu organizującego Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego, redaktorka serii książek towarzyszących temu wydarzeniu, w tym ostatnio książki autorstwa Barbary Sadurskiej „W ruchu”.

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego 11-12 i 18-19 września 2021

Pełny program na www.dniedziedzictwa.pl

KOGO ŚMIESZY WIRUS

W pierwszym okresie pandemii COVID-19 nie mieliśmy ani leków, ani szczepionek, które mogłyby ją zatrzymać. Ale, na szczęście, wielu z nas nie zabrakło poczucia humoru.

ŁUKASZ JACH

WE WPISIE NA FACEBOOKU RATOWNIK MEDYCZNY ze szpitala na Dolnym Śląsku zachęcał: „Nawet w pandemii zarażaj poczuciem humoru”. Czy jednak na temat covidu wypada żartować? Mówi się, że „śmiech to zdrowie”, a w ostatnim czasie prawie niczego nie pożąda się tak bardzo jak zdrowia. Pandemia to jednak podłoże osobistych i społecznych niepokojów, a także przyczyna wielu tragedii, przez co jest ona dość „śliskim” tematem dowcipów. Cokolwiek myślimy jednak o stosowności pandemicznego humoru, samo jego istnienie jest faktem. Liczne badania prowadzone ostatnio pokazują, że od początku pandemii COVID-19 jak świat długi i szeroki pojawiały się na jej temat setki żartów. Naturalnym środowiskiem powstawania i rozprzestrzeniania się tych dowcipów był oczywiście internet, a największe natężenie humoru pandemicznego było obserwowane w trakcie pierwszej fali zakażeń. Teraz, gdy mówi się o fali numer cztery, zjawisko powstawania nowych żartów znacznie osłabło. To zatem dobry mo-



VIRGINIA MAYO / AP / EAST NEWS

ment, by z perspektywy czasu nieco bliżej przyjrzeć się fenomenowi humoru pandemicznego.

Szczepionka uśmiechu

Na długo przed pandemią COVID-19 psychologowie zwracali uwagę na rolę humoru jako czynnika pomagającego radzić sobie z codziennymi wyzwaniami. Patrzenie na rzeczywistość przez pryzmat komizmu pozwala dostrzec wieloaspektowość spotykających nas wydarzeń, przez co słabnie tendencja do

widzenia świata w sztywnych, „czarno-białych” kategoriach. W wielu życiowych sytuacjach z żartów korzystamy też podobnie jak z powerbanku, pozwalającego podładować nasze zasoby psychiczne, by łatwiej stawiać czoło kolejnym wyzwaniom.

Takie narzędziowe podejście w czasie covidowej pandemii propagowali wśród swoich kolegów po fachu lekarze z Brigham and Women's Hospital oraz Harvard Medical School w Bostonie. Na łamach branżowego czasopisma „Foot&Ankle International” podpowiadali, jak najlepiej wykorzystać walory humoru. Pierwsza ze wskazówek mówiła: „miarkuj go, ale nie wyłączaj” i przestrzegała przed tym, by nie tracił on swoich pozytywnych właściwości wskutek zbyt częstego używania. Bostońscy lekarze zachęcali do wykorzystywania śmiechu na bazie własnych doświadczeń ze szpitalnego pola zmagania z COVID-19. W bardziej jednak systematycznych badaniach przeprowadzonych przez zespół Suzanne Rose pracownicy służby zdrowia faktycznie przyznawali, że żartowanie w pracy obniża poziom odczuwanego przez nich napięcia związanego z codziennymi zadaniami.

Znaczenie humoru w stawianiu czoła pandemicznym trudnościom wziął pod lupę również tu-recko-brytyjski zespół

badaczy. W maju 2020 r. Mehmet Saricali i współpracownicy zmierzili w liczącą blisko 800 osób próbę mieszkańców Turcji poziom strachu przed COVID-19, refleksyjności, korzystania z humoru w codziennym radzeniu sobie oraz poczucia utraty nadziei. Analiza uzyskanych danych wykazała, że ludzie z większą refleksyjnością oraz częściej korzystający z humoru cechowali się słabszą tendencją do utraty nadziei. Co więcej, refleksyjność i humor pełniły rolę buforów osłabiających relacje pomiędzy strachem przed covidem a widzeniem przyszłości w czarnych barwach. Utrata nadziei jest czynnikiem ryzyka depresji i tendencji samobójczych, w trakcie pandemii zaś ludzie mieli jednak wiele powodów, by przestać wyczekiwać kolejnego dnia z optymizmem. Zdaniem autorów badania tym bardziej istotne jest więc pokazywanie, że codzienne posługiwanie się humorem może pomagać w zachowaniu psychicznej równowagi.

Okazuje się jednak, że humor humorowi nierówny. W klasycznej już koncepcji stylów humoru wyróżnia się humor afiliacyjny (nastawiony na wzmacnianie więzi z innymi ludźmi), humor w służbie ego (ukierunkowany na poprawianie własnego samopoczucia), humor agresywny (skoncentrowany na komunikowaniu przykrych treści) oraz humor samodeprecjonujący (oparty na podkreślaniu własnych słabości). Przeprowadzone →

*Muzeum Historii
Naturalnej
w Brukseli,
maj 2020 r.*

→ przez amerykańskich psychologów Andrew R. Olaha i Thomasa E. Forda badanie wykazało, że ludzie stosujący w trakcie pandemii COVID-19 humor afiliacyjny oraz humor w służbie ego odczuwali niższe napięcie, mniej upadali na duchu, a także częściej stosowali środki ochronne, takie jak zachowywanie dystansu społecznego. Tendencji do humoru afiliacyjnego towarzyszyło ponadto obniżone poczucie zagrożenia. Style agresywne i samodeprecjonujące nie wykazywały związków z poczuciem zagrożenia i stresem pandemicznym. Ludzie, którzy preferowali tego rodzaju humor, cechowali się wręcz wyższym poczuciem utraty nadziei i rzadziej stosowali środki zapobiegawcze.

Autorzy badania uważają, że umiejętność stosowania poszczególnych stylów humoru można trenować. Uzyskane przez nich wyniki pokazują zaś, że w trakcie pandemii to nie humor prowokacyjny, ostry jak szpilka i pełen ironii, ale raczej ten nastawiony na podkreślanie własnych pozytywnych cech i pielęgnowanie relacji z innymi ludźmi może być szczególnie pomocny.

W objęciach socjopaty

O czym jednak żartowano w trakcie pandemii? Ciekawego przeglądu tematów pojawiających się w pandemicznych żartach dokonała Tsafi Sebba-Elran z Uniwersytetu w Hajfie, która przeanalizowała zbiór kilku tysięcy memów krążących wśród mieszkańców Izraela w okresie od lutego do grudnia 2020 r. Badaczka zauważyła, że wraz ze zmieniającą się dynamiką pandemii modyfikacjom ulegały również tematy dowcipów. Te pierwsze odnosiły się często do chińskich źródeł koronawirusa i zalecanego ograniczania społecznych kontaktów. Żartowano choćby z tego, że osobę oferującą na ulicy darmowe uściski jeszcze w 2019 r. określano by jako empatyczną, ale już kilka miesięcy później zasługiwałaby ona na miano socjopaty. Dla odważnych i wygimnastykowanych pojawił się wtedy również obrazkowy podrećnik „koronasutry”, zalecający tylko te pozycje miłosne, przy których pomiędzy twarzami partnerów zachowana jest odległość 1,5 m.

Kiedy w Izraelu pojawiły się pierwsze zidentyfikowane przypadki COVID-19, zaczęto żartować na temat śmierci z powodu choroby oraz osób wracających z zagranicy. Kolejna fala dowcipów doty-

czyła zamykania działalności szkół, sklepów i przedsiębiorstw oraz wydłużonego czasu pozostawania w domu. Flagowymi tematami były wtedy np. przybieranie na wadze oraz robienie zapasów. Za ikonę tego rodzaju żartów można uznać papier toaletowy, często przedstawiany jako uniwersalna waluta oraz wymarzony prezent. Inną ikoną był leżący na kanapie człowiek z pilotem telewizyjnym w ręku, opisywany jako bohater leniuchujący w imię powstrzymywania pandemii. Potem nastąpił przyrost dowcipów łączących pandemię z polityką, technologią i kontrolą państwa nad obywatelami.

Jeśli chwilę poszperać, podobne tendencje dostrzeżemy również na polskim podwórku. Z analiz izraelskiej badaczki wypływa jednak bardzo ciekawa diagnoza – im więcej związanych z COVID-19 obostrzeń wprowadzały władze, tym bardziej kreatywni byliśmy i coraz więcej w memosferze pojawiało się pandemicznych dowcipów. Sam okres pomiędzy ogłoszeniem restrykcji a rozprzestrzenianiem się pierwszych dowcipów na ich temat trwał niekiedy zaledwie kilka godzin. Obrazuje to poziom czujności osób tworzących internetowe dowcipy, ale również i społeczne potrzeby związane z żartobliwymi komentarzami na temat sytuacji pandemicznej.

Warianty lokalne

Żarty na temat COVID-19 wielokrotnie ujawniały swój charakter w powiązaniu ze specyficznymi, lokalnymi uwarunkowaniami. Przykładowo, zespół Joela M. Torresa analizował dowcipy, które w okresie pandemii pojawiły się na Filipinach. Mieszkańcy tego wyspiarskiego kraju często zmagają się z silnymi tajfunami, a władze zalecają wtedy opuszczanie zagrożonych klęską żywiołową terenów. Nieprzypadkowo właśnie tam pojawił się dowcip mówiący, że „problem z Filipińczykami polega na tym, że kiedy mają się ewakuować, nikt nie chce opuścić swoich domów. Ale kiedy nakaże się im pozostać w domu podczas kwarantanny, wszyscy chcą wyjść”.

Znakiem pandemicznych czasów były też izraelskie żarty dotyczące relacji międzypokoleniowych. W kraju, w którym od dekad promowane jest posiadanie liczного potomstwa, a przeciętna liczba dzieci w rodzinach wyraźnie przekracza wartości typowe dla in-

nych krajów zachodnich, całodziennie zamknięcie z domownikami stało się szczególnie wdzięcznym tematem dowcipów i ujawniało potrzebę „spuszczenia powietrza”. Dokonana przez Dafnę Lemish i Nelly Elias analiza ujawniła tu cztery podstawowe wątki. Pierwszy z nich komentował trudności związane z opieką nad dziećmi i obfitował w treści dotyczące wyczerpania, utraty kontroli, a nawet rodzicielskiej wściekłości. W tego rodzaju dowcipach pojawiał się m.in. temat brutalnej rezygnacji z rodzicielstwa, czego przejawami były sformułowania takie jak: „Zdecydowaliśmy, że nie chcemy dzieci. Poinformujemy je o tym dziś wieczorem” albo „Každy, kto myśli, że kwarantanna doprowadzi do baby boomu, nigdy nie miał do czynienia z dziećmi”. Typowy był również wątek związany z fizycznym wyniszczeniem, obrazowany choćby zestawianiem twarzy promiennej Jennifer Aniston i zmęczonego rockandrollowym życiem Iggy’ego Popa jako zdjęć twarzy tej samej osoby przed i po sześciotygodniowym lockdownie.

Innym tematem były pomysłowe strategie radzenia sobie w nowej sytuacji. Pojawiały się m.in. memy przedstawiające kamuflujące piżamy we wzory zlewające się z obiciem kanapy albo nalepiane na lodówkach FAQ z odpowiedziami na najczęstsze i najbardziej irytujące pytania domowników. Kolejnym motywem sportretowanym w dowcipach była rola dziadków i wykorzystywanie ich do opieki nad dziećmi. W opozycji do nich pojawiały się zaś memy przedstawiające tańczące w deszczu babcie uwolnione od opieki nad wnukami. Osobny wątek stanowiły relacje pomiędzy rodzicami a nauczycielami oraz uroki (a raczej cienie) zdalnego nauczania. Zachęcano np., by gromadzić wszystkie stworzone w tym czasie przez dzieci prace plastyczne, a następnie hurtowo zasypać nimi nauczycieli po to, aby musieli je przeglądać i oceniać. Rodzice odnosili się też do typowych sytuacji szkolnych, które wcześniej były przez nich wyolbrzymiane. Wspomniano np., że po tygodniach zamknięcia z dziećmi zaczyna się rozumieć, iż źródło problemów edukacyjnych i wychowawczych nie zawsze tkwi jedynie w nauczycielach. Izraelskie dowcipy demaskowały mity, które rządzą naszym życiem na co dzień – te o rodzinnej sie-

lance, te o harmonijnych relacjach międzypokoleniowych, o posiadanych kompetencjach rodzicielskich oraz o posiadaniu cudownych i wzorowo wychowanych dzieciaków. Błażeństwo ukazujące bardziej szczerze oblicze rzeczywistości? To przecież wątek obecny w naszej kulturze od niepamiętnych czasów.

Badania przesiewowe

Niedawno w czasopiśmie „Humor” ukazał się artykuł, w którym Władysław Chłopicki i Dorota Brzozowska przeanalizowali pojawiające się w naszym kraju humorystyczne memy zawierające odniesienia do ikonicznych symboli i kultowych polskich komedii. Wątkami, wokół których tworzono te żarty, były m.in. podobieństwa pomiędzy regulacjami wprowadzanymi w epoce stanu wojennego a obostrzeniami pandemicznymi. Wyśmiewano również różnice pomiędzy oficjalnymi komunikatami formułowanymi przez władzę a codziennymi doświadczeniami „zwykłego Kowalskiego”.

W sieci pojawiły się grafiki przedstawiające uśmiechniętego generała Jaruzelskiego z podpisem „Więc powiadasz, że 13-go zamknęli granice?” oraz imitujące dawne kartki żywnościowe kupony uprawniające do spacerów, zakupów, wizyt w aptece oraz drobnych rozrywek. Obok Marysi z filmu „Poszukiwany, poszukiwana”, pytającej, ile nakryć na wigilijny stół ma przygotować dla policjantów kontrolujących gości, pojawia się przeróbka słynnej sceny z filmu „Miś”, w której grana przez Marka Siudyma postać mówi, że chciałaby nadać córce jakieś nowoczesne imię. Aktualnie nie brzmi ono bynajmniej „Tradycja”, lecz „Kwarantanna”. Zmieniające się z dnia na dzień informacje o sytuacji w kraju ilustrowano zaś kadrami z filmu „Dzień świra”, a niezrozumiałe regulacje dotyczące poruszania się na wolnym powietrzu scenami z „Seksmisji”, w których bohaterowie w skafandrach ochronnych przemierzają rzekomo skażony las.

Wyniki badań wskazują z jednej strony, że w trakcie pandemii posługiwaliśmy się humorem po to, aby dawać innym osobom odrobinę radości, z drugiej zaś, że kontakt z dowcipnymi przekazami faktycznie mógł poprawiać nasze samopoczucie i codzienne funkcjonowanie. Wydaje się jednak, że ta altruistyczna wizja motywacji do żar-



Z żartów korzystamy podobnie jak z powerbanku, pozwalającego podładować nasze zasoby psychiczne, by łatwiej stawiać czoło kolejnym wyzwaniom.

towania to tylko jedna z części humorystycznej, covidowej układanki. Na co dzień przydaje się wiedza na temat tego, którzy ludzie patrzą na świat podobnie do nas, a czyja wizja jest odmienna. Treści humorystyczne działają zaś niczym sondy do badania światopoglądów innych ludzi na tematy, o które pytanie wprost wydaje się być nieco ryzykowne. Po tym, gdy wybrzmiał dany dowcip, wystarczy jedynie czujnie śledzić, kto szczerze się z niego zaśmiał, na czyjej twarzy pojawił się grymas niesmaku, a kto rozpoczął polemiczną dyskusję z jego treścią. Prowadzenie światopoglądowego zwiadu za pomocą dowcipów ma jeszcze ten plus, że gdy robi się gorąco, zawsze można próbować zbagatelizować ich niepoważną treść. Można też powiedzieć, że przecież nie jest się autorem danego żartu, a jedynie się go powtarza. Ale zebrana dzięki niemu społeczna wiedza zostanie z nami na przyszłość.

Poglądów, które dzieliły społeczeństwo w trakcie pandemii, było oczywiście wiele. Różnił się np. opiniami co do przyczyn pandemii, sensowności wdrażanych środków zapobiegawczych, działań rządu i opozycji, skuteczności oraz bezpieczeństwa szczepionek czy wprowadzania przywilejów dla osób zaszczepionych. Z dnia na dzień stawało się dla nas ważne to, co na wymienione tematy sądzi nasz szwagier, kolega ze stu-

diów, kosmetyczka czy sąsiad mieszkający tuż za ścianą. Takim żartem z wbudowanym mechanizmem wykrywania osób o podobnych poglądach na temat covidowych szczepień mógł być np. mem ukazujący scenę narady z filmu „Rejs”, w którym postać grana przez Jana Himilbsbacha pyta, czy będzie można wybrać sobie czip szczepionkowy zgodny z oprogramowaniem telefonu komórkowego. Przekonania na temat rozmyślnego rozpętania pandemii można było sondować zaś poprzez wspomnianie, że wirus raczej nie będzie długotrwały, podobnie jak wszystkie inne rzeczy „made in China”.

Byliśmy twardzi

Czy humor dotyczący COVID-19 zostanie z nami na dłużej? Wiele wskazuje, że obecnie zjawisko to już zanika. Nie zależy nam też, żeby żarty o covidzie pozostały w naszej pamięci. Jakiś czas temu Lucía-Pilar Cancelas-Ouviña z Uniwersytetu w Kadyksie prowadziła badania nad rozsyłanymi przez aplikację WhatsApp koronawirusowymi memami. Niedługo po ich zakończeniu zapytała uczestników o to, czy zachowali w swoich telefonach komórkowych rozsyłane wcześniej, humorystyczne wiadomości. W większości przypadków odpowiedź uzyskiwana przez badaczkę była negatywna.

Mówi się jednak, że internet nie zapomina. Być może za kilka dekad do dowcipów na temat pandemii COVID-19 wrócą historycy i badacze kultury, a pandemiczne memy będą dla nich taką samą wizytówką przeszłości, jaką dla nas są dowcipy czasów okupacji powstałe w trakcie II wojny światowej lub żarty ukazujące życie codzienne w epoce PRL. Ich istnienie bywa podawane jako dowód, że ludzie żyjący w tamtych trudnych czasach byli twardzi i nie tracili hartu ducha. Zatem kto wie – może i nasze pokolenie dzięki dowcipom o koronawirusie ktoś w przyszłości sportretuje jako herosów walki o powszechne zdrowie.

© ŁUKASZ JACH

Autor pracuje w Instytucie Psychologii UŚ, zajmuje się badaniami z zakresu psychologii jakości życia, psychologii ewolucyjnej i psychologii nauki. Prowadzi seminaria magisterskie na temat psychologii humoru. W lipcu ukazała się jego książka „Od ucha do ucha. Homo sapiens się śmieje” (Wydawnictwo Poznańskie, seria „Zrozum”).

WŁADCY CHAOSU

Tak musiało się stać. Odpowiedź na zamachy z 11 września
nie była i nie mogła być racjonalna.
Na tym właśnie polegał diaboliczny geniusz terrorystów.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

BYLEM ZASKOCZONY, ŻE STRONA SEPTEMBERCLUES.INFO („wrześniowe poszlaki”) nadal istnieje. I to w niemal niezmienionej wersji! Dziś wygląda trochę jak eksponat w muzeum błyskawicznie zmieniającej się technologii, ale dekadę temu, kiedy w ramach projektu naukowego prowadziłem badania nad teoriami spiskowymi narosłymi wokół zamachów z 11 września, właśnie takie strony nadawały ton.

Starannie przygotowany raport o „fałszywych ofiarach” nadal wisi na swoim miejscu. Jego lektura wciąż okazuje się przeżyciem równie surrealistycznym jak dziesięć lat temu. Autor strony twierdzi, że zamachy były w rzeczywistości kontrolowanym wyburzeniem, w którym nikt nie ucierpiał, a 3000 ofiar to wygenerowane komputerowo fałszywe postaci. Miały wzbudzić wściekłość obywateli i usprawiedliwić inwazję na Afganistan i Irak.

Aby to udowodnić, pieczołowicie analizuje wszelkie dostępne fotografie ofiar (głównie ze stron poświęconych ich pamięci). Jeżeli udaje mu się znaleźć dwa bardzo podobne zdjęcia – jest to dowód, że dana osoba została wygenerowana komputerowo. Przecież nikt nie wygląda dokładnie tak samo na dwóch różnych fotografiach! Jeżeli dwa zdjęcia danej osoby bardzo się różnią, autor strony ogłasza, że są to w oczywisty sposób dwie całkiem inne twarze. Jeżeli w obiegu funkcjonuje tylko jedna fotografia, autor pyta, jak to możliwe? Czy nie mieli

żadnego innego zdjęcia? Jeżeli dana fotografia jest kiepskiej jakości, padnie pytanie, czy rodzinom nie zależało, żeby ich bliskich upamiętniała „porządna” fotografia? I tak dalej...

Niesamowity pokaz niewywrotnej intelektualnej samoróbki. Interpretacyjna partyzantka, która zuchwale rzuca wyzwanie politykom, mediom i ekspertom, obalając istniejący porządek i podsycając chaos. Brzmi absurdalnie, ale zwolenników tego rodzaju teorii w Ameryce nie brakuje. Septemberclues.info to wprawdzie radykałowie nawet w świecie tropicieli spisków (teoria o zasymulowaniu całych zamachów i braku ofiar jest wyszydzana nawet przez zwolenników innych wersji), ale już możliwość, że rząd uprzednio wiedział o zamachach albo nawet uczestniczył w ich przeprowadzeniu, wydaje się wielu Amerykanom prawdopodobna.

W badaniu przeprowadzonym w 2019 r. aż 23 proc. Amerykanów deklarowało wiarę, że zamachy z 11 września to „wewnętrzna robota” (ang. *inside job*). Co ważniejsze, tylko 45 proc. respondentów jednoznacznie odrzucało taką tezę, co zostawia sporą „szarą strefę” ludzi mniej lub bardziej poważnie rozważających wiarygodność spiskowych scenariuszy.

Strony takie jak septemberclues.info wytworzyły w USA specyficzną kulturę debaty, której znaczenie wykracza dalece poza interpretację wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Te same mechanizmy kontestowania oficjal-





BETH A. KEISER / AFP / EAST NEWS

nego porządku wyniosły do władzy Donalda Trumpa, a potem zmotywowały popolite ruszenie jego zwolenników do niesławnego zajazdu na Kapitol. Dziś analogiczne formy wyobraźni zbiorowej decydują o społecznym odbiorze pandemii, maseczek i szczepień.

Zamachy z 11 września były bez wątpienia wydarzeniem, które wpłynęło na losy świata. Zmieniły nie tylko historię polityczną, militarną czy gospodarczą, lecz przede wszystkim odwróciły nurt zbiorowej wyobraźni, na ruinach optymizmu lat 90. tworząc nową, straszką mitologię.

Tak musiało się stać. Odpowiedź na zamachy z 11 września nie była i nie mogła być racjonalna. Na tym właśnie polegał diaboliczny geniusz terrorystów.

Triumf Zachodu

Proszę państwa, 4 czerwca 1989 r. skończyła się na świecie historia. Można się spierać, czy dokładnie 4 czerwca i na jak długo, ale jej koniec był w tamtym momencie niepodważalnym faktem w zbiorowej wyobraźni większości mieszkańców poszerzonego właśnie Zachodu. Porażka komunizmu w kolejnych krajach bloku wschodniego, upadek Muru Berlińskiego, a potem rozpad ZSRR stworzyły (na krótki czas) świat jednobiegunowy, którego dominującą opowieścią była narracja o braku alternatyw dla liberalnej demokracji i neoliberalnego, kapitalistycznego modelu gospodarczego.

Ducha tamtych czasów doskonale ujmuje słynny „Koniec historii” Francisca Fukuyamy. Jest to jedna z najchętniej wyśmiewanych dziś książek, ochoczo przywoływana w publicznych debatach jako przykład chybiłego proctwa, które błyskawicznie się zdezaktualizowało. A jednak diagnoza ówczesnej mitologii, jaką postawił Fukuyama, była trafna i pozostała taka przez całe lata 90. – aż do zamachów z 11 września. „Liberalne demokracje zastąpiły irracjonalne pragnienie bycia uznanym za potężniejszego potrzebą bycia uznanym za równego – pisał Fukuyama. – Świat został przygotowany do tego, aby zrezygnować w pewnym zakresie z wojen, narody uznały bowiem prawo innych do równego traktowania”.

Diagnozę Fukuyamy można by więc sparafrazować następująco: fundamentalna siła napędowa historii, jaką było zderzanie się konkurencyjnych wizji politycznych, społecznych i ekonomicznych, przestaje mieć znaczenie, gdy pojawi się model umożliwiający racjonalne zarządzanie różnicami. Właśnie ➔

Akcja ratunkowa w gruzach World Trade Center. Nowy Jork, 13 września 2001 r.

→ teraz, przekonywał, ta oświeceniowa fantazja po raz pierwszy w dziejach ma szansę spełnienia.

Lata 90. przepełnione były optymizmem wynikającym z wiary w to, że ludzie są racjonalni. Walczący neoliberalizm stopniowo ustąpił miejsca neoliberalizmowi ekspansywnemu i uśmiechniętemu. „Groźnego” Ronalda Reagana zastąpił jako heros zbiorowej wyobraźni „fajny” Bill Clinton, tak jak Margaret Thatcher zastąpił Tony Blair. Wobec braku zewnętrznego wroga dominująca polityczna mitologia coraz bardziej skupiała się na równouprawnieniu i emancypacji. Wielość kultur stała się płynnym tworzywem, z którego każda jednostka samodzielnie miała ulepić swoją tożsamość. Na tym zamyśle opierały się nowe, postnarodowe polityki tożsamości oparte o ideę wielokulturowości. Kapitalizm ukazany był jako uniwersalna siła modernizująca i obietnica szczęścia dla wszystkich. Globalizacja – jako jednokierunkowa ulica wiodąca ku szczęściu. I to właśnie w ten optymistyczny model uderżyły 11 września samoloty.

Naśladowcy i kontestatorzy

Kultura, idee, przełomowe wynalazki i technologie – wszystko, co naprawdę istotne, rodzi się w Nowym Jorku lub Londynie, a następnie rozplywa na resztę globu. Oto model jednobiegunowego świata obowiązujący po zwycięstwie Zachodu w 1989 r.

Model ten został szczegółowo opisany w książce Iwana Krastewa i Stephena Holmesa „Światło, które zgasło”. Autorzy widzą w nim wyjaśnienie obecnych sukcesów Władimira Putina, Viktora Orbána czy Jarosława Kaczyńskiego, ale imitacja i sprzeciw wobec niej to ważny kontekst, który warto uwzględnić także w poszukiwaniu mitologicznego znaczenia zamachów z 11 września.

Po 1989 r. kraje peryferyjne, takie jak Polska, Rosja, Chiny, ale też cały świat arabski, sprowadzone zostały do roli naśladowców centrum. Nie ma żadnej „trzeciej drogi”, głosiła powszechnie uznana prawda. Po upadku komunizmu wszyscy zjechali na tę samą neoliberalną autostradę prowadzącą w przyszłość. Jedni dołączyli do niej później, inni wcześniej, ale ogólnie zmierzamy w tym samym kierunku.

Ten model zakładał, że zwycięstwo Zachodu jest tak naprawdę zwycięstwem

wszystkich. Jednak szybko pojawili się kontestatorzy. Krastew i Holmes przekonująco pokazują, że polityczne sukcesy Putina są związane właśnie z dokonaną przez niego reinterpretacją upadku ZSRR. Zachód proponował byłym krajom komunistycznym narrację wyzwolenia: wspólnie zrzuciliśmy jarzmo, w tej walce nie ma przegranych. Tymczasem Putin otwarcie opisywał rok 1991 w kategoriach porażki i wstydu. Putina i Bin Ladena różni niemal wszystko. A jednak sprzeciw wobec przymusu naśladowania Zachodu motywujący terrorystów jest analogiczny do tego podsycającego rosyjski imperializm. Westernizacja może przynosić wymierne korzyści, ale w gruncie rzeczy okazuje się nową formą kolonizacji. Suwerenność i duma są ważniejsze od zamożności. Kroczenie własną drogą stanowi wartość samą w sobie. Zamiast autostrady kontestatorzy zaproponowali świat rozwidlających się ścieżek i krzyżujących dróg.

Zamachy sprzed dwudziestu lat i współczesne antyliberalne tendencje w Europie Środkowo-Wschodniej mają wiele wspólnego. Nie chciałbym tu w żadnym razie kreślić upraszczających utożsamień talibów i nowych autorytaryzmów. Warto jedynie pokazać, że z punktu widzenia zbiorowej wyobraźni obydwie nurty mają wspólne źródło, a jest nim arogancja Zachodu przekonanego o uniwersalności i wyłączności swojego modelu.

Duch terroryzmu

Przy okazji zajęć z filozofii politycznej od wielu lat omawiam ze studentami fundamentalistyczne manifesty, w tym głośne „Zarządzanie chaosem” Abu Bakr Najiego (pod tym pseudonimem ukrywał się najprawdopodobniej jeden z wysoko postawionych przywódców Al-Kaidy). Opublikowana w 2004 r. broszura zawiera szczegółową instrukcję dla dżihadystów wraz z wyłożeniem podstaw tytułowej filozofii „zarządzania chaosem”.

Punktem wyjścia jest dla autora sytuacja opisana powyżej: jednobiegunowy świat oparty na nakazie naśladownictwa. Abu Bakr Naji twierdzi, że potęga Zachodu opiera się dziś na dwóch filarach: przytłaczającej przewadze militarnej oraz „medialnej aureoli”, którą wytwarzają wokół siebie państwa Zachodu. Dzięki tym dwóm czynnikom Zachód, a konkretnie USA, zdołały ulokować się w centrum świata. Alternatywą dla stworzonego przez Zachód po-

rządki nie jest jednak – a przynajmniej nie od razu – islamski kalifat, lecz chaos. Im więcej stref chaosu pojawiać się będzie na świecie, wieszcy terrorysta, tym słabsza stanie się wewnętrzna i zewnętrzna zdolność Zachodu do mobilizacji swoich zwolenników. „Ostatecznie nawet Amerykanie dostrzegą, że odległość centrum od peryferii jest kluczowym czynnikiem przyczyniającym się do możliwych wybuchów chaosu i brutalności”.

Ludzie stojący za koszmarnymi aktami barbarzyństwa swoje przemyslenia ubierali więc w język dwudziestowiecznej teorii społecznej, posługując się terminami „centrum” i „peryferie” z równą swobodą, jak cytatami z Koranu.

W książce „Duch terroryzmu” francuski socjolog Jean Baudrillard zachęca do tego, by odrzucić pośpieszne polityczne i społeczne interpretacje zamachów z 11 września, skupiając się zamiast tego na czystym obrazie. Terroryzm jest tak zaprojektowany – pisze Baudrillard – by w pełni wykorzystać potencjał mediów. Ludzie giną codziennie. Zabija ich malaria, wojny, nowotwory... Dla każdego, kto zagląda czasem do gazety, jest oczywiste, że niektóre rodzaje śmierci są bardziej spektakularne i medialne niż inne. Terroryści wykorzystują właśnie ten efekt. Baudrillard pisze wręcz, że ofiary terrorystów są ofiarami w najpierwotniejszym sensie tego słowa – to ludzie złożeni w ofierze. Ich śmierć była rytuałem, który miał dowieść, że w samym sercu Zachodu nikt nie może czuć się bezpiecznie.

Otwarcie deklarowanym celem terrorystów było więc wstrząśnięcie samym poczuciem stabilności – uderzenie w centralny mit przełomu tysiącleci, jakim była wiara w racjonalność świata i możliwość jego kontroli. W tym kontekście zamachy z 11 września zestawia się często z zupełnie innym wydarzeniem, na pozór bardzo odmiennym – z kryzysem finansowym z 2008 r. Pod wieloma względami dopełnił on dzieła terrorystów, którzy mają olbrzymie możliwości zadawania ran symbolicznych, ale stosunkowo ograniczone pole (bezpośredniego) działania w sferze ekonomii. Dla wielu Amerykanów i Europejczyków utrata kupionego na kredyt domu, pracy i zdobywanej latami pozycji społecznej stała się ostatecznym potwierdzeniem, że to terroryści mieli rację. Obietnica 1989 r. była fałszywa. Dobrobytu wcale nie starczy dla wszystkich. Nieustanny wzrost go-

spodarczy nie jest gwarantowany. Rzeczywistość nie jest jednokierunkową autostradą do raju.

Zderzenie cywilizacji

Terrorystyci osiągnęli swój cel. Oczywiście nie sami. Do upadku optymizmu przełomu wieków przyczynili się też nieodpowiedzialni bankierzy, cyniczni politycy i wizjonerzy z Hollywood poszukujący nowych, inspirujących opowieści. Ostatecznie jednak medialne zarządzanie chaosem w wykonaniu terrorystów znalazło swoje odbicie w nowej mitologii zyskującej popularność na całym obszarze szeroko rozumianego Zachodu – w jego centrum i na nowo zdobytych peryferiach, takich jak Europa Środkowo-Wschodnia. Zwykli Amerykanie spojrzeli na świat oczyma dzihadystów. Ośią powstałej w ten sposób nowej mitologii stała się bardzo stara opowieść o odwiecznym i wiecznym konflikcie cywilizacji.

W najnowszej wersji ta opowieść łączona jest przede wszystkim z nazwiskiem Samuela Huntingtona, autora opublikowanego w 1993 r. eseju „Zderzenie cywilizacji”. Huntington rzucał w nim otwarte wyzwanie Fukuyamie, prorokując, że świat zaleje wkrótce nowa fala wojen opartych już nie o podział polityczno-ekonomiczny (kapitalistyczna demokracja kontra komunizm), a o różnice kulturowe i religijne. Huntington przekonywał, że cywilizacje są jak żywe organizmy – mają swą młodość, dojrzałość i wiek sędziwy. Młode, aktywne cywilizacje rzucają wyzwania tym starym i zmęczonym. Dzieje się tak dlatego, że pierwotną zasadą świata jest walka. Wojna wszystkich przeciw wszystkim jest stanem normalnym.

Dominacja potężnego państwa czy imperium może na jakiś czas powstrzymać tę wojnę, lecz – niestety – to chaos, a nie ład, jest normalnym stanem rzeczy. Pokojowe, wielokulturowe społeczeństwo jest mrzonką, bo wojna wszystkich przeciw wszystkim zakłada ostatecznie zwycięzców i przegranych. Wszystkie współczesne debaty o zmierzchu hegemonii USA, starzejącej się (w różnych znaczeniach) Europie, obronie naszej cywilizacji, murach, przedmurzach i inwazjach to tylko różne warianty tej mitologii. Warto o tym pamiętać.

Przed 11 września esej Huntingtona i napisana na jego podstawie książka były zaledwie oryginalnymi spekulacjami

Myślenie spiskowe jest wymarzoną przez terrorystów odpowiedzią na akt terroru.

Tropicieli spisków nakręcają
wokół wydarzeń sprzed
dwudziestu lat niekończącą
się spiralę. I tak puste miejsce
po dwóch wieżach wciąż
funkcjonuje jako
otwarta rana.

lokalnymi lokującymi się poza głównym nurtem. Pomysł, że to religijni fundamentalści mogą okazać się kolejnym wyzwaniem dla Zachodu, był intrygujący, lecz zdawał się mało realny. Po upadku wież World Trade Center „zderzenie cywilizacji” z dnia na dzień stało się prawdą objawioną. Nowa wojna religijna była faktem.

Ważne, by pamiętać, że świadomie doprowadzili do niej ludzie myślący tak jak Huntington. Najpierw na surowych pustkowiach Afganistanu, a potem – w Pentagonie. Widmo „wojny wszystkich przeciw wszystkim” stało się nową zasadą tam, gdzie jeszcze kilka lat wcześniej powszechnie wierzono w „projekt wieczystego pokoju”.

Tropiciele

Przeskok od huntingtonowskiego zderzenia cywilizacji do stron takich jak septemberclues.info może się wydawać zaskakujący. Spróbujmy jednak pomyśleć o teoriach spiskowych szerzej, wczuć się w wyobraźnię człowieka, który spędza tygodnie czy miesiące życia analizując tysiące zdjęć. Świat tropicieli spisków to świat nieustannej walki. Walki o prawdę z fałszywą wersją oficjalną, ale też walki między poszczególnymi alternatywnymi interpretacjami. Tak postrzegane myślenie spiskowe jest zorganizowaną formą irracjonalności – okazuje się więc niczym innym jak zarządzaniem chaosem.

Warunkiem niezbędnym do rozkwitu teorii spiskowych jest upadek autorytetów. Centralna władza polityczna, ekonomiczna i medialna zostaje zdemaskowana nie tylko jako fałszywa, ale przede wszystkim jako słaba. Jednobiegunowość

świata okazuje się złudzeniem. W ten sposób myślenie spiskowe powtarza zarówno gest terrorystów, jak i Huntingtona. Oczywiście rozwój internetu dał tropicielom spisków zupełnie nowe narzędzia. Bez internetu nie byłoby kultury alternatywnych dociekań wokół 11 września lub byłaby ona zepchnięta do wąskiej niszy.

Świat teorii spiskowych to świat nowych, globalnych sieciowych połączeń. To świat wielu prawd, w którym każde zdanie (eksperta i amatora, profesora i hobbysty) okazuje się równoważne. Zrazem jest to świat przesycony silnym poczuciem konkurencji. Nie obowiązuje tu postmodernistyczna zasada „ty masz swoją prawdę, ja mam swoją”, lecz raczej poczucie, że prawda innych zagraża mojej prawdzie. Zupełnie jak w posthuntingtonowskiej polityce, gdzie między różnymi tożsamościami toczy się nieustanna walka, a emancypacyjna obietnica przełomu stuleci okazuje się fałszywa.

Teorie spiskowe można też interpretować jako bunt peryferii przeciw centrum. Znow: kluczowe znaczenie ma tu internet. To dzięki niemu struktura komunikacyjna w społeczeństwie zmieniła się z „gwiazdистой”, gdzie jedno centrum promieniuje na wszystkie peryferia, w „sieciową”, a więc umożliwiającą również poziome powiązania między użytkownikami bez pośrednictwa oficjalnych mediów. Tak właśnie działają media społecznościowe. Centrum – prasa drukowana, telewizja, politycy i eksperci – wciąż jeszcze dominuje w produkcji obrazów, jednak jego monopol komunikacyjny został przełamany.

Większość wyobrażeń składających się na imaginariusz teorii spiskowych to obrazy wytworzone w centrum – tropiciele spisków nieustannie analizują kilka dostępnych ujęć płonących wież wykonanych przez telewizyjne helikoptery. A jednak te obrazy przenikając ku peryferiom tracą po drodze pierwotnie przypisane im znaczenia. Można powiedzieć, że centrum wciąż ma (częściową) kontrolę nad samymi obrazami i tematami dyskusji, jednak nie sprawuje już władzy nad ich interpretacją.

Wszystko to sprawia, że myślenie spiskowe jest wymarzoną przez terrorystów odpowiedzią na akt terroru. Do pewnego stopnia powtarza ono i parodiuje strategię samych terrorystów („Najpierw jako tragedia, następnie jako farsa.”) Tropiciele →

→ spisków nakręcają wokół wydarzeń sprzed dwudziestu lat niekończącą się spiralę, z powodu której puste miejsce po dwóch wieżach wciąż funkcjonuje jako otwarta rana. Proces gojenia okazuje się niemożliwy, a coraz ostrzejsze podziały polityczne podsycają chaos. Niezgoda na „oficjalną wersję” nie jest bowiem zwyczajną polityczną różnicą opinii, lecz podważeniem prawomocności całego systemu liberalnej demokracji, który ustalał przyczyny tragedii i tropił jej sprawców.

Co dalej?

11 września był kluczowym wydarzeniem historycznym naszych czasów. Żyjemy w świecie ukształtowanym przez te zamachy, w świecie zdominowanym przez mitologię chaosu. Przyszłość wcale nie rysuje się w różowych barwach, a nasza tożsamość i nasze życie są nieustannie zagrożone przez jakichś obcych. Co ważne, mitologia chaosu opiera się na pozytywnym sprzężeniu zwrotnym. Politycy grający na chaos zyskują, ilekroć do władzy w innych częściach świata dochodzą inni politycy chaosu – świat staje się mniej stabilny, a oni mogą powiedzieć: a nie mówiłem?

Tyle że od upadku dwóch wież mija właśnie dwadzieścia lat. W świecie politycznych mitologii to naprawdę długo. Dość przypomnieć, że między 1989 a 2001 r. upłynęło tylko dwanaście lat, a była to cała epoka. Dlatego właśnie naprawdę interesujące pytanie brzmi: co dalej? Jaka będzie nowa polityczna mitologia, gdy wyczerpie się już zarządzanie chaosem? Wbrew naiwnym nadziejom niektórych polityków i komentatorów nie ma powrotu do tego, co było. Być może jednak możliwa do pomyślenia jest jakaś nowa oświeceniowa mitologia z mniejszą dawką samozadowolenia, a z większą dozą empatii i odpowiedzialności; mitologia polityczna mniej skupiona na celebrowaniu własnej wspaniałości, a bardziej na podejmowaniu nowych wyzwań.

Taka mitologia mogłaby wyrosnąć np. wokół walki z kryzysem klimatycznym, nierównościami albo wokół prób ucywilizowania chaosu, jaki fundują nam dziś niekontrolowane przez nikogo i nastawione wyłącznie na zysk media społecznościowe.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Żywoty milenialsów

ANNA CIEPLAK, PISARKA:

Gdy wiercimy we własnej przeszłości, przebijamy się przez jej kolejne warstwy, docieramy w końcu do miejsca, gdzie panuje wieczny czas teraźniejszy.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Tytuł Twojej książki, „Rozpływaj się”, brzmi jak zachęta. Kto miałby się rozpływać i dlaczego?

ANNA CIEPLAK: Nie planowałam historii pokoleniowej, ale siłą rzeczy moi bohaterowie są milenialsami, podobnie jak ty i ja. Pochodzą z jednego podwórka i byli wychowywani przez wspólną sąsiadkę – niepisaną królową dzielnicy. Przeplatałam ich losy w latach 1999-2019, więc dzieje się dużo. Interesowały mnie ścieżki życiowe, perspektywy, które się przed nimi otwierały bądź zamykały. Ich kondycję chyba można określić właśnie przy pomocy tytułowego rozpływanego się, które nieustannie im grozi.

To nie jest zachęta. A co im właściwie grozi?

Ciągłe wahanie i zawieszenie między światami – prawie wszyscy myślą, że muszą się w końcu zdefiniować, inaczej na zawsze utkną w niedookreśloności. Z jednej strony rodzina i kredyty, z drugiej poczucie, że to wszystko może łatwo się rozpaść. Niepewność to ich cecha wspólna.

Tak się właśnie dzisiaj opisuje nasze pokolenie.

Jeśli miałabym uprościć: rozchwianie byłoby naszą cechą charakterystyczną.

Kwantyfikatory pokoleniowe nie mają sensu poza publicystycznymi bitewkami. Jednak w przypadku Twoich bohaterów można mówić o pewnej klasie społecznej.

Czwórka, która pochodzi z Rudy Śląskiej, próbuje realizować pomysły na siebie. Ale nie ma już kanonu celów, do których należy dążyć, które można traktować jako życiowy sukces. Dwójka moich bohaterów wyjeżdża do Ustroja, gdzie znajdują pracę w turystyce. Nic wielkiego, hotel w prowincjonal-

nym kurorcie. Zapewne z perspektywy wielkomiejskiej kariery ciężko mówić o spektakularnym sukcesie, bo w ich życiu niewiele się zmienia. Mają własne mieszkanko na kredyt, ale na ten luksus muszą ciężko pracować. Z kolei Alina przeprowadza się do „bloku marzeń”, czyli Superjednostki w centrum Katowic – miejsca, które jej wydaje się idealne, bo za takie kiedyś uchodziło. Aspiracje to rzecz względna, wiele zależy od miejsca, z którego się zaczyna. W narracjach kulturowych, które nas zewsząd atakują, nie ma o tym słowa.

O Alinie, Marcelinie, Janku i Robertcie Netflix nie robi serialu.

Skąd wiesz? (*śmiech*) Żyją w świecie, który może wydawać się zwyczajny, ale czy to oznacza, że jest przewidywalny albo nudny? Ostatnio dużo się dyskutuje o historii ludowej, co mnie cieszy. Nadal jednak nie potrafimy przyjrzeć się ludzkiej wywodzącej się z tej klasy społecznej, żyjącym obok nas. A klasa ludowa w Polsce jest bardzo różnorodna. Sama pochodzę z Dąbrowy Górniczej, pisarką zostałam przypadkiem.

No ale dokonałaś awansu, więc masz prawo do takiej opowieści.

Nie o to chodzi, żebym się teraz klasowo dystansowała czy egzotyzowała, bo napisałam kilka książek. Większość mieszkańców dużych miast przyjechała przecież z mniejszych miejscowości za pracę. Współdzielę z nimi niepewność o przyszłość. Mieszkając tu, gdzie mieszkam, wciąż jednak utrzymuję kontakty z ludźmi z rodzinnego miasta. Dzielę z nimi wiele doświadczeń, ale też problemów, o których mało się mówi.

Na przykład?

Weźmy choćby przepracowanie i wypalenie zawodowe. Dyskutuje się o nim wyłącznie z perspektywy wielkomiej-



ANNA CIEPLAK jest pisarką, animatorką kultury i aktywistką miejską. Laureatka Nagrody Conrada i Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza za powieść „Ma być czysto” (2016). Właśnie ukazała się jej powieść „Rozpływasz się” (Wydawnictwo Literackie). Mieszka w Mysłowicach.

kiedy zostaje młodą matką, ale zmusza ją do tego sytuacja.

„Klasyczna rodzina” już nie jest potrzebna do szczęścia?

Problem z „klasycznymi rodzinami” jest taki, że chyba nigdy nie istniały, tylko kiedyś wierzyliśmy, że istnieć powinny. Większość ludzi, których znam, funkcjonuje w najróżniejszych formach patchworkowych. Jedni sobie radzą lepiej, inni gorzej, ale przecież o jakości relacji międzyludzkich nie decyduje ich formalny kształt, tylko poczucie, że potrafimy ze sobą rozmawiać i czuć się ze sobą dobrze.

Większość Twoich bohaterów żyje w gęstych, trudnych do nazwania konstelacjach.

Bo tak często wygląda życie. Gdy rozstajesz się z mężem, ale dalej mieszkacie razem, bo macie wspólny kredyt, to nie zastanawiasz się, czy tak powinna wyglądać „klasyczna rodzina”, tylko radzisz sobie na bieżąco z codziennymi problemami. Albo gdy jedyne, co masz, to mieszkanie babci, którego nie możesz sprzedać ani wynająć, bo *de facto* nie jest twoje, to jesteś, jak Robert, skazany na życie w rodzinnym miasteczku.

Ktoś kiedyś powiedział, że wystarczy zmienić pracę i wziąć kredyt.

Na początek polecam spróbować wynająć mieszkanie, gdy się zarabia 2300 zł na rękę. Nawet w Mysłowicach czy Sosnowcu wynajem kawalerki to koszt około 1500 zł. Rynek mieszkaniowy w Polsce determinuje życie bardzo wielu ludzi – znacząco zawęża możliwości. Żyją zamknięci w tu i teraz. Dlatego zrezygnowałam w książce z czasu przeszłego, bo on daje nam gotową i zamkniętą opowieść.

Fałszywą?

Nie, ale pełną elementów dodanych *ex post*: interpretacji, racjonalizacji i nadświadomości tego, co wydarzyło się

skiej klasy średniej czy pracy zdalnej. Gdy próbujesz wiązać koniec z końcem na prowincji, porady spod znaku „slow life” są czcze. Jeśli pracujesz, jak moja Marcelina, w małym hotelu, musisz wypruwać sobie żyły cały czas – nie po to, by awansować, tylko po to, by utrzymać pracę.

Słynne pytanie „jak żyć?” ciąży nad Twoimi bohaterami.

Jeżeli już chcemy upierać się przy definiowaniu pokoleń, to byłoby kluczowe pytanie dla milenialsów, przynajmniej tych moich. Próbuje różnych narzędzi, żeby uporządkować swoje życie, nadać mu sens – na przykład terapii czy ezoteryki. Niektórzy uciekają w nałogi. W tle krąży oczywiście widmo niepewności

ekonomicznej. Kończą się wymówki. Nie można wiecznie żyć nadziejami i obietnicami. Ani bez końca rozpaczać z powodu rozczarowania światem i dorosłością.

Ciekawe, że mało w nich gniewu, więcej rezygnacji.

Myślę, że wiele osób w Polsce żyje z bagażem trudnego dzieciństwa, przemocy, uzależnień i współuzależnień. Pretensje i rozliczanie innych (albo na odwrót: obwinianie siebie) to czasami jedyne narzędzia, by odreagować. Bunt nie zawsze jest prosty, szczególnie kiedy masz poczucie wstydu, że coś z tobą jest nie w porządku. Poza tym mnóstwo osób nigdy nie dostało wsparcia (choćby darmowej opieki psychologicznej) w chwili, kiedy go naprawdę potrzebowali. Alina staje na nogi,

→ się później. Opowiadanie w czasie teraźniejszym wydaje mi się bliższe temu, jak przeżywamy kluczowe dla naszego życia wspomnienia. Gdy wiercimy we własnej przeszłości, przebijamy się przez kolejne warstwy, docieramy w końcu do miejsca, gdzie panuje wieczny czas teraźniejszy.

Jeżeli nie potrafisz zamienić swojej przeszłości w opowieść, grozi ci rozpłynięcie?

Choroba Omamy, babci, która *de facto* pełniła rolę matki ich wszystkich, to ostateczne odcięcie pepowiny: konfrontacja z własnym życiem, wytyczenie dalszych jego ścieżek, ale też przepracowanie przeszłości. Szczególnie chodzi o te punkty węzłowe, momenty decydujące o dalszych losach. Moi bohaterowie mają z tym problem, ale walczą, próbują odbudowywać i porządkować relacje, szukać głębszego sensu. Być może ich problem polega na tym, że nie wierzą, by ktoś zechciał napisać o nich powieść?

Dla nich ważne jest, żeby nie okazać się nieudacznikiem?

Ten wątek powraca często przy okazji „Rozpływaj się”. Czytałam recenzje, w których wprost określano ich właśnie jako ludzi, którym w życiu nie wyszło. A przecież oni są właściwie zadowoleni ze swojego życia, żeby nie powiedzieć: szczęśliwi. To tylko pokazuje, jak toksyczna i bezsensowna jest kategoria „udacznictwa”. Wszystko zależy od wartości, jakie przyjmuje się za punkt odniesienia.

Za taki wyznacznik powszechnie uważa się sukces ekonomiczny.

Moi bohaterowie, podobnie jak wiele osób, które znam, dystansuje się od cnót kapitalistycznych.

Bunt?

Albo większa świadomość reguł gry niż kilkanaście lat wcześniej? Wiedząc, jaka może być cena takiego sukcesu, inaczej kanalizując energię życiową. Zwłaszcza że żyjemy w czasach, kiedy dobra konsumencie doprowadziły do kryzysu klimatycznego. Z drugiej strony łatwo tak dywagować, gdy ma się względnie stabilną sytuację ekonomiczną. Alina regularnie bierze chwilówki, koszmarnie oprocentowane. Przez to popada w jeszcze większe długi.

„Chwilówka trwaj”, mówi sobie w myślach.

Rynek mieszkaniowy
w Polsce determinuje życie
bardzo wielu ludzi
– znacząco zawęża
ich możliwości.
**Żyją zamknięci
w tu i teraz.**

Udaje, że to nic takiego, ale pewnie ma świadomość, że prędzej czy później przyjdzie komornik. Nie jest jednak tak, że walec kapitalizmu rozjechał bohaterów i teraz rozpaczają, bo nie spełniają wymogów przynależności do klasy średniej. W pewnym sensie jest wręcz odwrotnie – udało im się rzecz niezwykłą, bo nie stali się ofiarami własnych marzeń. Na przykład Marcelina – obroniła licencjat z turystyki, a potem znalazła pracę w zawodzie, który ją interesował. Zrealizowała swój cel w życiu – ilu osobom się to udaje?

Wspólnym doświadczeniem Twoich bohaterów jest też „eurosieroctwo”. Gdy byli dziećmi, ich rodzice wyjeżdżali na długie miesiące do pracy za granicę. W Trójmieście, z którego pochodzę, nie spotkałem się z tym pojęciem. No ale u nas co trzeci ojciec to marynarz.

No właśnie, dlatego termin „eurosieroctwo” jest uznawany za etykietę ze względu na płeć. Pojawił się, gdy zaczęły wyjeżdżać kobiety. Samo zjawisko ma wymiar uniwersalny i regionalny. Na Śląsku było na pewno powszechne. Gdy studiowałam pedagogikę, dużo się o tym mówiło. Chodziło o wypracowanie narzędzi do pracy z dziećmi wychowywanymi przez sąsiadów albo dalszą rodzinę, bo rodziców przez większą część roku nie było w domu.

Czy jest jakaś śląska specyfika tego zjawiska?

To pokłosie transformacji gospodarczej, która każdy region dotykała inaczej. Zamykanie kopalń i innych dużych zakładów pracy wymuszało emigrację zarobkową, często oboga rodziców. To był duży szok kulturowy, bo zaburzał tradycyjne role płciowe. Kobiety oczywiście

pracowały już od dawna, ale jednocześnie zajmowały się dziećmi i domem. A gdy wyjeżdżały za pracę do Niemiec, a potem do Anglii czy Irlandii, wiele musiało się zmienić, czego efekty odczuwalne będą jeszcze długo. Z dzisiejszej perspektywy powszechnej mobilności nie wydaje to się aż tak poważnym problemem, ale dwie czy trzy dekady temu świat wyglądał inaczej. Moi kuzyni przez 16 lat rozmawiali z ojcem, który pracował w USA, tylko przez telefon.

Praca aktywistki społecznej i animatorki kultury pomaga Ci w tworzeniu literatury?

Prowadziłam warsztaty i konsultacje z mieszkańcami Rudy Śląskiej, gdy powstawał tam park kulturowy. Rozmawiając z ludźmi zaczynasz inaczej patrzeć na ich rzeczywistość. Na przykład podczas odświeżania elewacji XIX-wiecznych kamienic pojawił się pomysł usunięcia anten satelitarnych z balkonów, co spotkało się – i słusznie – z protestem lokatorów. Ciekawe zderzenie zupełnie różnych wizji, które wymusza szukanie kompromisów. Ruda to w ogóle miejsce niezwykle. Piękne, ale w nieoczywisty sposób. Zachwyciło mnie, że jej mieszkańcy to czują i doceniają, potrafią też o tym opowiadać.

To wciąż rzadkie w Polsce, szczególnie poza wielkimi miastami.

Ja raczej mam wrażenie, że życie lokalne – także przez pandemię – okazało się ważne i warte uwagi. Górny Śląsk ma oczywiście swoją specyfikę, może widzę ją wyraźniej jako zagłębiaczka. W dzieciństwie jeździłam na kolonie z dziećmi ze Śląska, uczyłam się od nich śląskich słów. Potem spotykałam się tam ze znajomymi, przesiadując w knajpach, chodząc na koncerty. Zawsze podobała mi się odrębność Górnego Śląska, zwłaszcza wątki mniej oczywiste, jak na przykład działalność mistycznej grupy Oneiron.

Zbierałaś materiał do książki?

Po prostu żyłam, a tematy przychodziły same. Weryfikowałam własne wyobrażenia, konfrontowałam swoje doświadczenia z rzeczywistością. Staralam się odnaleźć dystans, ale też czułam, że często nie umiem go złapać. Wiem, że to ryzyko, ale bycie blisko spraw, o których piszę, jest dla mnie ważne. Nie umiem inaczej.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



Słowik szary

Strategia przetrwania

DOROTA KOZIŃSKA

Gdyby porównać obecną kondycję śpiewu człowieczego ze śpiewem humbaków, słowików i gibbonów, można by zaryzykować wniosek, że ludzkość jest skazana na zagładę.

DLACZEGO OGÓREK NIE ŚPIEWA? NA to pytanie, w tytule wiersza „postawione tak śmiało”, Konstanty Ildefons Gałczyński odpowiada ze znamienym zastrzeżeniem: „prawdopodobnie nie może”. Z niepewności granic w naturze zdał sobie sprawę już Arystoteles – tak samo jak z niepoprawnej przywary człowieka, który w otaczającym go świecie widzi i słyszy przede wszystkim to, co ludzkie, oraz to, co da się poddać procesowi antropomorfizacji. Łatwiej zniszczyć roślinę, która naszym zdaniem tylko trwa w przyrodzie, niż skrzywdzić ak-

tywne, czujące, a być może także rozumne zwierzę.

Ostatnio jednak zaczęliśmy się pasjonować sekretным życiem flory, skądinąd przez wielu popularyzatorów tłumaczonym nienaukowo, wciąż w nazbyt ludzki sposób, odwołujący się typowo do „naszych” instynktów, emocji i wyobrażeń. Mniej więcej pół wieku temu badacze – ale i hochsztaplerzy – zaczęli podpinąć roślinom wariografy i inne urządzenia do pomiarów fizjologicznych, żeby udowodnić, że kaktusy potrafią liczyć, paprotki płaczą, kiedy w ich obecności ugotować

żywcem krewetkę, a biurowe palmy kulą się w sobie na widok nie ulubianej sekretarki.

Nowe tematy

Dopiero w minionym dziesięcioleciu naukowcy podjęli skuteczną próbę przełamania kolejnej bariery w naszym sposobie myślenia, sugerując, że świat roślin odczuwa, myśli i porozumiewa się całkiem po swojemu. Skoro korzenie zbóż „donoszą” sąsiadom o zbliżającej się suszy seriami alarmujących trzasków, emitowanych w paśmie słyszalnym także dla człowieka, po czym doczekują się reakcji z przyległego poletka – to może ogórek jednak śpiewa? A jeśli, to jak, po co, i czy zdołamy kiedykolwiek pojąć jego serenadę?

Wciąż nie wiemy do końca, na jakim etapie ewolucji nasi przodkowie zaczęli śpiewać i czy ten środek ekspresji poprzedził rozwój języka mówionego, czy też było odwrotnie. Odpowiedzi szukamy na razie w świecie zwierząt, analizując mysie piski, ultradźwiękowe nawoływania nietoperzy, gwizdanie ryb i sięgający stu

→ decybeli łomot tarcia owadźm penisem o podbrzusze, który nie ogłusza turystów nad mazurskim jeziorem tylko dlatego, że pluskwiacze zaloty odbywają się pod powierzchnią wody.

Zapewne miał rację Darwin, który wysunął teorię, że złożony i często tajemniczy system komunikacji w świecie zwierząt służy przede wszystkim podtrzymaniu gatunku. Nie chodziło mu tylko o miłosne gody; niektóre ptaki skuteczniej porozumiewają się w większych grupach, twórczo reagując na dźwięki innych par w pobliżu. Samce wielorybów na początku sezonu rozrodczego snują mniej więcej tę samą melodię. Następnie wzbogacają ją o nowe tematy, tworząc skomplikowane struktury rytmiczne i melodyczne, podchwytywane z zapalem przez kolejnych morskich śpiewaków. Po udanych amorach na pół roku milkną, po czym znów otwierają warsztaty kompozytorskie, pracując nad pieśnią, która zyskała ostateczny kształt pod koniec poprzedniego sezonu.

Po co to komu

Czemu to wszystko służy i jak się ma do ludzkiej, a może i neandertalskiej historii śpiewu, której źródła nikną w mroku pradziejów sprzed ponad stu tysięcy lat? Którędy biegła ścieżka ewolucji od dzikich pohukiwań i monotonnego bełkotu, jak ujął to kiedyś Curt Sachs, w stronę czegoś, co dziś nazywamy muzyką? Jak toczył się dialog między śpiewającą jednostką a śpiewającą wspólnotą, między ludzkim głosem a dźwiękiem instrumentów? W którym momencie zwierzęce odgłosy przeistoczyły się w uporządkowany pochód wymownych, estetycznie nacechowanych jakości dźwiękowych? Jakie są związki śpiewu z religią, kosmogonią oraz innymi próbami dotarcia do sensu wszechświata? Kiedy nastał czas solistów, śpiewaczych wirtuozów i mistrzów uświęconego tradycją stylu? Skąd biorą się podziały na muzykę niską, wysoką, ludową i „cywilizowaną”, swojską i egzotyczną? Dlaczego coraz częściej dystansujemy się od śpiewu, jednej z najwyższych zdobyczy ewolucyjnych człowieka rozumnego?

Przecież śpiew jest nie tyle umiejętnością, ile strategią przetrwania. Śpiewało się dziecku, żeby umocnić z nim więź i wyprowadzić je w dorosłość. Śpiewało się przy pracy i obrzędzie, by zacie-

ścić wspólnotę. Śpiewało się z radości i smutku, na poprawę pamięci, dla ukojenia stresu codzienności. Gdzieniedzie wciąż tak bywa, z drugiej jednak strony niepokojąco wzrasta liczba wtórnych alfabetów wokalnych.

Ludzie odmawiają śpiewania, usprawiedliwiając się brakiem słuchu muzycznego lub niepięknym głosem. Ich tłumaczenia są równie bezzasadne, jak wymywanie się od chodzenia płafusem lub półcentymetrową różnicą długości między stopami. Gdyby porównać obecną kondycję śpiewu człowieka ze śpiewem humbaków, słowików i gibbonów, można by zaryzykować wniosek, że ludzkość jest skazana na zagładę. Śpiew – na własny pohybel – stał się sztuką wzbudzającą respekt, podziw i poczucie onieśmienia.

O tym wszystkim – ale nie tylko – można poczytać w pasjonującej książce Johna Pottera i Neila Sorrella „Historia śpiewu”, która wyszła właśnie w niewielkiej krakowskiej oficynie Astraia, w tłumaczeniu Katarzyny Wiwer, śpiewaczki, menedżerki i popularyzatorki muzyki, ściśle związanej z polskim ruchem wykonawstwa historycznego.

Pierwsze wydanie „Historii...” ukazało się nakładem Cambridge University Press



Stefano Dionisi w filmie „Farinelli: ostatni kastrat”, reż. Gérard Corbiau, 1994 r.

w 2012 r. Potter z początku zamierzał napisać ją sam. Znakomity angielski tenor, uczeń m.in. Petera Pearsa, dawny chórzysta King's College w Cambridge, później badacz w King's School w Canterbury i wykładowca University of York, członek rozlicznych zespołów muzyki dawnej, na czele z Hilliard Ensemble – jest wybitnym autorytetem w kompletnie – jest w Polsce lekceważonej dziedzinie socjologii śpiewu. Jego dwie wcześniejsze książki – „Vocal authority: Singing Style and Ideology”, poświęcona zagadnieniom odrębności stylów wykonawczych, oraz „Tenor: History of a Voice”, fascynująca analiza fenomenu głosu, który od dziesiątków lat wyzwała w odbiorcach emocje graniczące z szaleństwem – okazały się pod wieloma względami przełomowe i zebrały bardzo pochlebne recenzje.

Tym razem jednak wydawca delikatnie zasugerował, żeby Potter wziął sobie kogoś do pomocy. Wybór padł na Sorrella, innego wykładowcę uczelni w Yorku, etnomuzykologa, znawcę muzyki indyjskiej, współzałożyciela English Gamelan Orchestra, pierwszego na Wyspach zespołu zajmującego się badaniem i wykonawstwem tradycyjnej muzyki jawańskiej. Autorzy zastrzegali we wstępie, że owoc ich wspólnej pracy nie jest próbą ca-



Szkolenie rzeźców
było jedną
z najkosztowniejszych
i najbardziej ryzykownych
inwestycji w dziejach
muzyki zachodniej.
Ogromna większość
wiodła później nędzny
życie wyrzutków.
**Ci, którym się udało,
stali się bożyszczami
tłumów.**

łościowego podejścia do genezy i dziejów śpiewu – ich zdaniem z góry skazanego na porażkę. Coś w tym jest, aczkolwiek subiektywny wybór poruszonych w książce zagadnień świadczy nie tyle o bezradności współczesnej nauki wobec przedmiotu dociekań, ile o niechęci brytyjskich badaczy do wykraczania poza granice dawnego Imperium. Dość chaotyczny opis tradycji wokalnych „świata nieanglojęzycznego” zajął im raptem trzydzieści kilka stron ostatniego rozdziału, w którym i tak znalazło się sporo miejsca na analizę muzyki powiązanej z Bollywoodem, czyli indyjską fabryką snów.

Nie czynię im jednak z tego zarzutu. Raczej się smucę, że w naszej części Europy nie dorobiliśmy się równie fachowego, a zarazem przystępnego kompendium z dziedziny, w której mieszkańcy Albionu poruszają się jak ryby w wodzie. A tą dziedziną jest nieprzebrana skarbnica muzycznej tradycji Zachodu, poczynając od kultury pieśni lirycznej i epickiej w starożytności, poprzez średniowieczną muzykę katedralną, kościelną i klasztorną, bogactwo renesansowych pieśni pijackich i erotycznych, łagodzących cierpienia w chorobie i nudę konnych podróży, narodziny madrygału, *dramma per musica* i opery, rozkwit pie-

śni artystycznej w dobie romantyzmu, najrozmaitsze koncepcje dramatu muzycznego, aż po rewolucję fonograficzną i najnowszy, postklasyczny kryzys tradycyjnego myślenia o śpiewie.

Rozbrat

Autorzy „Historii...”, zwłaszcza John Potter, imponują zdolnością celnego i zwięzłego ujęcia tematów, które nie jeden akademik bezpowrotnie utopił w przepisowej objętości artykułu naukowego. Historykowi opery – a tą dziedziną param się ze zmiennym szczęściem od lat kilkunastu – najdobitniej przemówią do wyobraźni dwa ostatnie rozdziały drugiej części książki, traktujące o początkach ery wirtuozerii wokalne i późniejszych przemianach w podejściu do muzycznej, społecznej i kulturowej roli śpiewaków dźwigających najcięższe brzemie narracji operowej.

Nigdy nie dość objaśnień, skąd wziął się fenomen barokowych kastratów: garstki wokalnych nadludzi, dwuznacznych wybrańców, za których sławę zapłaciły dziesiątki tysięcy nieodwracalnie okaleczonych chłopców, których część umierała jeszcze podczas zabiegu usunięcia jąder. Szkolenie rzeźców było jedną z najkosztowniejszych i najbardziej ryzykownych inwestycji w dziejach muzyki zachodniej. Trwało latami i przebiegało w atmosferze ścisłego rygoru. Oddawani na praktykę u mistrzów chłopcy ćwiczyli pasaże, studiowali retorykę śpiewu, praktykowali sztukę mimiczną przed lustrem, zgłębiali tajniki teorii muzycznej, uczyli się improwizacji i trudnej sztuki kontrpunktu, wprawiali się w kompozycję i grze na rozmaitych instrumentach.

Ogromna większość nie spełniała pokładanych w nich oczekiwań i wiodła później nędzny żywot wyrzutków, pozabawionych nie tylko nadziei na karierę w świecie muzycznym, ale i szans na spełnienie w życiu prywatnym. Ci, którym się udało, stali się bożyszczami tłumów. Zostawili po sobie widmowe dziedzictwo w postaci partii pisanych z myślą o ich sztucznych, niemożliwych do odtworzenia i wyobrażenia głosach – obsadzanych dziś na przemian kontratenorami i głosami żeńskimi, z których żaden nie jest w stanie oddać choćby ułamka ich nieziemskiego potencjału.

Nigdy nie dość przypomnień, że Giacomo Rossini, przedstawiciel pierwszego pokolenia kompozytorów, którym przy-

szło pogodzić się na dobre ze zmierzchem kastratów i w partiach bohaterkich dać pole do popisu tenorom, lubował się w głosach całkiem odmiennych od uznanego dziś wzorca śpiewu rossiniowskiego – lekkich, w brzmieniu zbliżonych bardziej do współczesnych kontratenorów niż gwiazd Metropolitan, które przez cały występ przygotowują publiczność na popisowe wysokie C, wzięte pełnym głosem piersiowym.

W 1837 r., kiedy Rossini usłyszał na scenie Gilberta Duprez, pierwszego tenora w historii, który zdecydował się na ten wyczyn w ramach eksperymentu, wpadł w szal i porównał jego śpiew do rzęzenia kapłona z poderżniętym gardłem.

Minęło lat kilkadziesiąt i eksperyment stał się rutyną. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że dawne głosy wagnerowskie nie miały nic wspólnego ze standardami narzuconymi śpiewakom przez późniejszą konieczność dziejową: coraz większą liczbę scen o nieludzkich rozmiarach i trudnej akustyce, rosnącą potęgę brzmienia doskonalonych instrumentów orkiestrowych, które niezgodnie z intencją Wagnera „wypełżyły” z przeznaczonego dla nich krytego kanału w Bayreuth i nieodwracalnie zaburzyły proporcje jego oper w innych teatrach.

A jeśli może?

Między wierszami erudycyjnych, mistrzowsko skomponowanych rozważań Pottera i Sorrella kryje się odpowiedź na pytanie, kiedy mniej więcej dokonał się rozbrat między sztuką śpiewu a sztuką życia. Nie ma w tej książce odpowiedzi, dlaczego tak się stało. Tym bardziej się nie dowiemy, jak długo uda nam się przetrwać bez tej umiejętności na co dzień.

Większości z nas opanowanie banalnej pieśni zwrotkowej przysporzy podobnego trudu, jak zoologom próba wyjaśnienia, co dzieje się z powietrzem rezonującym w cielsku humbaka. Sęk w tym, że humbak też nie ma o tym pojęcia. A mimo to śpiewa. Niemy słowik nie znajdzie partnerki. Świerszcz umrze bez skrzydeł.

A ogórek? Może jednak może. Weźmy z niego przykład i zapragniemy śpiewać. Gorąco! Jak dotąd nikt, jak skowronek.

© DOROTA KOZIŃSKA

John Potter, Neil Sorrell, **HISTORIA ŚPIEWU**, przeł. Katarzyna Wiwer, Astraia, Kraków 2021

Wyjście z tunelu

ANITA PIOTROWSKA

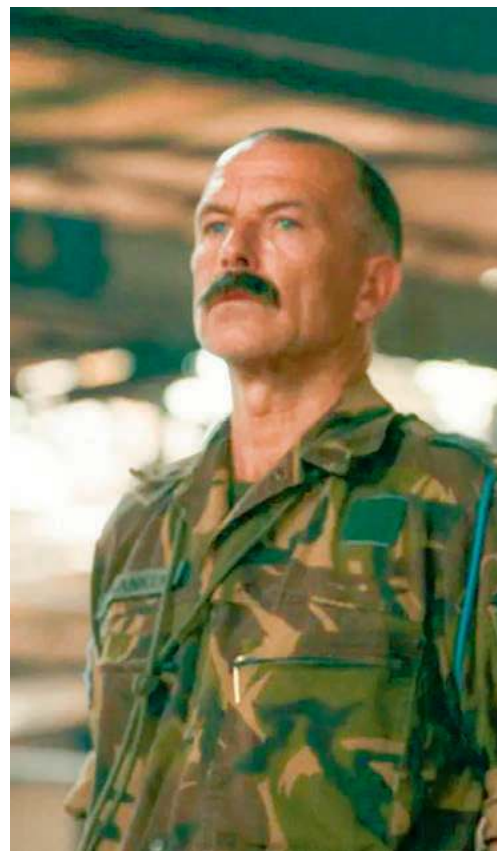
Największe moralne okrucieństwo polega w warunkach wojennych na selekcji życia. Czy bohaterce uda się wyprowadzić bliskich z piekła Srebrenicy? I za jaką cenę?

QUO VADIS, AIDA?” – OPEROWE IMIĘ i sienkiewiczowski tytuł sugerują bombastyczny epos. Nic z tych rzeczy. Trafia do nas wreszcie jeden z najmocniejszych i najlepiej opowiedzianych filmów ubiegłego roku, nakręcony w 25. rocznicę masakry w Srebrenicy. Tytułową rolę boszniackiej tłumaczki pracującej dla ONZ gra serbska aktorka Jasna Đuričić. Dla odmiany, w postać jednego z serbskich dowódców wciela się Emir Hadžihafizbegović, muzułmanin. Zaiste, wojna nie ma w sobie nic z kobiecy, ale obraz Jasmili Žbanić idzie znacznie dalej, mnożąc paradoksy bratobójczego konfliktu z lat 90. Film uświadamia jeszcze jedno: chyba zbyt szybko zamknęliśmy tamte wydarzenia w podręcznikach historii. Zbyt łatwo umiejscowiliśmy je gdzieś poza nami, na rubieżach Europy.

Urodzona w Sarajewie reżyserka, znana choćby z takich tytułów, jak „Grbavica” (2006) i „Jej droga” (2010), od lat zajmuje się pokłosem bośniackiej wojny domowej. Interesuje ją zwłaszcza kobiece spojrzenie – na traumy o podłożu seksualnym czy na religijną radykalizację. W najnowszym filmie wrzuca nas w sam środek wojennego kotła, kiedy to latem 1995 r. można było przewidzieć, iż Srebrenica spłynie krwią, a jednak opieszałość sił pokojowych strzegących tej enklawy dała na to przyzwolenie. I Žbanić za pośrednictwem swojej bohaterki (nauczycielki, tłumaczki, żony, matki) odtwarza chaos owych lipcowych dni.

Widząc bezczynność holenderskich żołnierzy, Aida chciałaby uratować przynajmniej męża i synów. Najpierw stara się przemycić bliskich do obozu „błękitnych hełmów”, jedynego bezpiecznego wtedy miejsca, co nie jest łatwe wobec tysięcy podobnych desperatów koczujących w bazie i u jej bram. Potem, kiedy serbski generał Ratko Mladić łamie międzynarodowe ustalenia, a Holendrzy w pośpiechu opuszczają stanowisko, bohaterka próbuje ewakuować rodzinę wraz z nimi, napotykając kolejne problemy. Stopień determinacji sięga wówczas zenitu. Ktoś się przebiera za kobietę, by nie zostać zabranym wraz z męskim transportem, który wiedzie prosto na śmierć. Główna bohaterka gotowa jest nawet strzelić własnym synom w stopy, by załapali się do grupy rannych i w ten sposób uniknęli wiadomego finału.

Aida, będąc tłumaczką, odgrywa rolę pośrednika i zarazem posłańca złej nowiny. Wystarczy spojrzeć, z jakim trudem i wstydem przechodzą jej przez usta adresowane do Boszniaków oenzetowskie komunikaty, zwłaszcza zapewnienia o bezpiecznej ewakuacji, w które już dawno przestała wierzyć. Stąd „Aida”, i to nie tylko ze względu na profesję wykonywaną przez bohaterkę, jest także filmem o języku. O tym, jak ciężko przełożyć procedury i rozkazy na ludzką mowę, ale i o tym, że często najtrudniej dogadać się mówiącym bardzo podobnymi językami. Warto wspomnieć, że na planie mieszało się ich ze sobą aż dwanaście – w powstanie tego filmowego trenu zaangażowało się dziesięć państw, z Afganistanem i Polską włącznie (produkcja Ewa Puszczyńska, montaż Jarosław Kamiński, kostiumy Małgorzata Karpiuk, muzyka Antoni Komasa-Łazarkiewicz). Wzięły też udział kraje, dla których Srebrenica musi dziś stanowić szczególnie wyrzut sumienia.



Choć przecież samo kino staje się tu narzędziem równie problematycznym. Wiedzimy, jak na każdym kroku generał Mladić wykorzystuje kamery wideo do celów propagandowych: kiedy każe rejestrować triumfalny wjazd serbskich oddziałów do Srebrenicy, pokazowe negocjacje ze stroną muzułmańską, to znów swoją fałszywą łaskawość wobec wypędzanych z miasta. Wreszcie, gdy nie mamy wątpliwości, jaki użytek oprawcy uczynią z budynku, w którym kiedyś wyświetlało się filmy – absurd na miarę scen kinowych z „Bękartów wojny” czy słynnej sceny „prysznicowej” z „Listy Schindlera”.

Sama Žbanić również zdaje się nie dowierzać filmowemu medium. Rezygnuje więc ze spektakularnych efektów, uruchamianych zwykle przez gatunek zwany kinem wojennym, w wywiadach podkreśla zaś, że najbardziej interesowało ją ukazanie zła w jego banalnym wymiarze. Dlatego kamera jej stałej współpracownicy Christine A. Maier sprawia wrażenie naocznego świadka bądź spakowanego uczestnika – niezależnie, czy panoramuje wielotysięczne tłumy cywilów, czy w paradoksalnym stylu wędruje po pojedynczych twarzach

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE DYSTRYBUTORA

Kadr z filmu „Aida”

i nieważnych z pozoru detalach (męskie buty!). Czasami, i są to najbardziej elektryzujące momenty „Aidy”, anonimowe postacie spoglądają wprost w obiektyw, czyli bezpośrednio w nasze oczy. Efekt bywa silniejszy niż dosłowna przemoc, a tę twórcy filmu konsekwentnie przekierowują poza kadr.

Bo przecież dobrze wiemy, jak to się skończy. W ponurą ikonografię XX w. zdążyły wpisać się obrazy boszniackich kobiet próbujących zidentyfikować szczątki swych mężów, synów, braci. Mimo to, albo może właśnie dlatego, ekranowe napięcie nie słabnie u Żbanić ani na sekundę. Towarzyszymy Aïdzie w desperackiej gonitwie oraz w równie ciężkich momentach zatrzymania, kiedy kobieta musi podejmować błyskawiczne decyzje związane z losem tych, których kocha. A przy okazji też zupełnie obcych ludzi. Bowiemy największe moralne okrucieństwo polega w warunkach wojennych na selekcji życia. Czy Aïdzie uda się wreszcie wyprowadzić bliskich jej mężczyzn z piekła? Jeśli nie wszystkich, to którego z nich i za jaką cenę?

Ważniejsze jednak dla Żbanić stają się zupełnie inne pytania. Niczym w „Grba-

vicy” przenosi ciężar opowieści na życie po wojnie i każe swojej bohaterce skonfrontować się z przeszłością. Zagląda Aïdzie głęboko w duszę i przede wszystkim tam szuka jakiegoś uspokojenia czy nadziei. Sensacyjny nerw filmu i przejmująca rola Đuričić przeczą usypiającej powiastce o boszniackim męczeństwie i rozgrzeszeniu. Jest w „Aïdzie” sprzeciw i gniew zarówno wobec tępej siły bośniackich Serbów, jak i wobec służbiowskiej obojętności „błękitnych hełmów”. Lecz reżyserka szuka wyjścia z tego ciemnego tunelu. Nie roztrząsając, kto miał rację w bośniackim konflikcie, skupia się na srebrenickiej tragedii i bezwarunkowo empatyzuje z jej ofiarami, by w finale objąć spojrzeniem to, co z niej pozostało w samych ludziach. I to, co przez obie strony nie zostało jeszcze do końca zatrute.

©

AIDA (*Quo Vadis, Aida?*) – reż. Jasmila Žbanić. Prod. Austria/Francja/Holandia/Niemcy/Norwegia/Polska/Turcja/Rumunia/Afganistan/Bośnia i Hercegowina 2020. Dystryb. Gutek Film. Premiera 17 września, wcześniej pokazy przedpremierowe.

WARTO ZOBACZYĆ

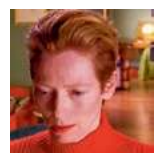
1. Sceny z życia małżeńskiego



Miniserial, reż. Hagai Levi, USA 2021, odc. 1, HBO GO, 13 IX, HBO, 13 IX, 20.10

Czy twórca znakomitych seriali („Terapia”, „Nasi chłopcy”) dorówna Ingmarowi Bergmanowi w telewizyjnej wiwiecej związku? Czy osiągnie podobną temperaturę uczuć i prawdę na temat relacji damsko-męskich? Przed nami pięć odcinków rozgrywających się współcześnie w USA, a w rolach głównych Jessica Chastain i Oscar Isaac.

2. Ludzki głos



Krótkometrażowy, reż. Pedro Almodóvar, Hiszpania 2020, Nowe Horyzonty i inne VoD

To pierwsze filmowe spotkanie hiszpańskiego reżysera z Tildą Swinton. W półgodzinnej fabule pomieścić wszystko, za co kocha się jego kino: pełną emocji intrygę, kulturowe inspiracje (Jean Cocteau) i wystrzałowy design. Uzupełnieniem filmu jest rozmowa Almodóvara z jego aktorką, nagrana w pandemicznych warunkach.

3. Tenet



Sci-fi, reż. Christopher Nolan, USA/Wielka Brytania 2020, CHILI i inne VoD

Mistrz narracyjnych łamigłówek bawi się odwracaniem przeszłości, co przekłada się również na ruch i montaż obrazu. W imię rozpędzonego do granic wytrzymałości spektaklu tworzy napakowany atrakcjami thriller szpiegowski, w którym ratowanie świata przed zagładą bardziej niż kiedykolwiek staje się walką z czasem.

4. Najpiękniejsze fajerwerki ever



Krótkometrażowy, reż. Aleksandra Terpińska, Polska 2017, nc+ go

W Polsce wybucha wojna domowa. Trwa mobilizacja, na ulicach zamieszki, pojawiają się pierwsze ofiary. Dla trojga młodych bohaterów oznacza to konieczność określenia priorytetów... Reżyserka tej rozedrganej, nagrodzonej w Cannes etiudy już za chwilę zadebiutuje w pełnym metrażu adaptacją „Innych ludzi” Doroty Mastowskiej.

Lektor:

W kapsule czasu



■ Piotr Oczko,

MINIATUROWE ŚWIATY.

HISTORIA DOMKÓW DLA LALEK

Wydawnictwo Muzeum Pałacu Króla Jana III
w Wilanowie – seria „Silva rerum”,
Warszawa 2021, ss. 304.

NA POCZĄTEK DWA zdjęcia. Na pierwszym biblioteka: półki wypełnione książkami w skórzanych oprawach, nad kominkiem portret królowej Elżbiety I. Jest też model żaglowca i ozdobny parawan, a pod portykiem wspartym na parze jońskich kolumn – globus. Zdjęcie drugie przedstawia pałacową jadalnię z długim stołem nakrytym białym obrusem i srebrną zastawą, na ścianach wkomponowane w klasycystyczną boazerię obrazy.

Wnętrze jednej z wielu angielskich rezydencji? Nie, to Queen Mary's Dolls' House, domek dla lalek królowej Marii. Powstał jako dar narodu dla żony króla Jerzego V w podziękę za jej postawę podczas I wojny światowej; wiadano, że fascynują ją miniaturowe przedmioty. Domek projektu jednego z czołowych ówczesnych architektów pokazano pierwszy raz w 1924 r., potem objeżdżał kraj, pomagając w zbieraniu

funduszy na cele charytatywne. Książki w bibliotece, choć zminiaturyzowane, są prawdziwe, teksty do nich napisali między innymi Conan Doyle, Milne, Kipling i Vita Sackville-West.

Od razu korekta – to nie jest przykład typowy, bo, jak wyjaśnia autor, domek królowej Marii nigdy nie służył do zabawy i poza figurkami dwóch gwardzistów... nie ma w nim lalek.

Nikomui jednak nie przyszłoby do głowy sprawianie królowej takiego akurat prezentu, gdyby nie długa historia podobnych, choć rzadko równie wspaniałych przedmiotów i ich ogromna popularność w XIX wieku.

Dlaczego jednak w ogóle się nimi zajmować, i to w książce spełniającej wszelkie rygory pracy naukowej (stan badań, przypisy, obszerna bibliografia)? Piotr Oczko, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, anglista, polonista, niderlandysta, tłumacz zajmujący się

historią sztuki i kultury dawnej Holandii, autor „Miotły i krzyża”, gdzie zanalizował religijne tło holenderskiej obsesji sprzątania, przekonująco udowadnia, że badanie historii domków dla lalek jest całkiem poważną sprawą. „Dają nam one bowiem wgląd w rozmaite obszary obejmujące między innymi historię sztuki (zwłaszcza architektury), historię wystrojów wnętrz (...), historię ekonomii, życia społecznego i edukacji”. Przechowały w oryginalnym kształcie i układzie obraz na przykład dawnych kuchni czy miniaturowe wersje strojów. Pełniły funkcję pedagogiczną jako element edukacji dziewcząt, więc ilustrują postrzeganie roli kobiety ze względu na jej płć kulturową (tak, istnieje takie pojęcie...) oraz obowiązujący w danym czasie model rodziny. Pokazują ewolucję życia codziennego, postęp cywilizacyjny i zmiany społeczne. Czasem też kryją tajemnicę biografii kobiet, które w wieku dojrzałym takie domki zamawiały – a była to poważna i kapitałochłonna inwestycja! „Biografie wielu kobiet, które z domków dla lalek uczyniły swój życiowy cel – pisze Piotr Oczko – cechowały napięcia, a nawet życiowe pęknięcia. Były to samotność, niespełnienie, trudne dzieciństwo lub

nieudane życie osobiste”. Poznajemy więc, niejako mimochodem, także postacie takie jak Holenderki Petronella Dunois (1650-1695), Petronella Oortman (1656-1716) i Sara Rothé (1699-1751), księżna Auguste Dorothea von Braunschweig-Wolfenbüttel (1661-1751), wydająca ogromne sumy na swoje lalkowe miasteczko Mon Plaisir, czy – z czasów nowszych – Amerykanka Carrie Stettheimer (1869-1944), prowadząca wraz z matką i siostrami salon, w którym gromadziła się nowojorska bohema. Na ścianach jej domku zawisły miniaturowe dzieła sztuki zaprzyjaźnionych artystów, między innymi pomniejszona wersja słynnego „Aktu schodzącego po schodach” Marcela Duchampa. A najwybitniejszą może znawczynią tematu domków dla lalek i zarazem ich zapamiętałą kolekcjonerką była Vivien Greene (1904-2003), żona sławnego Grahama Greene’a, który wcześniej porzucił rodzinę, ale – oboje byli katolikami – nigdy nie wziął z Vivien rozwodu. Mnóstwo tu dobra, mnóstwo wątków, mnóstwo też pieczołowicie przez autora zgromadzonych ilustracji. Reprodukcyjne mogłyby być lepsze, ale i tak książka jest nadzwyczaj ciekawa. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Jeszcze w zielone gramy



OSIEMNASTU WETERANÓW WOJENNYCH dziennie popełnia w Ameryce samobójstwo. Tę ponurą średnią liczbę podał prezydent Joe Biden w znakomitej mowie, która miała przypieczętować formalny koniec najdłuższej ekspedycji wojkowej w dziejach kraju. Przy okazji próbował podreperować wizerunek, nadszarpnięty obrazami chaosu, paniki i bezradności. Wielu mądrych ludzi przez zeszłe tygodnie powtarzało, że w realiach wojny nie ma czegoś takiego jak elegancki odwrót i bezproblemowa ewakuacja po 20 latach. A żadna dalsza obecność wojska „na małą skalę”, co postulowali liczni krytycy, by tego wrażenia definitywnie nie osłabiła. Inna sprawa, że twitterowe kibolstwo polityczne nie lubi się konfrontować z przykrymi prawdami, zatem Biden zaliczył solidny zjazd sondażowy.

Jego mowa była jednak czymś innym niż piarowym zabiegiem. W sposób dla mnie przekonujący opowiadał, że życie i zdrowie tego jednego procenta (aż jednego procenta!) Amerykanów, którzy chodzą w mundurze, nie jest skalowalne, jak to się uczenie pisze w analizach. Ci, co by je chcieli skalować, zakładają, że można je dalej narażać troszeczkę, wdepnąć tylko małym paluszkciem w bagno tego czy innego kraju lub regionu.

Zwykle uciekam od jasnych rozgraniczeń w dowolnej sferze życia i gdy ktoś koło mnie ogłasza koniec epoki, to pierwsza moja myśl biegnie ku pytaniu, jakie lęki musi sobie kompensować wyznaczaniem jasnych cezur i granic. Kiedy jednak mówi o końcu ery ktoś, na kogo rozkaz leżą na koniec świata tysiące ludzi i płyną w ślad za tym miliardy monet, to przystaję na moment i nawet się trochę boję.

No więc koniec. 20 lat, bo równo tyle mija od września 2001 r., to dużo czy mało? Jakie mamy zbiorowe parametry, jakie naczynia do mierzenia czasu, by móc to oszacować? Akurat polska pamięć posiada na stanie jeden dwudziestoletni dzban, ale tak go wojna potrząsała, że tamto archetypiczne dwudziestolecie wydaje się zupełnie z innego porządku, jakby wszyscy w tym momencie granicznym nagle pomarli albo przetrwali ze zresetowanym istnieniem i nic nie mogło przypominać tętna ich dni po tamtej stronie.

Czy coś w życiu nas tutaj, złączonych nadwiślańską (i nadodrzańską) wspólnotą losu spotkało przez te 20 lat, byśmy mogli westchnąć i powiedzieć: uff, toż to tęgi szmat czasu, aż plecy się uginają? Skoro w roku 2001 powstała partia PiS, to niektórzy przytakną: jakże długo cierpienie to trwa, ale odłożmy tę obsesyjnie partyjną optykę. A może na odwrót,

był to czas tak mało brzemienisty w treści, że raczej byśmy byli skłonni się zdumieć, że tak szybko to zleciało?

A może szkoda nawet próbować dojść w tej sprawie do kompromisu i poprzestać na tym, że jedyną skalą czasową, którą potrafimy odnieść do rzeczywistości naszych prac i dni, poczuć w ciele i przełożyć na emocje, jest roczny cykl przemian. Wchodzi on do domu każdego z nas, choćby najbardziej odklejonego od natury, przez garderobę i przez kuchnię.

Smutek, który budzi w nas ruch ręki otrzępującej wyciągniętą na powrót z szafy kurtkę, jest uniwersalny, podobnie jak ta ulotna rozkosz wystawiania w niedzielne popołudnie twarzy na jaskrawe wrześniowe słońce bez lęku, że nas spali i poparzy. A wspomnienia podobnych chwil spędzonych na tym samym słonecznym tarasie z tymi samymi przyjaciółmi rok temu są na tyle jeszcze wyraźne, żeby ów most między chwilami nie był abstrakcyjnym zabiegiem umysłu. Nawet wino w kieliszkach pite z tej okazji czujemy mniej więcej tak samo – bo różnice rocznikowe niweluje powtarzalny i mocno wyczuwalny smak chwili.

To smak pełni wrażeń zgromadzonych przez ciepłą część roku. Kipią i przelewają się przez świadomość, zalegają świeżą ciepłą warstwą pod skórą. Jest nas wtedy dużo, wrzesień to apogeum żywotnej obecności. Jeszcze kilka razy doświadczyć powrotu z targu z tobołem aż świecącym od energii pomidorów i papryk, będę obracał w palcach świeżo wyłuskana fasolę o gładkości godnej skóry noworodka, postękam od dzwigania dyni, będę się pocieszał, że gdzieś tam można dostać wyrosłą pod niebem, a nie pod folią sałatę. W gospodarstwie na obrzeżach Warszawy, skąd zwykle brać rozmaite jadalne liście, wszystko na razie wyżarzy zające. Wielka radość, że przyszły i że miały co wykraść. Jeszcze w zielone gramy. Przystań w mglistym Port November dopiero mając daleko przed dziobem naszej dzielnej łódki. ©P

Nie tylko dla mnie to jest czas rozmyślań o chronologii. Moi przyjaciele wyznania mojżeszowego właśnie zaczynają

nowy rok – przy czym wiara zaleca im w ten czas

także pokutny namysł. Ale oprócz tego mają

jeść porządnie i na słodko. Z myślą o nich

robię taki wariant puddingu chlebo-

*wego z chałki: kroimy **pół chałki***

w kostkę ok. 2 cm, „grzankujemy”

ją na blasze w 180 stopniach,

*aż ładnie się zrumieni. Na **4 łyż-***

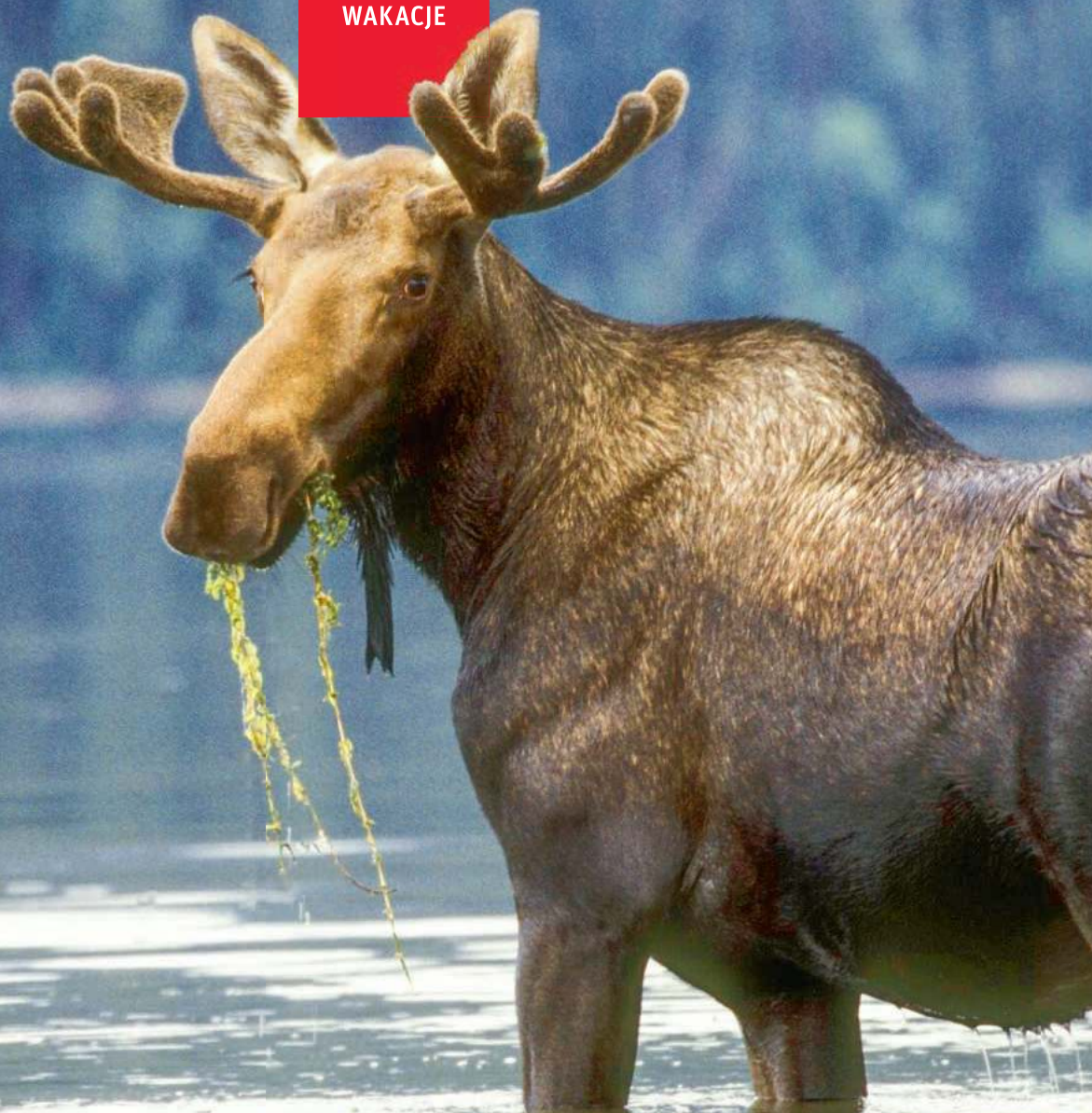
*kach masła dusimy **1 kg pokrojonych***

*w drobną kostkę **antonówek** lub **renet** ra-*

*zem z **5 łyżkami miodu**, aż się zaczną porządnie*

*rozpadać. W osobnej misce mieszamy **750 ml mleka** (albo **pół na pół mleko i śmietanka**) z **5 jajkami**, **2 żółtkami** i **100 g cukru**, sporą szczyptą **cynamonu** i **szczyptą soli**. Do tej masy dołączamy podpieczoną chałkę i połowę jabłek. Przekładamy do sporej brytfanki wyłożonej papierem do pieczenia, pieczemy przykryte folią aluminiową w 190 stopniach przez **pół godziny**, aż się zacznie ścinać. Potem nakładamy resztę jabłek, posypujemy szczydrze **płatkami migdałów** i pieczemy dalej bez folii dalsze ok. 20 minut, aż wierzch się ładnie zarumieni. Środek powinien być ściśły, dać się kroić, ale nie suchy. Przed jedzeniem krótko wystudzić.*





DZIEŃ ŁOSIA

To nie jest normalne, że o tej porze roku mamy tu tyle wody – słyszę, gdy obuci w wodery chlupoczemy na bagienne spotkanie z tutejszym.

ADAM ROBIŃSKI

PRZEZ KILKA LAT PRZY CARSKIEJ DRODZE NAD BIEBRZĄ MOŻNA było spotkać łosia, który wcale nie bał się ludzi. Terytorium kłepy było bagno Ławki, ale często wpadała na żer przy ciągnącej się równoległe do rzeki drodze. Zjadała wierzbowe

pędy, przysmak każdego łosia, oraz świeże zioła porastające pobocze. Za matką szły łoszaki. Dla nich ta brawura często kończyła się tragicznie. Nieobyte z zagrożeniem, ginęły pod kołami samochodów.



CHRIS HARRIS / EAST NEWS

Któreś wiosny dwoje dzieci kłępy zginęło jedno po drugim w ciągu tygodnia. Przez kolejne dni samica nie odklejała się od szosy, niemal podbiegając do kolejnych przejeżdżających aut. Z jej zachowania można było wywnioskować, że któreś z młodych zostało po potrąceniu zabrane do samochodu i wywiezione z miejsca zdarzenia. Żałoba trwała do chwili, gdy sama padła ofiarą wypadku. Jej głowa, skóra i kończyny trafiły do przydrożnego rowu. Reszta zwierzęcia najprawdopodobniej do czyjejś zamrażarki.

Przeczytałem tę historię w książce Piotra Dombrowskiego i Pawła Średzińskiego, opowieści o biebrzańskiej populacji łośa. Taki duet: Dombrowski, strażnik w Biebrzańskim Parku Narodowym, z wykształcenia leśnik i myśliwy, który broń zawiesił na kołku, oraz Średziński, aktywista przyrodniczy, były rzecznik prasowy międzynarodowej organizacji ekologicznej,

obecnie związany z Fundacją Dziedzictwo Przyrodnicze, zaangażowany w działania na rzecz ochrony lasów w Karpatach Wschodnich. „Łoś. Opowieść o gapiszonych z krainy Biebrzy” łączy więc w sobie obycie terenowca z doświadczeniem działacza na rzecz ochrony przyrody w realiach polskiego prawa. Ale to nie znaczy, że dla Średzińskiego łoś jest bytem odległym. Jako nastolatek w ramach wolontariatu w rezerwacie pokazywał Białowieskiego Parku Narodowego opiekował się osieroconym łośzakiem Alfredem. Do dziś przechowuje list, który w odpowiedzi na pytanie o możliwość pracy w parku przesłał mu wtedy ówczesny dyrektor Czesław Okołów.

Centymetr gumy

Rytm „Łosia” wyznacza roczny kalendarz, zarówno tytułowego gatunku, jak i ekosystemu okolic Biebrzy, ostatniej w tej części świata rzeki, która swobodnie tworzy tak rozległe rozlewiska. Po śnieżnej i mroźnej zimie przyszła wyjątkowo mokra wiosna, podczas której biebrzańskie bagna nabrały podręcznikowych kształtów. Największy polski park narodowy zamienił się w bezkresny ocean bagien. W czerwcu, zgodnie z hydrologicznym rytmem tych stron, poziom wody zaczął opadać. Ale potem przyszły serie gwałtownych burz i nawałnic. Dostało się niektórym wyprowadzającym późne lęgi ptakom, bo woda zmyła ich gniazda. W efekcie stara zimowa droga, którą z prywatnych lasów parkowej otuliny wywozi się drewno, niczym nie wyróżnia się z otoczenia. Trzeba badać stopami dno, unikać zwalonych kłód i walczyć o równowagę, jednocześnie rozgarniając ramionami wysokie na dwa metry bagienne trawy.

– To nie jest normalne, że o tej porze roku mamy tu tyle wody – mówi Piotr, gdy obuci w wodery, sięgające pachwin gumowe spodnie, chlupoczemy na spotkanie z łośiami. Miesiąc wcześniej wędrował tędy w zwykłych gumiakach, w wodzie po kostki. Tłumaczy też, że Biebrza Biebrzy nierówna. Środkowy basen rzeki a dolny, w którym właśnie jesteśmy, to dwa różne światy. Na północ od Goniądza wiosna i lato przychodzą nawet parę tygodni wcześniej niż tu, bliżej ujścia rzeki do Narwi. Kiedy jego koledzy z parku po łąkach jeżdżą już samochodami, on wciąż musi brodzić w woderach.

Nikt nie wie, ile łośi żyje w Biebrzańskim Parku Narodowym. Oficjalne dane mówią o kilkuset osobnikach, jednak to zgadywanie. Żeby rachunki były miarodajne, trzeba by je prowadzić z samolotu. Tak się robi w Skandynawii, ale w polskich realiach nikt nie ma na to pieniędzy. Liczenia przeprowadza się za pomocą tzw. pędzeń, przepłaszając zwierzęta na niedużym, z góry określonym obszarze. I to w zimie, gdy z braku pokarmu na bagnach przenoszą się do borów.

– Podczas pędzeń – zauważa Paweł – łatwo przeszacować wynik, wyciągając średnią na podstawie obszarów o znanym dużym zagęszczeniu.

Takich jak nieduży laszek we wsi Downary, gdzie zimą na 300 hektarach spotkać można nawet kilkadziesiąt łośi. Ale to nie znaczy, że podobne zagęszczenie charakteryzuje każdą nadbiebrzańską sośninę. Ten roczny cykl – lato na bagnie, zima w lesie – jest typowy dla tutejszej populacji. Łosie z Puszczy Kampinoskiej czy Polesia nie muszą tak wędrować, bo ich siedliska to mozaika krajobrazów. Tu górką, tam dołkiem, tu wodą, tam piach. Łoś biebrzański musi się tymczasem nachodzić, i również za nim trzeba się nachodzić.



→ Jednym z bodźców, który skłonił Pawła i Piotra do wspólnego wysiłku twórczego, były próby zniesienia moratorium na odstrzał łosia. Wprowadzone w 2001 r. zakazuje polowań na zwierzę, które formalnie wciąż jest gatunkiem łownym. Lobby łowieckie parokrotnie próbowało przeforsować odwołanie moratorium. Ostatni raz – w 2017 r. – było tak pewne sukcesu, że prasa myśliwska zaczęła nawet publikować przepisy na łosinę. Rozporządzenie znoszące zakaz zostało jednak w ostatniej chwili odwołane. W niejasnych okolicznościach. O tym, że temat prędzej czy później wróci, niech świadczy internetowy katalog tzw. medalowych, a więc najładniejszych trofeów łowieckich pozyskiwanych w ośrodkach hodowli zwierząt Lasów Państwowych. Choć rubryka „łoś” jest w nim pusta, szokować może sama obecność objętego moratorium gatunku w takim zestawieniu.

Upał albo komary

Kiedy wody pod nogami robi się mniej, to znak, że wychodzimy na grąd. W biebrzańskich realiach nazywa się tak nieduże, zalesione pagórki wyrastające ponad bagno. Wcześniej jednak przechodzimy przez zagłębienie o żwawym nurcie w kierunku rzeki. Jak mówi Piotr, w miejscach takich jak to łatwo wyciągać wnioski na temat aktualnej sytuacji. Na wiosnę woda powinna płynąć od Biebrzy w stronę bagna Ławki, a po paru miesiącach w przeciwnym kierunku. Jeśli pod koniec marca widzimy nurt od bagna do rzeki, zwiastuje to katastrofę.

W grądzie jest ciemno, chłodno i komarowo. Dla łosia taki obszar to oaza. Mówimy o gatunku północnym, zimnolubnym. Jego masywne ciało ma chronić przed wyziębieniem, a nie przegrzaniem. 17 stopni Celsjusza wżwyz to dla niego upał. Kiepsko radzi sobie wtedy z chłodzeniem ciała. Nie wypoci nadmiaru ciepła, może jedynie dyszeć i szukać cienia. Grąd, w którym jest kilka stopni mniej niż na otwartej przestrzeni, to ratunek. Ale są też minusy – wśród drzew nie ma wiatru, więc są komary. Czasem jest ich tyle, że pracownikom parku trudno prowadzić nasłuch ptaków. Wszystko przykrywa bzyczenie.

Trafiamy na dwa placki wyleżanej trawy, na której odpoczywały jakieś zwierzęta. Są też tropy łosia i odchody, o tej porze roku – z uwagi na pełną drobnej zieleniny dietę – przypominające nie bobki, a końskie placki. Grąd nosi też ślady ludzkiego bytowania – przecina go zygzakowata linia okopów z czasów, gdy przebiegał tędy front niemiecko-rosyjski. Pod samotnym rozłożystym dębem, nieopodal opuszczonej borsuczej nory, widać resztki świeższego obozowiska. Najwyraźniej w ostatnich miesiącach dotarł tu jakiś miłośnik bushcraftu, leśnej szkoły przetrwania.

To musiało być w styczniu albo lutym, wnioskuje Piotr; wbrew pozorom droga do grądu nie jest wtedy łatwiejsza. – Łód, który tworzy się tu zimą, na ogół nie utrzymuje człowieka. Zdarzało mi się chodzić po nim w rakietach śnieżnych i nieraz musiałem je potem wylawiać z wody. I nawet w tak ekstremalnych warunkach spotykałem wtedy łosie. Łód się pod nimi łamał, brnęły przez niego po kolana, ale i tak były. Bo jak łoś nie musi, to nigdzie nie idzie – opowiada.

Przez ostatnie trzy sezony park miał problemy z koszeniem łąk. Chętni wygrzywali przetargi, ale potem nie podpisywali umów. W efekcie łąki zarosły wierzbą. Na bagnach pojawiło się sto hektarów krzaków – i duża część łośi zostawała na zimę

na otwartej przestrzeni. Łoś wcale nie jest uzależniony od sosny. A kiedy się w sośninie pojawia, wcale jej całej nie zjada.

– Gdyby w łośiowych ostojach rosło trochę wierzby i innych nieiglastych gatunków, leśnicy nie musieliby martwić się o swoje sosny – mówi Paweł. Sęk w tym, że wierzba jest traktowana jak chwast. Podobnie osika. Łosiowi nie zostawia się więc dużego wyboru. A ten woli samosiewy, o czym mówił mi Rafał Kowalczyk z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży. Kiedy razem z zespołem badawczym obrozowali łosie do badań telemetrycznych, najłatwiej im było to robić w samosiewach.

Żeby odciągnąć łosie od lasów gospodarczych poza parkiem, pracownicy BPN co roku ścinają kilkanaście sosen na sto hektarów, które zostawiają zwierzętom do zjedzenia. Przysmakiem bywa też jałowiec. Trzęsę się, przyznaje Piotr w książce, nad każdym hektarem wierzbowych krzaków nad Biebrzą, bo jeśli kiedyś przywrócone zostaną legalne polowania na łosie, wierzby w parku musi być tyle, by zwierzęta nie miały potrzeby szukać zimowego żeru poza granicami obszaru chronionego.

Gapiszon bez akcji

Jeśli pominąć nadludzki wysiłek forsowania bagna, wytropienie łosia przychodzi nam nadzwyczaj łatwo. Po dwóch godzinach brodzenia, meandrowania, chlupotania i energicznego odgania komarów przystajemy na skraju piaszczystego grądu. Kilkaset metrów od nas w wodzie i trawach po pierś stoi kłępa. Prawdopodobnie podniosła się, gdy wiatr przyniósł w jej stronę pogłos naszej rozmowy. Choć zdaje się, że zwierzę patrzy prosto w naszą stronę, nie ma szans nas zobaczyć. Oczy łosia znajdują się po bokach głowy, pole widzenia jest zupełnie inne od ludzkiego. W naszą stronę kieruje łódkowate uszy. Gapiszon bez akcji, piszą w książce, sugerując, że ospałość łosia czyni z niego wyjątkowo wdzięczny obiekt obserwacji.

Stoimy od siebie w odległości, z której – jak zauważa Piotr – spokojnie można by oddać strzał. On sam dawno przestał nie tylko strzelać, ale i fotografować. – Jeśli na dobre zajmiesz się fotografią – tłumaczy – aby mieć coraz lepsze zdjęcie, będziesz podchodził do zwierzęcia coraz bliżej. Zaczynasz odwiedzając czatownie budowane przy żerowiskach czy ptasich koloniach. Będziesz chodził tam, gdzie nie powinienes. Widziałem fotografów, którzy pochylając się nad wylinką wazki czy drobną rośliną, niszczyli i usuwali wszystko dookoła, żeby mieć ładne tło.

Kłępa powoli usuwa się z kadru, być może zaalarmowana reakcją młodego byka, który najwyraźniej również nas usłyszał. Ona idzie w lewo, on w prawo, jedno i drugie nie bardzo wiedząc, co je spłoszyło. Byk parokrotnie przystaje, zamiera i czeka, by po chwili odbiec kawałek dalej. Wreszcie niknie w olszynie.

– Łoś ma w sobie coś prehistorycznego – przekonuje Paweł. – Dzięki niemu człowiek może odbyć podróż w czasie. Sympatyczny, atrakcyjny, tak duży, że niemal zawsze budzący sensację. Dziwię się, że nie stał się symbolem polskiej przyrody, nadaje się do tego na równi z zubrem. Jest też od niego o wiele bardziej rozpowszechniony. Cała północno-wschodnia Polska to kraina łośa. Od Puszczy Boreckiej i Rominckiej aż po Bug i Lubelszczyznę.

Pawłowi marzy się rozwój łośiowej turystyki, ale nawet nad Biebrzą brakuje tablic informacyjnych. Przy bagnie Ławki, łośiowym eldorado, możemy poczytać o wodniczce i paru innych gatunkach ptaków. O łośiu informują tylko znaki przy Carskiej Szosie. A raczej ostrzegają.

Łosia powinniśmy badać na lewo i prawo. Tym bardziej że ten znad Biebrzy jest reliktem dawnego, polodowcowego zasięgu gatunku. – To, że udało nam się uratować je przed wyginieciem – uważa Paweł – zakrawa na cud. II wojnę światową przetrwało raptem kilka łosi nad Biebrzą. Teraz, po latach, mamy możliwość przyjrzenia się sporej populacji dużego ssaka, który od kilkunastu lat nie jest już w żaden sposób „użytkowany” przez człowieka. A to gatunek, który wymyka się schematom. Indywidualista, którego nie da się na dobre oswoić. Ani zagłaskać. Tymczasem w Polsce monopol na zajmowanie się łosiem mają niemal wyłącznie myśliwi. Nasza książka to pierwsza niełowiecka pozycja o łosiu!

Piotr: – Panuje przekonanie, że polskie byki nijak się mają do tych amerykańskich. Że u nas żyją same badylarze, o mikrych porożach, podczas gdy po drugiej stronie Atlantyku zwierzętom wyrastają na głowach imponujące łopaty. Tymczasem wystarczyło kilkanaście lat obowiązywania moratorium, by dało się usłyszeć, że od niepamiętnych czasów nie było w polskich lasach tak pięknych byków jak dziś. Wcześniej jak tylko któryś podrośł, to się go zabijało. Łopataczom nigdy wcześniej nie daliśmy szansy. A teraz, widząc imponujące poroża, co drugi myśliwy chciałby takie trofeum zawiesić na ścianie. Stąd lobbowanie przeciw moratorium.

Paweł: – Ale myśliwi wiedzą, że opowiadając o pięknych trofeach nie przekonają społeczeństwa. Ani pomstując na szkody w leśnictwie. Dlatego coraz częściej słyszymy, że łosie są sprawcami rosnącej liczby wypadków drogowych. Zupełnie jakbyśmy byli świadkami jakiejś inwazji. Łosie mnożą się na potęgę, mówią, a przecież to bzdura. Statystyki policyjne są dla takich stwierdzeń bezwzględne.

Rzeczywiście, wszelkie dane, jakimi dysponuje drogówka, mówią o kolizjach ze zwierzętami bez podziału na gatunki. Nie da się ustalić, ile samochodów zderza się z łosiami, bo nikt nie zbiera takich informacji. Co więcej, jak skrupulatnie odnotowują autorzy „Łosia”, udział wypadków śmiertelnych w wyniku najechania na zwierzę – nie tylko dzikie! – stanowi niewielki odsetek wszystkich zdarzeń na polskich drogach. W 2016 r. zarejestrowano ich dwanaście, a w kolejnych latach dziesięć i piętnaście. Z kolei wszystkich wypadków z udziałem jakiegokolwiek zwierzęcia, nie tylko ze skutkiem śmiertelnym, było w 2019 r. ledwie ponad dwieście (to 0,7 proc. wszystkich wypadków drogowych w kraju).

– Jeśli przyjrzymy się tym nielicznym, okaże się, że rzadko jedynym winowajcą jest zwierzę. Jak się człowiek rozpędzi i zacznie wyprzedzać na podwójnej ciągłej, to mała różnica, czy zderzy się ze zwierzęciem, drzewem czy innym autem. Efekt będzie taki sam.

Zapobiec nielicznym kolizjom z łosiem pomaga dokładne wykaszanie szerokich poboczy, jak to miało miejsce w okolicach wspomnianej już wsi Downary. To metoda podpatrzona na północy, w Estonii, gdzie populacja gatunku jest o wiele większa niż w Polsce.

PAWEŁ ŚREDZIŃSKI:

Łoś to gatunek,
który wymyka się schematom.
Indywidualista,
którego nie da się
na dobre oswoić.
A w Polsce monopol
na zajmowanie
się łosiem mają
niemal wyłącznie myśliwi.

Nowa tradycja

Z łosiem łączy się jeszcze jeden biebrzański epizod. Ten, którym w ubiegłym roku żyła cała Polska. W kwietniu pożar strawił ponad 5 tysięcy hektarów wyjątkowo suchych w tamtym czasie bagien. Jego gaszenie trwało tydzień, na akcję ratowniczą zrzucał się m.in. internauci. W powszechnej świadomości za pożar odpowiadali rolnicy, wciąż stosujący nielegalne wypalanie trawy. Biegli potwierdzili, że do podpalenia doszło w paru miejscach naraz.

– Moim zdaniem wcale nie chodziło o trawę, tylko o zrzuty – przekonuje Piotr. – Zbieraczom jelenich i łosiowych poroży zdarza się podpalać zakrzewienia, żeby łatwiej szukało im się zdobyczy. To był właśnie ten przypadek. Jeszcze się paliło, a już w Dolistowie lokalni wsiadali na quady, żeby zbierać zrzuty. Widać je było z daleka, tak się świeciły. Okolica się wtedy obłowiła, bo jedno takie poroże to w skupie kilkaset złotych.

Wpatrując się w bezkres bagna Ławki, wspomina jeszcze jeden pożar: – To był 2004 rok. Ogień szedł od olsu, płonęło wszystko, co teraz widzisz. Ale nie doszedł do szosy, tylko zawrócił. Jak na Olszowych Drogach zobaczyli, że się pali, to postanowili skorzystać i ze swoimi suchymi trawami do pożaru dołączyć. Ktoś podpalił i poszło. Spalił się cały dolny basen Biebrzy. Ale wtedy nie było internetu, więc obrazki nie poszły w Polskę. Nie mogliśmy nic zrobić, tylko patrzyliśmy i czekałymi, aż zgaśnie.

Po półgodzinnym relaksie na grądzie pora wracać do cywilizacji. Czeką nas parę kilometrów przez bagno. Piotr i Paweł opowiadają o Dniu Łosia, jeszcze jednej inicjatywie na rzecz popularyzacji gatunku. Jego korzenie sięgają walki o utrzymanie moratorium; pierwsze święto łosia odbyło się w 2018 r. nad Biebrzą i na Polesiu. We wrześniu, gdy zegar biologiczny nakazuje zwierzętom przystąpić do bukowiska, czyli godów. Przedsięwzięcie było niskobudżetowe, ale frekwencja podczas spacerów w poszukiwaniu łosia dopisała. Rok później w święto zaangażowały się już trzy parki narodowe, a ambasadorami Dnia Łosia zostali znany z ekologicznych sympatii aktor Marcin Dorociński oraz przyrodnik i filmowiec Marcin Kostrzyński.

Żeby dopiero co powołane do życia święto łosia nie umarło wraz z pandemią, w 2020 r. Paweł i Piotr postanowili tymczasowo nadać mu nową formułę. W teren poszli sami. Ruszyli Groblą Honczarowską w stronę Biebrzy, w gęstej mgłę zaskakująco ciepłego poranka. Pośród brzoź usłyszeli miarowe stękanie, a potem z mleka wyłoniła się sylwetka kierowanego nadmiarem hormonów samca. Gapili się potem oni na niego, on, gapiszon bez akcji, na nich.

© ADAM ROBIŃSKI

Tegoroczna, czwarta edycja Dnia Łosia odbędzie się 11 września. W obchodach wezmą udział cztery parki narodowe: Biebrzański, Kampinoski, Narwiański i Poleski, oraz Instytut Biologii Ssaków PAN w Białowieży. Polecam: Piotr Dombrowski i Paweł Średziński „Łoś. Opowieści o gapiszonych z krainy Biebrzy”, Państwowy Buriat 2021.

STANISŁAW

Mancewicz:

Stan



PONIEWAŻ MAMY W KRAJU FORMALNIE ogłoszony stan wyjątkowy w wersji nie dotyczącej ogromnej części obywateli, wypada spostrzec, że od wielu lat w Polsce panuje nieoficjalny stan wyjątkowy dotyczący wszystkich. Stan wyjątkowy, a może i wojenny, obowiązuje tu od wielu lat i każdy to wie. Wystarczy posłuchać radia, poczytać gazety, popatrzeć na obrady tutejszego parlamentu i przyjrzeć się wyjątkowym i wojennym minom funkcjonariuszy partyjnych, rządowych, samorządowych, popatrzeć na miny duchowieństwa oraz ludzi pracujących w mediach publicznych i niepublicznych.

Gdy spojrzymy na Polskę pod tym kątem, można odnieść wrażenie, że jest to kraj, w którym wyjątkową karierę partyjnorządową robi się tylko dzięki osobliwym zdolnościom robienia wyjątkowych min. Ci w tym najlepsi są u władzy, ci mniej zdolni są ich podwładnymi, a ludzie, którzy min nie robią, płaczą się po marginesach życia publicznego. Dużo i lekko można by o polskich minach pisać, narażając się na podejrzenie naśladowania Gombrowicza, więc na tym spostrzeżeniu się zatrzymamy i przejdziemy do stanu wyjątkowego utrzymywanego w Polsce od dobrych lat trzydziestu.

Zdziwionych tym zdaniem trzeba oświecić. Permanentny stan wyjątkowy panuje w tutejszym spisie lektur szkolnych, a więc teoretycznie dotyczy on tylko naszych najśłodszych milusińskich. Słowo teoretycznie nam się wysnęło, bowiem każdy, kto ma minimalny kontakt z dowolnym milusińskim bądź także sam milusińskim jest, wie, że spisy lektur szkolnych są milusińskim najgłębiej obojętne. Ktoś tu zakrzyknie, że o lekturach szkolnych pisaliśmy sto razy, że w ogóle w życiu szarpaliśmy się z listą lektur szkolnych tysiąc razy, na

różnych łamach, przy trunkach różnej mocy bądź to bez żadnej mocy. Żebyśmy – ktoś powie – sobie tym razem darowali i zamiast pisać o literaturze, zwłaszcza złej, bo lektury szkolne w Polsce to głównie literatura zła, pocieszenie pofantazjowali tu i teraz na temat urlopu Gospodarza i cóż on to tym razem w mętnej wodzie złowił, byśmy oto pogwarzyli o rybie, która psuje się od głowy, albo byśmy tu i teraz pośmiali się z ostatnich wywiadów p. Gowina.

Onże, popatrzmy, może sobie teraz na luziku chodzić od redakcji do redakcji, do których mu wcześniej Gospodarz uczęszczać nie pozwalał. Był to przez lata zakaz surowo egzekwowany i pilnowany przez różnych paziów Gospodarza, tajnych, widnych i – pardon – dwupłciowych. A teraz hulaj dusza, p. Gowin chodzi, gdzie chce, i mówi, co chce, wyposażony jest przy tym w liczne symboliczne atrybuty niewinności i roztropności. A to prowadzi białe jak śnieg jagnię na smyczy bądź – chyba dla hecy – wdziewa białe gieszło, a lata nad nim sowa, jako znak mądrości. Niektórych to szokuje i denerwuje, niektórych myli, ale oczywiście nie nas, bośmy to wszystko szmat czasu temu przewidzieli. Wiedzieliśmy, że p. Gowin był, jest i będzie na zawsze niewinny dla Polski, że wszystko, co robi, robi dla nas i dla naszych dzieci, które na wiasem, na wszelki wypadek już z Polski wyjechały.

Wspomniany tu na początku permanentny stan wyjątkowy panujący w spisie lektur szkolnych trzeba jednak koniecznie omówić. Najlepiej za pomocą kilku błyskotliwych zdań. Oto znów w owym spisie doszło do rzekomo szokujących zmian, zauważonych i komentowanych w mediach, w kręgach politycznych i w sferach intelektualnych, w kawiarniach i jadłodajniach. Mówiąc wprost, zmiany te, jak wszystkie poprzednie, nie mają absolutnie żadnego znaczenia w rozwoju jakiegokolwiek polskiego milusińskiego. Nie mają znaczenia w niczym, co mogłoby zmienić tutejszość w nietutejszość, nie-Polskę w Polskę, pedagogikę wstydu w pedagogikę zwykłą, bądź na odwrót. Opinie tych, którzy te zmiany przyjęli z satysfakcją, są oparte o czarną magię, opinie tych, którzy rozpaczają, o magię białą albo na odwrót. Zarówno nadzieja, że dzieci przeczytają dramat Karola Wojtyły pt. „Przed sklepem jubilera”, jak nadzieja, że go nie przeczytają, to kwintesencja polskiego podejścia do literatury, niemającego z czytaniem nic a nic wspólnego. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



JUŻ CZAS!

Na wschód, zachód czy w Polskę, w podróż na bieguny

w reportażach, esejach, bazarach, wywiadach
zabiorą Was autorki i autorzy „Tygodnika”.

Kup Tygodnikowy „Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”,
usiądź i podróżuj wygodnie!

„W drogę” dostępne już także jako ebook!
Więcej na powszech.net/wdroge



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN



Fundacja
Dorastaj z Nami
10 lat!

Jestem Iga. Dopiero uczę się mówić, bo urodziłam się głucha. Mój tata został ranny na wojnie w Iraku i dzielnie walczy z przeciwnościami losu, tak jak ja. Uwielbiam powtarzać „mama” i „tata”, bo widzę, jak rodzice się wtedy cieszą. Dziś już lepiej słyszę, a w rehabilitacji pomaga mi fundacja.

fot. Justyna Radzymińska



Dorastam z Wami



Iga z bratem i tatą
- Łukaszem Wojciechowskim,
żołnierzem, który został
ciężko ranny na misji w Iraku.
Iga urodziła się po wypadku.

Pod opieką Fundacji Dorastaj z Nami jest obecnie 135 dzieci zmarłych i poszkodowanych żołnierzy, policjantów, strażaków, a także medyków walczących z COVID-19. Fundacja współfinansuje rozwój i edukację dzieci oraz zapewnia im pomoc psychologiczną.

Pomóż dzieciom Bohaterów bezpiecznie dorastać!

Wpłać darowiznę na konto: **29 1030 1508 0000 0008 1545 4006**
w tytule przelewu wpisz: **Tygodnik Powszechny.**

Więcej o podopiecznych Fundacji Dorastaj z Nami na: dorastajznami.org